

★ Wejście smoka... ★ Czarna wdowa
 ★ „Zmarnowany weekend” Johna Lennona
 ★ Szmaciany biznes ★ Cmentarna sielanka

Zonglerka niemocą

TERESA JERZYKOWSKA

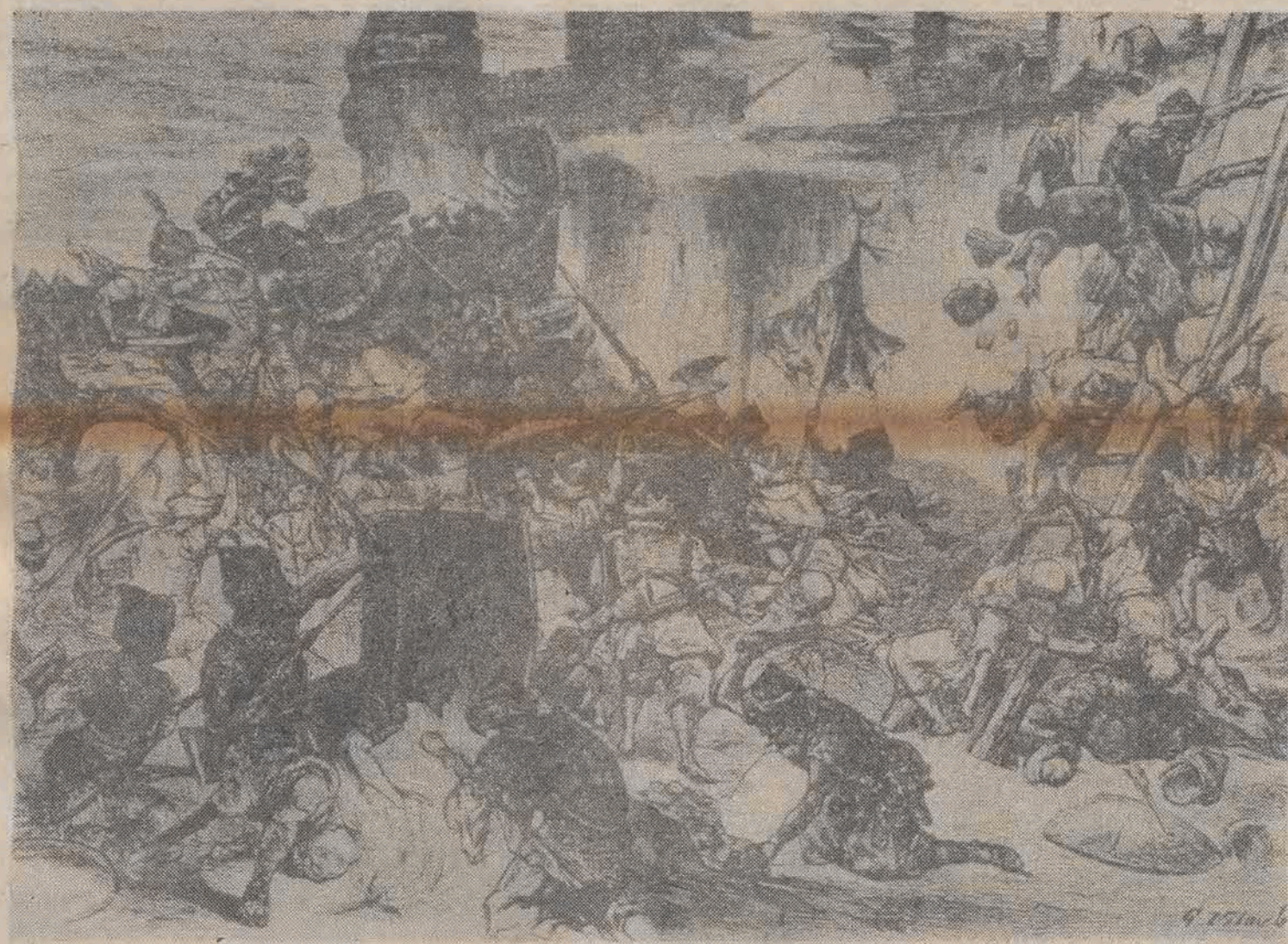
Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 38 (1329) ROK XXVI 17 WRZEŚNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Victoria wiedeńska

IAN GŁOWACKI



Turcy pod Wiedniem

I. W przededniu wyprawy

Wzrost agresywnych zamiarów Turcji w Europie był na ręce jedynie potężnej Francji, która zamierzała kierować rozwojem wydarzeń z korzyścią dla siebie. Po pierwszych sukcesach Porty wojna u północnych granic Imperium była realna, przy czym należało się spodziewać iż każda z zainteresowanych stron zechce bronić swych wpływów i stanu posiadania: Polska i Rosja na Ukrainie i Podolu, Austria na Węgrzech. Nie było też wątpliwości, że zbrojną interwencję Turcji wywołać może wszczęcie zamieszek przez Węgrów bądź Kozaków pokładających w Porcie pewne nadzieje na samodzielnosc.

KŁĘSKI I SUKCESY

Najbezpieczniej z państw zagrożonych u progu lat siedemdziesiątych XVII stulecia czuła się Austria. Traktat wasvárski, jak się spodziewano, zadawał Turcji, która niebawem zdecy-

dowała interweniować w sprawie Ukrainy i wszystko wskazywało na to, że działania w tym rejonie toczyć będą się wiele lat. Rzeczypospolitej zrazu wewnętrzne rozgrywki o władzę uniemożliwiły podjęcie jakichkolwiek kroków zaradczych, mimo oficjalnego wypowiedzenia wojny przez Turcję. W obliczu grożącego niebezpieczeństwa zerwano dwa sejmy, które mogły podnieść liczbę wojska. Hetman Jan Sobieski dysponując kilkoma tysiącami żołnierzy nie był w stanie podjąć działań przeciwko głównym siłom tureckim. Nie pomogły śmiałe uderzenia na mniejsze oddziały tatarskie i sukcesy niewspółmiernie duże do sił własnych. Działania 1672 r. na Podolu i Braclawszczyźnie kończyło podpisanie traktatu buczackiego (18. X. 1672 r.). Polska odstąpiła Turcji województwa: podolskie z Kamieńcem, braclawskie i kijowskie oraz zgodziła się płacić roczny haracz. Pokój — hańbiący, ogranicza-

jący niezależność Rzeczypospolitej wywołał wstrząs, takiej klęski nie spodziewano się, wrażeń było ogromne nie tylko w kraju. Na sejmie 1673 roku uchylony został podatek i zgodnie uchwalono podatek na 50 tys. armie. Po odpowiednich przygotowaniach, jesienią tego roku Jan Sobieski wkroczył do Mołdawii i nagłym manewrem zaskoczył najsilniejszy korpus turecki pod Chocimiem. Jak dotąd było to największe zwycięstwo odniesione w wojnach z Turkami w Europie. Doraźnie rozproszyło ono groźbę wieszającą nad Polską i przywróciło wiarę w żywotność narodu i państwa. Na przeszkodzie wykorzystaniu w pełni zwycięstwa stanęła śmierć króla Michała i odmowa dalszego podporządkowania się Sobieskiemu hetmanów litewskich. Praktycznie zwycięstwo przyniosło tylko koronę królewską na przyszłej elekcji szczęśliwemu wodzowi. Działania wojenne z Turcją trzeba było prowadzić nadal. Wkrótce po elekcji do wojny przyłączyła się Rosja. Na nią w roku 1674 spadła nowa ofensywa turecka podjęta w obronie Kozaków Doroszenki obłożonych w Czernyńcu. Król wykorzystując sytuację przeprowadził działania odciążające Rosję, zajmując Braclawszczy-

nę. Rozwój wydarzeń wskazywał, że działania zaczynają się dopiero rozwijać, a Polska zmuszona będzie prowadzić wieloletnią wojnę z Turcją. Tak było w istocie. Rok następny to rozbiście Tatarów pod Lwowem i obrona Trembowli, a w efekcie zmuszenie do odwrotu sił głównych nieprzyjaciela. W kolejnym 1676 roku stawienie czoła dwukrotnie silniejszym oddziałom Ibrahima Szejtana pod Zurawnem. Król zdawał sobie sprawę, iż działania wojenne toczyć się mogą wiele lat z niewielkimi korzyściami dla Polski natomiast nie wyczerpując ją, a kraj i tak zrujnowany już był ciągłymi wojnami. W tym czasie monarcha myślał już o zleżniach północnych, licząc na wspomniane układy z Ludwikiem XIV. Rozejm podpisywano przy pośrednictwie francuskim. Pozostawał on w rękach tureckich Podole z Kamieńcem i Braclawszczyznę — czyli w dotychczasowych wojnach nie zyskano nic, może prócz zniesienia haraczu. Jednakże trwały pokój z Portą musiał leć u podstaw nowej polityki. Wkrótce okazało się, że realizacja nowych planów królewskich napotyka na nieprzezwyciężone trudności zarówno na arenie

Zaczęło się od tego, że do redakcji zadzwonił dyrektor z propozycją, aby ktoś z dziennikarzy zajrzał do przedsiębiorstwa — porozmawiać. Przypadki takie, choć ostatnio niezbyt często, zdarzają się. Zwykle chodzi wtedy o pochwalenie się jakimś sukcesem — przedterminowym wykonaniem planu, wprowadzeniem nowego asortymentu wyrobów do produkcji lub tp — albo też o okazjonalną rozmowę z okazji jubileuszu zakładu. Tym razem jednak jubileusz nie wchodził w grę? A sukces? Raczej trudno go oczekiwać w przedsiębiorstwach gospodarki mieszkaniowej.

Nasz rozmówca, Marek Kubacki, reprezentował właśnie PGM-Baluty, w którym sprawuje funkcję zastępcy dyrektora do spraw technicznych. Szłam więc na tę rozmowę, obawiając się czegoś w rodzaju: „mimo ogromnych trudności, nie szczędząc wysiłków, osiągnęliśmy...”. Obawy nie potwierdziły się.

Na początku zaskoczenie — dyrektor okazał się człowiekiem bardzo młodym. Nie wiem, czy należy do organizacji młodzieżowej, nie miało to bowiem żadnego znaczenia dla tematu naszej rozmowy, ale z racji wieku mógłby jeszcze być jej członkiem. Wkrótce jednak wyjaśniła się, że pod względem stażu pracy na tym stanowisku (1,5 roku) jest najstarszym wśród wszystkich zastępców dyrektorów do spraw technicznych łódzkich PGM-ów. Niektórzy z kolegów, w bardziej zaawansowanym wieku odeszli na emeryturę, inni — zmienili pracę, jeszcze innych — zmieniono, traktując to niekiedy jako sposób na rozwiązanie kłopotów przedsiębiorstwa.

Aby zakończyć informacje o moim rozmówcy, chciałabym jeszcze dodać, że swoją karierę zawodową rozpoczął „pechowo”, trafił bowiem na... dobrą budowę uczestnicząc w realizacji dużej inwestycji, elektrowni Porąbka-Zary. Ponieważ więc nie tylko z opowiadań czy oficjalnych doniesień, ale z własnego doświadczenia wie, że poważne zadania można realizować sprawnie i dobrze, tym trudniej pogodzić się z faktem, że nie zawsze tak właśnie jest, a zwłaszcza, że nie jest tak w przedsiębiorstwie, którego funkcjonowanie zależy przecież także i od niego.

Po co właściwie M. Kubacki dzwonił do redakcji? — Po prostu — obawiając się, że ktoś zwróci uwagę na jego błąd, osądzącym nas, nie bez racji bardzo surowo, jak ich sprawy i kłopoty, związane z użytkowaniem mieszkań wyglądają od naszej strony, dlaczego tych, których słusznych życzeń czy żądań nie spełniamy, jest ciągle więcej, niż tych, którzy mogą być z naszej działalności zadowoleni, co możemy zrobić, aby proporcje te uległy zmianie. Proszę jednak nie traktować tego, jako próby usprawiedliwienia się, czy przekonywania kogokolwiek, że działamy z należytą starannością, tylko ludzie mają do nas niezasadne pretensje. Podkreślam — są to tylko moje własne refleksje o pracy przedsiębiorstwa i mojej...

GOSPODARZ NA MILIONACH METRÓW

Przy pobieżnym oglądaniu Baluty robią raczej dobre wrażenie: dużo tu bloków, w tym także zupełnie nowych, na których nie zdążyły jeszcze wyblaknąć pastelowe kolory tynek. Większość z nich to własność spółdzielczości mieszkaniowej. Natomiast tzw. substancja mieszkaniowa, którą zajmuje się PGM prezentuje się znacznie gorzej. Na 2437 budynków mieszkalnych tylko 725 to domy o konstrukcji trwałej, wybudowane po 1950 r. 45 — również ma trwałą konstrukcję, pochodzi jednak z lat wcześniejszych, także z okresu przedwojennego. Pozostałe budynki mają konstrukcję nietrwałą, drewnianą (404) lub mieszana (1294). W tych grupach, znajdują się również całe enklawy obiektów, które zasługują jedynie na miano ruder, a ich mieszkańcy wędrują w warunkach, w jakich absolutnie nie powinni mieszkać ludzie. Łącznie ponad 1,5 mln m kw. Do gospodarstwa PGM należą ponadto 600 budynków gospodarczych — wszelkiego rodzaju szop, komórki, garaży itp. najczęściej również w fatalnym stanie.

— Szacujemy, że obecnie w naszej dzielnicy ponad 200 budynków nadaje się do rozbiórki, sytuacja w nich jest wprost katastrofalna. W następnych 700 należałoby przeprowadzić remont gruntowny, i to szybko, gdyż za rok — dwa także i one będą wyłącznie do wyburzenia.

Co wynika z tych danych? Ano nic. Rozebrać dom jest co prawda łatwo — można to dość szybko uczynić przy pomocy środków wybuchowych, kilku spychaczy i paru wywrotek do wywożenia gruzu, tylko, aby zacząć rozbiórkę, trzeba mieć mieszkania dla ludzi, którzy w ruderze mieszkają dotychczas. Jak jest z mieszkańcami — wiadomo, i PGM nic w tej dziedzinie nie zmieni. W 1981 r. rozebrano więc 8 budynków, w roku ubiegłym — 5. Lokatorzy pozostałych ruder mogą jedynie liczyć na szczęśliwy wypadek — zawalenie się domu w czasie, gdy wszyscy będą w pracy. Równie tragicznie przedstawia się sprawa remontów gruntownych. W ubiegłym roku wykonano 1 oraz jedno podłączenie C.O., w bieżącym — efekty nie będą większe.

— Zamiast zrobić raz a dobrze, na kilka czy kilkanaście lat — lata się to, co najkonieczniejsze — dzurawe dachy, odpadające tynki i inne tzw. drobne remonty. Często co rok w tym samym budynku czy mieszkaniu. Przeznaczone na to środki — to własność wyrzucone pieniądze. Wiadomo bowiem, że nawet najlepszej wykonana praca nie wystarczy na długo, jeśli np. zamiast nowego tynku potrzebna jest nowa ściana.

NIE BRAK TYLKO... PIENIĘDZY

Pieniądzy nie ma za wiele — uwzględniając podwyżki cen, jest ich mniej, niż kilka lat temu, choć kwoty w liczbach bezwzględnych są wyższe. Ten brak nie jest jednak, wbrew pozorom, dokuźliwy. Większej sumy po prostu nie udało się wykorzystać. Problemem remontów bieżących nie jest bowiem brak pieniędzy, lecz wykonawstwo. Brak materiałów i ludzi. Dla przykładu: roczne zapotrzebowanie na papę wynosi około 100 tys. m kwadratowych. Dotychczas trafiły do przedsiębiorstwa dostawy za trzy kwartały — razem 24 tys. m kwadratowych. Drugie tyle uda się zdobyć, wysyłając zaopatrzeniowców w Polskę. A reszta?

— Przy istniejącym systemie zaopatrywania służby zaopatrzeniowcy nie wiedzą nawet, z kim rozmawiać. Gdyby potrzebne nam materiały znajdowały się w wolnej sprzedaży, to wiadomo: kto ma dobrych zaopatrzeniowców, będzie je miał, kto ma złych — musi w różny sposób skłaniać ich do lepszej pracy czy wręcznie zwinąć, przyciąć innych, lepszych. Ale przy rozdzielniku? Na to nawet najlepszy nie pomoże...

Papa to tylko jeden z przykładów. Blachy ocynkowanej nie ma w ogóle, inne, niezbędne materiały docierają do PGM w ilościach niewystarczających. Do niedawna przedsiębiorstwa te zaopatrywane były jak tzw. drobni odbiorcy, a więc praktycznie mogły korzystać z tego, czego inni nie wykorzystali. Od ponad dwóch miesięcy znalazły się w grupie preferowanej — na równi z budownictwem mieszkaniowym. Preferencje te pozostają jedynie na papierze.

Nie lepiej jest z ludźmi. Zakład Remontowy PGM-Baluty zatrudnia 66 rzemieślników, ponadto o stan budynków troszczy się 76 konserwatorów osiedlowych — pracowników 10 rejonów obsługi mieszkańców. Razem —

DWA RÓŻNE SPOSOBY WIDZENIA PRZYCZYŃ I SKUTKÓW

dwie koncepcje. „Pierwsza z nich — pisze K. T. Toeplitz — utożsamiana z grubsza z postawą kierownictwa „Solidarności”, chociaż formowana nie bez udziału i innych czynników, w tym także anachronicznych, wykopatisk z przedwojennej głębi politycznej, wychodziła z założenia, że przyczyną kryzysów jest immanentne zło, tkwiące w systemie socjalistycznym oraz konsekwencja niekorzystnego dla Polski układu geopolitycznego, wiążącego ją w system państw socjalistycznych. Na skutek tych okoliczności — jak twierdzono — naród polski nie jest w stanie zrealizować swoich autentycznych aspiracji, osiągnąć należytego mu poziomu dobrobytu materialnego, zrealizować swoich dążeń do wolności, uzyskać stosownej pozycji w świecie”.

Konsekwencją takiego stanowiska było przekreślenie wszystkich, co zrobiliśmy w Polsce w ciągu minionych 35 lat, niedostrzeżenie tego, że to właśnie dzięki socjalizmowi rozbudzone zostały aspiracje narodu, że Polska znalazła się w bezpiecznych granicach, a jej niezależność był gwarantowany sojusznicze układy i socjalistyczna wspólnota, do której należeć może tylko socjalistyczna Polska. Prowadziło to więc prostrą drogą do obalenia struktur społeczeństwa i państwa socjalistycznego i wyprowadzenia Polski z socjalistycznej wspólnoty, skoro to i te struktury, i ta wspólnota „rodziły zło”.

„Druga koncepcja — pisze dalej K. T. Toeplitz — wywiedziana najpełniej w dyskusji i dokumentach IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, z faktu kryzysu wyciąga wnioski zgola przeciwnie. Polegały one na stwierdzeniu, że źródło kryzysu dopatrywać się należy w niepełnym i uadłowym sposobie realizowania socjalistycznego ludowladztwa, w niesprawnym i lekceważącym nowoczesne metody gospodarowania, w systemie zarządzania socjalistycznym majątkiem narodowym, wreszcie w lekomyślnym uzależnieniu Polski — poprzez system kredytowy — od systemu gospodarki kapitalistycznej, przy niedocenieniu korzyści mogących płynąć dla kraju z rozszerzeniem kooperacji w ramach RWPG”.

Obie te koncepcje zaważyły nie tylko na ocenie źródeł kryzysu, ale też i sposobach wyjścia z niego, jak też wazą i dziś na ocenie aktualnej sytuacji społeczno-politycznej. Pierwsza kładzie bowiem nacisk na okoliczności zewnętrzne, które mają być źródłem naszych utrapień, druga natomiast „kładzie nacisk na to, że samo społeczeństwo przejść musi gruntowne przeobrażenie ideowe, intelektualne i moralne, nauczyć się gospodarować i rządzić na swoich, wypracowywać korzyści z istniejących okoliczności, unowocześniać i naprawiać struktury państwa socjalistycznego”. Obie te koncepcje rozdziły różne pytania. Pierwsza legła u podstaw pytania: czy socjalizm jest dobry dla Polski? Druga — taki ma być socjalizm w Polsce? Tylko że stan wojenny z 13 grudnia 1981 roku pierwsze pytanie zdjął z porządku dziennego, przesuwał cały akcent na pytanie drugie, które jest po prostu pytaniem o skalę, zasięg i wartość dokonywanych reform. Nie przekreśliło to wszakże — i przekreślić nie mogło — rozumowania opartego na pierwszej koncepcji. Takie rozumowanie rudił niechęć do dokonywanych reform, rudił postawy opozycyjne, niewiarę w powodzenie reform i wszelkie poczynania władzy. Z tym, że władze rozumie się dość jednoznacznie, jako przeciwnictwo społeczeństwa. Zwrócił na to uwagę Jerzy Lohman w artykule pt. „W oparach negacji” „NIEZMIENIAJĄC W „TRYBUNIE LUDU” (nr 212 z 7 września 1983 r.) z poglądami Jerzego Turowicza opublikowanymi w „TYGODNIKU POWSZECHNYM” (nr 35 z 28 sierpnia 1983 r.).

Tutaj niezbędna jest krótka dygresja. W numerze 31 „Tygodnika Powszechnego” ukazał się artykuł Jerzego Turowicza pt. „Inki będzie ten kraj”. W numerze 35 „Tygodnika Powszechnego” opublikował odpowiedź Jerzego Urbana — członka prasowego rządu oraz odpowiedź Jerzego Turowicza. Jak pisze J. Urban „Jerzy Turowicz przedstawił generalną krytykę obecnej linii rządu w

zakresie wewnątrzpolitycznym i społecznym” oraz stwierdził, że „ustawa o szeregowej regulacji prawnej w okresie przezwyciężenia kryzysu społeczno-ekonomicznego wprowadza nasz kraj do końca 1985 roku, a więc na długie 900 dni w dotychczasowym „stanie przejściowym”. Gdy tymczasem Jerzy Urban stwierdza, że „ów stan przejściowy od kryzysu do rozwoju, od konfliktu i zagrożenia do porozumienia i współpracy stanowi prawidłowość niezależną od czyjejkolwiek woli, także prawodawcy”. Ale niezależnie od tego, w jaki sposób wyraża się różnica poglądów, dotyka ona sprawy podstawowej, którą można określić jako

STOSUNEK MIĘDZY WŁADZĄ A SPOŁECZEŃSTWEM

Jerzy Turowicz uważa — pisze Jerzy Urban — „że istnieją dwa partnerzy o sprzecznych w znacznym stopniu dążeniach: władza i społeczeństwo. One odmienne, rzekomo antagonistyczne dziś siły, powinny właśnie prowadzić ze sobą dialog, czyli formułować na dwa głosy rozbieżne przekonania, aby ta droga dojsz do kompromisu”. Natomiast — pisze dalej Jerzy Urban — „my uważamy, że społeczeństwo, jest zróżnicowane, a nie jednorodne w swych dążeniach i poglądach, a władza silnie idzie za opinią robotniczą. Dialog winien toczyć się w obrębie różnych nurtów społecznych, jednakże tych tylko, które nie negują zasad ustroju socjalistycznego ujętych w Konstytucji. Z dialogu tego wyłonić się powinno (już zresztą ono narasta i postępuje) ogólnospołeczne porozumienie dotyczące spraw podstawowych dla przyszłości państwa i narodu”.

W związku z tym Jerzy Lohman w „Trybunie Ludu” pisze, że „władza w Polsce nie została ześlana z zaświatów, nie jest z „bożej kaski”. Jest władzą wyrosła ze społeczeństwa”. Tylko, że to społeczeństwo — przeciwnie niż niektórzy tego chcą — nie jest dziś ani jednolite, ani jednomyślne. Jest bardzo zróżnicowane i to zarówno w poglądach, jak i w dążeniach. Tymczasem niektórzy — a Jerzy Turowicz również — pragną przemawiać w imieniu całego społeczeństwa, przeciwstawiając mu władzę. Wprawdzie Jerzy Turowicz zastrzeża się: „Nie, ja nie przemawiam w imieniu całego społeczeństwa. Przemawiam w imieniu tych, którzy podobnie, jak ja myślą. Tylko, że tu istotnie rysuje się między nami zasadnicza różnica. Bawiem ja jestem przekonany, że ludzie tak myślący jest bardzo wielu, że jest to znaczna większość naszego społeczeństwa...” — ale to zastrzeżenie nie zmienia w niczym istoty sporu o wzajemny stosunek władzy i społeczeństwa. Przewstawianie władzy społeczeństwu jest — niezależnie od intencji — rozumowaniem w miłej tej koncepcji, która widzi przyczynę naszych trudności w czynnikach zewnętrznych a przez to i władzę traktuje jako „obcą”.

„Sądzę — pisze w „Trybunie Ludu” Jerzy Lohman — że już najwyższy czas, aby zrozumieć, że każda działalność podtrzymująca ową dotychczasową koncepcję przeciwności sobie „władzy” i „społeczeństwa” utrudnia po prostu rozwój, a rudi więc obiektywnie przede

wszystkim w interesy społeczeństwa, chociaż na pewno utrudnia również konstruktywne działania władzy”.

Myślę, że oczywistym jest, iż czym innym jest przeciwstawianie sobie władzy i społeczeństwa, jako dwu antagonistycznych sił, a czym innym jest krytyka takich czy innych pounię konkretnych przedstawicieli władzy czy instytucji. Żadna władza nie jest nieomylna i działając w trudnych warunkach, reagując szybko na różne potrzeby nie ustrzeże się błędów, ale są to dwie diametralnie różne sprawy. Tu wróć do omawianego w wstępie artykułu K. T. Toeplitza, „Gry o wszystko ciąg dalszy” z „Polityki”. W artykule tym K. T. Toeplitz pisze, że „jest coś zadziwiającego w fakcie, iż ekipa rządowa starająca się wyciągnąć daleko sięgające wnioski z kryzysu społeczno-gospodarczego, pracować „przy otwartej kurtynie” i w aurze konstytucyjnej legalności swoich poczynani, cieszy się równocześnie ciągle stosunkowo niewielkim poparciem społecznym”. Nasuwa się

ANALOGIA DO LAT CZTERDZIESTYCH

kiedy to Rząd Tymczasowy, czy Rząd Jedności Narodowej również nie cieszył się powszechnym poparciem społecznym. I choć czasy inne, inna też Polska, inny jakościowo naród, to K. T. Toeplitz podejmuje te analogie i stwierdza, że „zarówno wówczas, jak i dzisiaj ekipa rządząca występuje z programem radykalnej przemiany, dotyczącej nie tylko takich lub innych mechanizmów życia społecznego czy rządzenia, ale także postaw i stereotypów związanych z samym charakterem narodu polskiego; w latach tu powojennych zaproponowano mu, aby przekształcił się w naród socjalistyczny, obecnie proponuje się mu, aby przekształcił się w naród rozumnego pragmatyzmu zaszczerzonego na glebie socjalistycznych struktur ustrojowych”. A tymczasem ludzie chętniej przejmują propozycje zmian okoliczności niż postaw. Przykładem tego może być reforma gospodarcza, która jest jedynym wyjściem, a jednocześnie rodzajem wiele różnych sprzeczności, zahamowań, niechęci i obaw. K. T. Toeplitz słusznie uważa, że wycofanie się z konsekwentnego wprowadzenia w życie założeń reformy gospodarczej musi obrodzić kolejnym kryzysem. A tego przecież wszyscy chcemy uniknąć.

W dyskusji o naszych aktualnych i przyszłych greszabrał na lamach „ŻYCIA PARTII” (nr 18 z 31 sierpnia 1983 r.) Mieczysław Krajewski w artykule „Po zdobyciu władzy”. Nie można dyskutować o współczesności, nie uwzględniając spraw partii. M. Krajewski przypomina, że partia po zdobyciu władzy ma do spełnienia dwa zadania: „organizowanie państwa klasowego robotników i chłopów przez polityczne i społeczne struktury polityki oraz przez ogólna władzy państwowej i gospodarczej” oraz „podnoszenie, wydzwignięcie robotników i chłopów do pozycji klasy panującej”. Nierealizowanie tych zadań grozi odwróceniem się od klasy, utratą klasowego charakteru partii. A to też grozi kryzysem.

LUCJAN BOGUSZ

Minał tydzień

PORZĄDKOWANIE PRAWA

Na spotkaniu z łódzkim aktywnym partyjnym podsekretarzem stanu w URM — prof. Zygmuntem Rybickim zwrócił uwagę, że przeprowadzane w latach 1981—1982 porządkowanie ustawodawstwa polskiego odbywało się w trudnych i skomplikowanych warunkach. Prace te trzeba było jednak przeprowadzić, gdyż taka była opinia nie tylko ekspertów, ale i wola społeczeństwa, wynikała to też z przyjętych umów społecznych. To jednak, że prace te dokonywano w szczególnych i trudnych warunkach, niejaką pod presją życia politycznego, społecznego i gospodarczego, spowodowało w wielu przypadkach niedoskonałość i nieprecyzyjność przyjętych praw.

— Uważam — powiedział prof. Zygmunt Rybicki — że obecnie należałoby odstąpić od gorączki tworzenia nowych przepisów, a uzupełnić luki i skorygować błędy w już istniejących. Nie oznaczałoby to zahamowania przebiegu procesu legislacyjnego, jedynie jego racjonalizację.

Prof. Zygmunt Rybicki zwrócił też uwagę, że przepisy prawne przyjęte na okres wychodzenia z kryzysu mają tylko charakter przejściowy i służyć mają obronie interesów państwa i społeczeństwa. (T. J.)

JUBILEUSZOWO I KOLOROWO

„Tygodnik Piotrkowski” ma już 25 lat. Dla uczczenia jubileuszu wydano kolorową wersję pisma oraz zorganizowano święto czytelników „Tygodnika Piotrkowskiego”. Miłośnikom muzyki rozrywkowej zwracamy uwagę, że w kolorowym wydaniu „TP” znajduje się plakat zespołu muzycznego „Lady Pank”. Kolejom z „Tygodnika Piotrkowskiego” z okazji 25-lecia pisma, składamy serdeczne życzenia: dużo ciekawych tematów i coraz więcej czytelników!!!

WRACA TELEWIZYJNA „DWÓJKA”

„Życie Warszawy” donosiło, że od 1 października 1983 r. będziemy mogli w soboty i niedziele oglądać II program TvP. Program ten — według wstępnych założeń — ma być konkurencyjny w stosunku do programu pierwszego. W soboty program II zacząłby się o godz. 9, a w niedziele o 8.30. W niedziele powtarzano by film z soboty dla niesłyszących. W sobotę rano byłby przewidziany wykład NURT i film dla drugiej zmiany, a więcej tych, którzy nie mogą go obejrzeć wieczorem.

Wznawiany od 1 października 1983 r., program II zapowiada trzy serie: komedie „Niewierność po słowaku”, „Prawa ruchu” i „Verdi”. W programie II znalazłyby się też: „Kino-Okno”, „Jutro poniedziałek”, „Wielka gra”, „Świadkowie” oraz nowe pozycje: „Wieczór w teatrze” i „Kino dla dorosłych”.

Jak to będzie z tą konkurencją między programem pierwszym a drugim, czy TvP starczy na to sił i pieniędzy, zobaczymy dopiero na małym ekranie. Z tym, że na początku będzie znacznie łatwiej o konkurencję, gdyż oba programy będą konkurowały tylko w soboty i niedziele. Na codzienną konkurencję przyjdzie poczekać do 1984 roku.

MINISTER ZYGMUNT ŁAKOMIEC O PRYWATNYM HANDLU

Wypowiadając się dla PAP minister Zygmunt Łakomec stwierdził, że sektor prywatny stanowi załedwie margines handlu. Według podanych przez ministra Z. Łakomeca danych wynika, że w 1982 roku w handlu spółdzielczym i państwowym sprzedano towarów za 2,6 biliona zł, a w prywatnym — za 40 miliardów zł. Podobny jest stosunek sprzedanych posiłków w gastronomii. Państwowa i spółdzielcza sprzedała posiłków za 174 miliony zł, a prywatna za 7,8 mld zł. Gorzej nieco wygląda sytuacja z siematem, ich liczba stale się zmniejsza, podczas gdy liczba placówek prywatnych stale rośnie. W latach 1981—1982 przybyło 7.400 placówek i zatrudnienie w handlu prywatnym wzrosło o 12 tysięcy osób. Natomiast liczba szejencji spadła w ostatnich trzech latach z 85 tysięcy do 65 tysięcy.

Minister Zygmunt Łakomec przyznał też, że „sektor prywatny działa bardziej elastycznie i z większym wyczuciem rynku, niż wielkie organizacje handlowe”. Zdaniem ministra Z. Łakomeca przyczyna „leży w nadal zbyt sztywnych strukturach i dawnych nawykach, zwłaszcza w organizacjach spółdzielczych”. Minister jest jednak dobrej myśli, sądzi bowiem, że „reforma po prostu stopniowo wymusza prorynkowe zachowania wszystkich” uczestników procesu handlowania — jeśli można to tak nazwać. Oby rzeczywistość tak było i obyśmy jak najszybciej odczuli skutki tego na własnej skórze.

GAZETAMI TEŻ TRZEBA HANDLOWAĆ

W „Dzienniku Łódzkim” Jerzy Szelewicki opublikował rozmowę z dyrektorem „RUCHU” — Alfredem Kusiakiem. Z rozmowy tej dowiadujemy się, że 1 sierpnia 1983 roku w rejonie obsługiwanym przez łódzki „Ruch” na 2.215 kiosków nieczynnych było 441, a 1 września 1983 r. już tylko 106 kiosków, ale liczba kiosków nie obsadzonych zwiększyła się do 42. Alfred Kusiak zapewnia, że jest lepiej niż było przed rokiem, ale nadal brakuje chętnych do pracy w kioskach „Ruchu”.

Klient kiosków „RUCHU” gołów jest uwierzyć dyrektorowi Alfredowi Kusiakowi, ale szukając otwartego kiosku w wolną sobotę, albo któregoś wieczoru nadal brzydki się będzie wyrażał o pracy „Ruchu”. I dojdzie on niechybnie do wniosku, że choć w przedsiębiorstwie „RUCH” praca postępuje i jest lepiej niż było — co zresztą widać — to będzie jednak wzdychał do czasów, kiedy już będzie zupełnie dobrze i nie trzeba będzie biegać w poszukiwaniu czynnego kiosku. Czy jest to możliwe?

CZY ZMIENI SIĘ STOSUNEK DO PIWA?

Na konferencji prasowej w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego i Usług poinformowano, że komisja sejmowa otrzymała projekt zmiany stosunku do piwa. Czy komisja weźmie pod uwagę propozycje MBWiU, czy zmieni rygory ustawy? Czy trzeba aż ingerencji Sejmu, żeby usprawnić handel piwem? Obecnie mamy taką sytuację, że wódka można po godzinie 13 kupić bez większych trudności, ale żeby dostać butelkę piwa trzeba zapłacić specjalne poszukiwania. Czy tylko ustawa o wychowaniu w trzeźwości przeszkadza, czy też niernobowość i indolencja handlu?

A. B. SEKATOR

Koleżde
ANDRZEJOWI MAKOWIECKIEMI
wyrazi głębokiego współczucia
z powodu śmierci
O J C A
składa zespół „Odgłosów”

W najbliższych numerach:

- * **BESTSELLERY LATA**
- * **ROZMOWA Z TERESĄ MAY-CZYŻOWSKĄ**
- * **OSTATNI ŁÓDZKI KOWAL**
- * **ŻYCIORYS OSADNIKA WOJSKOWEGO**
- * **Z KAMERĄ POD ŻAGLAMI**
- * **JAK ZOSTAŁEM STUDENTEM!**
- * **HONGKONG — MIEJSCE GDZIE WSZYSTKO MOŻNA KUPIĆ**
- * **310 DIABLÓW**

Dokończenie ze strony 1

102 osoby na — przypomnijmy — 2437 wielomieszkańczych domów. Przeważają wśród nich hydraulicy i elektrycy. Z wykonaniem napraw w tych dziedzinach nie jest tak źle. Brak natomiast murarzy, dekarzy, zdunów. Jedyny zdun zajmuje się w zasadzie tylko piecami w pralniach. Lokatorzy szukają pomocy u prywatnych rzemieślników, w spółdzielniach, przedstawiając w PGM rachunki do zwrotu.

— Również i my współpracujemy z rzemieślnikami — m.in. wykonują oni niektóre prace dekarzkie i murarskie. Przydałoby się rozszerzenie tego rodzaju kontaktów, ale jest to możliwe tylko teoretycznie. Rzemieślnicy boją się roboty wykonującej, ale... z naszych materiałów. Swoje — bardziej opłaca się wykorzystać w pracach na rzecz prywatnych zleceniodawców, a tyle, żeby jednych i drugich zadowolili, po prostu nie mają. Warto byłoby pomyśleć o różnych formach przyciągania rzemieślników właśnie do nas. Może jakieś ulgi podatkowe, może zwiększenie możliwości zaopatrzeniowych, inne korzyści, których my, jako przedsiębiorstwo, nie jesteśmy w stanie zapewnić? A dla nas jest to sprawa bardzo ważna. Ograniczając się jedynie do pracowników zakładu remontowego zrobilibyśmy jeszcze mniej...

W ostatnim 5-leciu załoga zakładu remontowego zmniejszyła się o połowę. Ponadto nie wszyscy tu zatrudnieni mogą być stawiani jako wzór robotnika. Obok doświadczonych fachowców przychodzą tu ludzie różni: tacy, których gdzie indziej nie chcieli, także i ci, którym chodzi jedynie o adnotację w dowodzie i pobranie odzieży roboczej. Fluktuacja jest duża. Wielu porzuca pracę, nie-

— Tymczasem weszła w życie (a nam — w parady) reforma gospodarstwa. Sprawa przestała interesować wykonawców. Zajmują się przede wszystkim spółdzielczymi budynkami na gwarancji, uoy uniknąć s'osowanych w tych przypadkach kar. Nasze b'udmiki są już dawno po okresie gwarancyjnym. W efekcie, próbując u wykonawców wywalczyć usunięcie wad, otrzymujemy także i takie odpowiedzi, w których... wyrażają nadzieję, że w przyszłości sytuacja w ich przedsiębiorstwie poprawi się na tyle, że będą mogli zrobić w naszych budynkach to, co powinno być wykonane wiele lat temu...

I CO DALEJ!

Mimo tych rozlicznych trudności coś się przecież jednak w PGM robi. Coś — nie znaczy, że choćby w połowie tyle, ile wynoszą potrzeby. Sytuacja taka nie jest zresztą — a przynajmniej nie w pełni — wynikiem kryzysu ostatnich lat. Od dawna przedsiębiorstwa te cierpią na niedoinwestowanie, brak ludzi, sprzętu, materiałów. Nakłady na budownictwo nowe — choć efekty tego ostatniego nie zawsze były i są adekwatne do wysokości pochłanianych środków — były niewątpliwie bardziej efektywne niż łatanie dziur i remonty starych chałup. Polityka taka przyczyniała się również do zwiększenia głodu mieszkaniowego, który był i nadal jest w pewnym stopniu pozorny.

— Wielu ludzi, zamiast ubiegać się o nowe mieszkania w spółdzielniach, wolałoby pozostać w swoich dotychczasowych starych domach. Starych — nie znaczy jednak rozspływających się, zaprzobionych, z polamaną podłogą i odpadającym tynkiem. Przedsiębiorstwa takie, jak nasze, zawsze były i będą potrzebne, bez względu na rozwój nowego budownictwa. Nie powinny jednak, moim zdaniem, działać w dotychczasowych warunkach. Potrzebne są zasadnicze zmiany, nie tylko poprawa sytuacji zaopatrzeniowej, ale także generalna zmiana stosunku do zagadnienia. A więc — koncentracja środków na tym, co jeszcze opłaca się zrobić. Nie powinno być przypadków (a są), że musimy przeprowadzać generalny remont dachu na budynku zakwalifikowanym do rozbiórki, że do remontu gruntownego kwalifikuje się obiekt w 90 proc. zdekapitalizowany. To marnotrawstwo nie tylko pieniędzy, ale także materiałów i możliwości wykonawczych, o które tak trudno. W czasie, gdy robimy takie prace — wali się i niszczy to, co jeszcze mogłoby być do uratowania i służyć ludziom długie lata. Przede wszystkim, jak sądzę, należałoby wykonać remonty — nie tylko drobnych, lecz także kapitalnych — powiązać z dzielnicami, gdzie jest przecież najlepsze rozeznanie potrzeb w tym zakresie. Konceptje takie zresztą istnieją. Ponadto — stworzyć możliwość rytmicznego realizowania planowanych robót. Jakże często planowany remont opóźnia się, bo nie ma gdzie wyprowadzić na ten czas lokatorów. Konieczne są mieszkania rotacyjne. Wiadomo, z ich wybudowaniem są ogromne trudności. Ale dlaczego nie wykorzystywać na ten cel niepotrzebnych już zaopieczonych budowli? W takich barakach — najczęściej jest tam doprowadzone ciepło i wszystkie instalacje — ludzie mogliby przecekać czas remontu, a potem wrócić do swoich starych — lecz jak nowych mieszkań.

I jeszcze o jednej rzeczy chciałem powiedzieć: interwencje. W tym roku bezpośrednio do mnie trafiło już ponad 200 osób. Niektórym mogłem pomóc, ale nie wszystkim. Zawsze starałem się wy tłumaczyć — dlaczego i nie obiecywać dla świętego spokoju, że sprawa zostanie załatwiona. Niektórzy odchodzą przekonani, inni — szukają innych dróg (są i tacy, którzy od tych innych właśnie zaczynają): prasa, Tv, naczelnik dzielnicy, prezydent, komitet. Czasem przynosi to efekty — ale zawsze kosztem innych, znajdujących się w takiej samej lub gorszej sytuacji, tylko mniej przedsiębiorczych. Ponadto coraz bardziej zaczynamy czuć się jak „chłopiec do bicia”. Nie twierdzą, że jesteśmy bez winy. Ale z naszego niedowładu organizacyjnego, złej pracy ludzi i innych, zawinionych przyczyn, wynika nie więcej niż 30 procent nie załatwionych spraw. Pozostałe 70 — to efekt braku możliwości, niemożności działania. To, co mimo wszystko robimy, to mniej czy bardziej udana żonglerka tą niemością...

W starych zasobach mieszkaniowych mieszka w Łodzi ciągle duży procent ludności. Stąd każdy z nas na podstawie doświadczeń własnych lub rodziny czy znajomych wyrobił sobie opinie o pracy PGM-ów. Dlatego też rozmowa z dyrektorem M. Kubackim pozostawiam z niewielkim tylko komentarzem. Przed następną wizytą w PGM warto zastanowić się nad jego refleksjami. Chciał zaprezentować je publicznie także i po to, aby kontakty przedstawicieli tej instytucji z lokatorami przebiegały w innej, korzystniejszej dla obu stron atmosferze.

TERESA JERZYKOWSKA

Wakacje u sąsiadów

Rozmawiamy z mgr STANISŁAWEM CIESIELKĄ, si. wizytatorem Kuratorium Okręgu Łódzkiego ds. wypoczynku dzieci i młodzieży

— Był Pan z ramienia kuratorium wakacyjny dla organizacji wakacyjnej wymiany dzieci i młodzieży z Niemiecką Republiką Demokratyczną, a w naszym konkretnym przypadku z okręgiem Karl-Marx-Stadt. Powrócił już oczywiście ze swoich turnusów młodzież w wieku szkolnym i dobiegają też końca turnusy studenckie, można więc chyba wstępnie zbilansować to tak niecodzienne przedsięwzięcie, jedne w swoim rodzaju pod względem zasięgu i rozmiarów. O tym, że w krajowej skali skorzystało z pobytu wakacyjnego w NRD sto tysięcy młodych Polaków i że odwzajemnił się tylko 35 tysięcy młodzieży z kraju naszych zachodnich sąsiadów, na ogół wszyscy wiemy. Ale jaki był w tym udział młodzieży łódzkiej?

— Może najpierw wyjaśnię, że reprezentowałem w letniej akcji wakacyjnej nie wojewódzki sztab do spraw wypoczynku dzieci i młodzieży szkolnej, a sztab regionalny w akcji wypoczynkowej w NRD, obejmującej także studentów. W sumie nasz sztab regionalny miał do swojej dyspozycji przeszło 6,5 tys. miejsc, dla pięciu województw.

— A które z pobliskich województw, oprócz czterech wchodzących w skład dawnego województwa łódzkiego zaliczono dodatkowo do naszego regionu?

— Otóż z tych czterech żadne, oprócz obecnego województwa miejskiego łódzkiego, włączyliśmy bowiem naszą akcją województwa skier-niewielkie, konińskie, siedleckie, a oprócz tego z miejsc będących w naszej dyspozycji, skorzystało — w niewielkim zresztą stopniu — województwo stołeczne warszawskie, ponieważ ono, podobnie jak i tamte wymienione województwa, nie pozostaje — w przeciwnieństwie do Łodzi — w stałej współpracy z którymś z województw („Bezirków”) NRD-owskich. Jak wiadomo Łódź współpracuje od dawna z zaprzyjaźnionym okręgiem Karl-Marx-Stadt. A trzeba zdać sobie sprawę, że w NRD jest tylko 15 jednostek administracyjnych odpowiadających naszym województwom, byłoby więc brak partnerów wakacyjnej wymiany dla większości naszych województw, gdyby u nas nie powołano regionalnych sztabów, dla kilku województw każdy.

— A ile w tej sytuacji miejsce przypadło łodzianom?

— Przeszło 3 tysiące, przy czym wszystkie zostały przez nas oczywiście wykorzystane, podobnie jak w innych województwach i regionach.

— Jak wygląda nasz dość skromny przecież ilościowo rewanż i jaki był w tym udział naszego regionu?

— Tu też by należało dla jasności poinformować, że tylko w grupie młodzieży pracującej można mówić o rewanżu, na zasadzie wymiany turystycznej po 33 tysięcy osób z obu stron. Były to jakby wczasy wymienne, organizowane u nas przez Juventur, natomiast pozostali, czyli 65 tysięcy polskiej młodzieży uczęszczał się uczestniczyli w wymianie jedностronnie czyli bez rewanżu z naszej strony.

— „Na który zresztą w tej chwili nie byłoby nas stać. W takim razie bilans tej wymiany jest dla nas w sensie materialnym bezsprzecznie korzystny.

— A w szerszym znaczeniu niematerialnym, była to korzyść obojczna o czym może później bo chciałbym jeszcze dorzucić parę szczegółów. Otóż dzieci w wieku 10-15 lat korzystały z obozów wypoczynkowych w ośrodkach kolonijnych, słowem — wypoczywały i łapały się, natomiast grupy starsze uczestniczyły — można tak określić — w hufceni pracy, z tym, że w kategorii wieku 13-18 lat w wymiarze 5 dni po 6 godzin i to przy pra-

cach lżejszych, młodzież zaś w wieku powyżej 18 lat pracowała w tygodniu 5 dni po 8 3/4 godziny. W obu przypadkach w ten wymiar czasu wliczone były przerwy na posiłki.

— A jakie rodzaje czynności wykonywała nasza młodzież? Chodzi mi o ogólną charakterystykę, ale i o ciekawsze szczegóły...

— Pracowała zarówno w gospodarce rolnej, jak i w miastach, w budownictwie i przemyśle, w gospodarce komunalnej. Np. dziewczęta jednego z huców zatrudniono w fabryce samochodów w Zwickau, gdzie zakładały u Trabantów tylne światła i montowały zawiasy do bagażników. Nasze licealistki zyskały sobie wielkie uznanie załogi, no i nieźle zarobiły. Podobnie znakomita praca wyróżniła się grupa Związku Młodzieży Wiejskiej, zatrudniona w fabryce sztućców, a także przykłady wzorowej tj. zarówno wydajnej, jak i sumiennie wykonywanej pracy można by wymienić nieskończenie, po prostu dobra praca naszej młodzieży była regułą, i to nie tylko z powodu zaczętej pieniężnych i dobrych warunków bytowych, ale także — jak to wynika z późniejszych wypowiedzi — pracowało chętnie, ponieważ stanowiska pracy i proces produkcyjny były dobrze zorganizowane, a atmosfera stworzona przez gospodarzy była przyjazna, mimo iż z początku wyczuwało się niezaznając tamtej strony pewną jakby nieufność, czy aby nasza młodzież — potrafił sprostać wymaganiom pracy. A ponieważ egzamin ten wypadł jak najpomyślniej, możemy mówić o moralnej czy też politycznej korzyści obojcznej, o czym właśnie wspominałem.

— Jak się powszechnie słyszy, młodzież powracająca z wymiany z NRD jest bardzo zadowolona i często podkreśla, że chciałaby móc brać udział w tej akcji jeszcze raz.

— A płacono przecież za efektywną pracę, bez żadnej taryfy ulgowej, no ale też nie zapominajmy, że nie potracano nam kosztów wyżywienia i zakwaterowania, nie mówiąc o różnego rodzaju atrakcjach, a to się przecież liczy. Co do imprez, to było ich, na ile czas pozwalał, sporo, były wycieczki krajoznawcze, były rozgrywki sportowe, młodzież korzystała z basenów, dyskotek, a ponadto gospodarze bardzo pięknie i uroczystie urządzili nam obchody naszego święta państwowego 22 Lipca Słowem, starano się unatrakcyjnić pobyt naszej młodzieży, spełniać wszystkie możliwe jej życzenia, w czym wielki był udział osobisty zarówno aktywistów Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności jak i młodzieżowej organizacji Freie Deutsche Jugend, a także dyrektori przedsiębiorstw, majstrów, instruktorów i wielu innych osób. Osobiste oceniam skutki wychowawcze wakacyjnego pobytu naszej młodzieży w Niemiecckiej Republice Demokratycznej, i konkretnie w zaprzyjaźnionym okręgu Karl-Marx-Stadt, jak najbardziej i jestem przekonany, że akcja ta autentycznie przyczyniała się do lepszej wzajemnej poznania się i zbliżenia młodego pokolenia obu naszych krajów.

— W czasie niedawnej wizyty delegacji partyjno-rodowej NRD w Polsce Erieh Hannecker w odpowiedzi na pytanie głos polskich robotników, wyrażających zadowolenie z pobytu ich dzieci w NRD, złożył obietnicę, że akcja ta będzie nie tylko ponawiana, ale i w miarę możliwości rozszerzona. Co pan o tym myśli?

— Nasza młodzież byłaby z takiego obrotu sprawy z pewnością zadowolona.

Rozmawiał: J. K.

Żonglerka niemocą

których — trzeba zważyć. To są trudne decyzje, za każdym razem bowiem zastanawiam się, kiedy stanie się przed dylematem: patrzeć przez palce na niesumienne, nieuczciwe partacze czy zostać w ogóle bez pracowników?...

Najlepszym wyjściem byłoby zatrudnić solidnych, dobrych fachowców, ale tacy niezbyt często garną się do PGM-ów. Gdzie indziej istnieje możliwość lepszych zarobków, a i wymagania są mniejsze. W starych obiektach, budowanych według dawno zapomnianych technologii, przy nieistniejącej dokumentacji, każdy robotnik, bez względu na specjalizację, powinien być trochę „złotą rączką” do wszystkiego. A i tak nigdy nie wiadomo, czy „złota rączka” do wszystkiego, a i tak nigdy nie wiadomo, czy „złota rączka” planowana na tydzień, nie przeciągnie się na parę miesięcy, bo w trakcie ujawniają się różne dodatkowe „niespodzianki” w murze, podłodze czy instalacji.

NOWE CZYNISZE NIC NIE ZMIENIA

— Mówi się o tym, że planowana podwyżka czynszów wpłynie na poprawę jakości obsługi lokatorów. Mieszkańcy starych domów liczą na to. Sądzę jednak, że przyczyni się tylko do zwiększenia ilości skarg i interwencji. Ludzie oczekując od nas lepszej pracy — za swój większy czynsz — tym bardziej będą się trytować, że nic się nie zmieniło. Przecież, jak już mówiłem, rzecz nie jest w braku pieniędzy. Czy nie lepiej postawić sprawę jasno, tak, jak uczyniła to Kolej, podnosząc cenę na bilety: podwyżka jest konieczna, ale nic z tego nie wynika. W każdym razie nie dla lokatorów. Dla przedsiębiorstwa — owszem. Zmniejszają się dotacje, ale to przecież nie interesuje mieszkańców...

Kolejny problem — to budynki nowe, w których występują typowe wady technologii — przemazanie i przemakanie ścian. Plaga Żubardzia, Wielkopolski i Inflanckiej. Prezydent miasta dwukrotnie wydawał decyzję, że mają być usunięte do końca 1983 r.



Foto: Archiwum

Dokończenie ze strony 1

miedzynarodowej, jak i wewnątrz państwa.

PRÓBA UTWORZENIA ŚWIĘTEJ LIGI

Pod wpływem niepowodzeń król wycofał się z ambitnej polityki bałtyckiej, z tym wiązało się równocześnie zaprzestanie popierania opozycji antyhabsburskiej na Węgrzech. Od tego na plan pierwszy w polityce polskiej wysunęło się dążenie do odzyskania całości ziem na południowym wschodzie i przywrócenie wpływów w Moldawii. Samodzielne prowadzenie działań wojennych nie rokowało nadziei na powodzenie. Jan III snuł szersze projekty w związku z realizacją zamiarów, miało to być utworzenie ligi państw chrześcijańskich w celu całkowitego wyparcia Turków z Europy.

W 1679 roku w Polsce zaplanowano powszechne przekonanie o nieuchronności wojny z Portą. Najważniejszym partnerem w przyszłych działaniach według pierwszych projektów miała być Rosja. Podjęta w tej sprawie misja skończyła się zupełnym niepowodzeniem, niebawem okazało się że traktat rosyjsko-turecki z 1681 roku potwierdził intencje Moskwy zmierzające do utraty terytorium na polu. Sytuacja rzeczywiście była ciężka dla Rzeczypospolitej, groziła jej wojna z Turcją i Rosją. W obliczu narastającego niebezpieczeństwa Jan III podjął próbę utworzenia Ligi Świętej wymierzonej przeciw półkoczowcom. Po całej niemal Europie rozjechał się posłowie wiozący pisma królewskie do monarchów chrześcijańskich. Europa nie chciała jednak wojny z Turcją. Cesarz Leopold I nie kwapił się do sojuszu, Austria chętnie widziała by wojnę z Turcją daleko od swych granic. Wenecja czasowo oddkładała decyzję przystąpienia do wojny uzależniając ją od przystąpienia innych państw. Francja odnosiła się do planów królewskich wrogo, w żadnym wypadku nie chciała dopuścić do osłabienia Turcji, wygodnego sojusznika w walce z Habsburgami.

Garącym orędownikiem Ligi okazał się być jedynie papież Innocenty XI. Rzym rozwinął energiczną akcję na rzecz „świętej wojny” we wszystkich państwach katolickich nie wyłączając Polski i Francji. Energiczna akcja Jana III i stolicy apostolskiej w 1679 roku nie była pozbawiona podstaw, pewnych szans powodzenia. Działacze trzeba było jednak szybko. Porta w tym czasie była wyjątkowo nie przygotowana do wojny. W połowie lipca tego roku polski rezydent Proski donosił ze Stambułu:

„Porta tak słaba jako nigdy nie była. Ni pieniędzy, ni ludzi, ni rady im nie staje. Gdzie mogą tam per fas, per nefas pieniądze ściągają, a przeciw wojsko niepełne; co w Kamieńcu niedawno, to się teraz w Bagdadzie stało (bunt)...”

Długo za najpewniejszą dla zawiazania Ligi uchodziła tylko obietnica papieska wyasygnowania 500 000 talarów i pomocy świętopietrza z Hiszpanii. Poza tym Rzym nie więcej nie mógł uczynić, gdyż stanowisko Francji paraliżowało wszelkie wysiłki. Francja Ludwika XIV odgrywała w tym czasie przemożną rolę i okazywało się być niezwykle trudnym zadaniem utworzenie wbrew jej woli niezależnego centrum politycznego.

Dyplomacji polskiej można zarzucić, że nie dorastała ona do postawionych przed nią zadań. Praktycznie efekt działalności przypadkowych ludzi, którym powierzono sprawę Ligi był kompromitujący. Dla ratowania jej wiele uczyniła nie tylko w momentach krytycznych agitacja papieska. Szczególnie w sprawie przystąpienia Rosji do sojuszu zdołała wywrzeć nacisk na dyplomatów moskiewskich. Sam król Jan III przy poparciu niektórych kręgów starał się zwalczać nienawiść do wschodniego sąsiada wskazując na celowość współdziałania.

W Moskwie nie odczuwano potrzeby wspólnego działania, o wiele silniejsza była tam nie-

chęć i nieufność do Polski nagromadzona w ciągu ostatniego stulecia. Poza tym kwestie nie związane bezpośrednio z polityką miały też swój wpływ paraliżujący na sprawę Ligi, większy niż się to dziś wydaje. Do nich należały pogłoski o chorobie króla. Jan III miewał ataki silnych bólów reumatycznych, co poczytano za epilepsję i pomimo ukrywania tego faktu wieść rozeszła się nie tylko po kraju, ale i po dworach europejskich. Poczęto liczyć się ze śmiercią Sobieskiego, nie ulegało wątpliwości, że pozbawiona przywódcy Liga upadnie. Francja też wykazywała zaniepokojenie, ponieważ w przyszłej elekcji hetmani, stronicy cesarstwa, przy pomocy wojska z łatwością mogli osadzić na tronie kandydata Habsburgów. Tak więc u schyłku 1681 roku sprawa przymierza nie posunęła się kroku naprzód.

W EUROPIE NIE BYŁO SPOKOJU

Dominująca na zachodzie Francja nie przestawała grozić sąsiadom. Po orężnych zdobyciach przyszła kolej na reuniony, pseudoprprawne okupowanie i wcielanie przegranych miejscowości. Francja miała dalekosieśne plany, reuniony były środkiem a nie celem wobec Rzeszy i samego cesarstwa. Ludwik XIV zamierzał podporządkować sobie drobne księstwa niemieckie, by w przyszłości łatwiej było sięgnąć po koronę Leopolda I. Wydawało się, że Francja bliska była sukcesu. Do obozu Ludwika należeli już drobni księżta nadreńscy, którzy wobec druzgocącej przewagi, nie mieli żadnego wyboru, a w łonie Rzeszy rozbieżności polityki poszczególnych państw ułatwiała zadanie.

Z czasem bezwzględność Francji przysporzyła wiele gorczy i niechęci przeciw niej i mimo niechętnego stanowiska do wojny zagrożeni reunionami księżta wiedzieli, że wspólne wystąpienie jest konieczne. Na to potrzeba było jednak zdecydowanego kierownictwa skupiającego wszystkie przeciwnie siły, pewnego autorytetu i środków materialnych. Z natury rzeczy na stanowisko to powołany był cesarz, ale zagmatwana sytuacja polityczna, w jaką uwikłana była Austria, a z drugiej strony brak kwalifikacji, nie pozwalały mu zająć tego stanowiska. Do przeciwdziałania nieuchronnie była swoboda ruchów i spokój w obrębie samego cesarstwa. Tymczasem nie nie rokowało powodzenia. Zaraza w 1681 roku wywołała głód i rozruchy na Śląsku i Morawach, na Węgrzech rozleżała się rebelia podsycana złotem francuskim.

Do powodzenia nastrojów antyhabsburskich na Węgrzech znacznie przyczyniło się wystąpienie nowego przywódcy Emeryka Thököly'ego, człowieka wielkich zdolności i ambicji. W krótkim czasie zdołał on skoncentrować rozproszone oddziały powstańcze (zwane kuruców) i dotychczasową walkę podjazdową przekształcił w regularną wojnę. Co ważniejsze terytorialnemu i moralnemu rozbięciu Węgier przeciwstawił jednolity plan o konkretnym celu i śmiałych środkach działania. Trudności, jakie miał pokonać nowy przywódca, były ogromne. Węgry rozbite były na trzy obozy: południe mieli w swych rękach Turcy, w Siedmiogrodzie ich wasal Apafi prowadził własną politykę, zachodnią część skłaniała się do ugody z Wiedniem. Chaos podsycały jeszcze właśnie religijne, przybierające ostre formy wobec nieustępliwości Austrii.

Thököly dla swych planów szukał zrazu pomocy u Porty i to nie bez nadziei uzyskał pomoc. W tym czasie Jan III sprzyjał wyraźnie Węgom motywując to tym, że zdesperowany przywódca kuruców odechnięty przez Polskę zwrócił się do Turcji, co będzie większym nieszczęściem dla obu państw chrześcijańskich (myślał o Austrii), niż dobrowolne udzielenie pewnych ustępstw.

Sprawy te wciąż nie są przekonująco wyjaśnione ale wydaje się że król okazał się bardziej przenikliwy od dyplomatów wiedeńskich, którzy nie doceniali sympatii węgiersko-tureckich i gietkości polityki Thököly'ego. Wiedeń bardziej zainteresowany był tym, czy

król nie prowadzi dwulicowej polityki i może zechce sięgnąć przy pomocy Francji po Węgry.

Tymczasem odrzucone propozycje skierował Thököly w stronę Turcji i rychło współantagonizmy doprowadziły do bliższego porozumienia. W maju 1682 roku podpisano traktat, na mocy którego Thököly uzyskał od sultana tytuł króla Węgier i protektorat w walce z cesarzem. W zamian zobowiązał się płacić roczny trybut i udzielać zbrojnej pomocy. Nowy układ odbił się zaraz korzystnie na operacjach wojen-

IAN GŁOWACKI

Victoria

nych. W lipcu tego roku zajęto Koszyce w górnych Węgrzech, a wkrótce Fülek. Siły powstańców liczone na 60 tys. ludzi, przeciw którym zdemoralizowane porażkami wojsko austriackie nie mogło zdołać. Na domiar złego poczęła się szerzyć dezercja, którą Węgrzy skwapliwie wykorzystali na swą korzyść formując nowe oddziały.

WOJNA MUSI WYBUCHNĄĆ

Austria znalazła się w kłopotliwej sytuacji, kto wie czy nie gorzej niż Rzeczpospolita cztery lata temu — nieuchronnie groziła jej wojna na dwa fronty. Mimo wszczętych działań na południu w Wiedniu zdecydowano dążyć wszelkimi siłami do pokojowego zażegnania konfliktów wschodnich, w celu zdobycia pełnej swobody nad Renem. W oczach gabinetu cesarskiego groźniejsze było niebezpieczeństwo francuskie.

Dla ułagodzenia Porty i sparyalizowania wrogich wpływów Ludwika XIV w Stambule, wysłano wielkiego posła Caprara. Zasadniczym celem misji miało być przedłużenie postanowień pokoju vasvárskiego. Już w drodze okazało się, że zabieg Wiednia były mocno spóźnione. Porta wyraźnie dawała znać, że pokój nie pragmatyczny. Na dworze sultanskim potrzebne stronictwo z wielkim wezyrem Kara Mustafą parło do wojny, a przygotowania do wszczęcia działań były już poważnie zaawansowane.

W Stambule nie zdecydowano jeszcze o kierunku uderzenia. Wielki wezyr ze swej strony zapytywał posła francuskiego o stanowisko jego monarchy wobec wojny z cesarzem lub królem polskim. Odpowiedź posła dawała do zrozumienia, iż Francja nie opuści Polski w potrzebie, zachowując milczenie co do cesarza. Caprara badał tymczasem czy nie uda się za cenę poważnej sumy skierować agresji na Rzeczpospolitą, ale wszelkie zabiegi były daremne.

Wiedeń nie tracił jednak nadziei na zażegnanie niebezpie-

czeństwa tureckiego. Zwołana w połowie sierpnia 1682 roku Rada wypowiedziała się za wojną z Ludwikiem XIV. Co do sprawy wschodniej postanowiono za wszelką cenę, nawet daleko idących ustępstw, poprzez rokowania pokojowe. Rada wychodziła z założenia, że niebezpieczeństwo tureckie dotyczy nie tyle cesarstwa, ile krajów dziedzicznych, a strata kilku komitetów nie ma większego znaczenia. Politykę króla francuskiego zachłanna, nie cofająca się przed niczym, uznano za groźną dla całości i powagi korony rzymskiej. Zdecydowano poczynić wszelkie przygotowania, by nie dopuścić do osłabienia prestiżu cesarza i w krótkim czasie przystąpiono do rozlokowania nad Renem 90-tys. armii.

Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

Niekorzystny dla siebie rozwój wydarzeń strona austriacka nadal przypisywała intrygom Francji na dworach europejskich, co dyplomacja Ludwika XIV z powodzeniem wykorzystywała. W zawiłościach polityki gubiły się najcięższe giomy. Caprara na przykład donosił w jednej ze swych relacji o rozmowie z rezydentem polskim, który powtórzył mu rozmowę z posłem francuskim

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

UKŁAD Z AUSTRIĄ

Teraz już nie nie stało na przeszkodzie w zawarciu układu z Austrią, 31 marca 1683 r sojusz został formalnie podpisany. Oba państwa zobowiązały się do wspólnego prowadzenia wojny i wspólnego podpisania pokoju. Austria zobowiązała się wystawić 60 tys. żołnierzy, Polska 40 tys. Armia Austriacka miała działać na terenie Węgier, polska na Podolu i w Moldawii. W wypadku zagrożenia Wiednia lub Krakowa sojusznicy mieli połączyć swe siły, a dowództwo miał przyjąć władca będący aktualnie w obozie. To z góry przesądzało dowodzenie przez Jana III, ponieważ Leopold panem wojennym nie był. Strony zobowiązały się także wciągnąć do ligi inne państwa: Polska Rosję, Austrię, Wenecję i papieństwo. Dla przyspieszenia mobilizacji armii polskiej cesarstwo deklarowało 1,2 mln zł a nadto rzekło się o „ogół zaciągniętych przez Rzeczpospolitą jeszcze za Jana Kazimierza

Sejm podjął uchwałę o przygotowaniu do wojny. Deklarowano podniesienie liczebności armii koronnej trzykrotnie, li-tewskiej dwukrotnie i odpowiednio wysokie podatki. Specjalny nacisk położono na roz-

budowę jazdy. Korona miała wystawić 4 tys. husarzy, 16 tys. pancernych i 4 tys. jazdy lekkiej. Piechoty miało być 9 tys., a dragonii 3 tys. Mobilizację przeprowadzono niezwykle szybko i sprawnie, głównie na drodze powiększania jednostek już istniejących. Dokonano przy tym pewnych korekt co do liczby piechoty i jazdy. Ostatecznie Korona wystawiła ponad 30 tys. żołnierzy, a razem z Litwą blisko 47 tys. Wiele więc przewidywały zobowiązania. Cesarstwo zresztą też wystawiło siły większe niż deklarowało układem.

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

II. Na odsiecz Wiedniowi

PRZYGOTOWANIA DO WOJNY

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.

„Nie wydaje mi się, że ta decyzja była błędna. Na południu wiele jeszcze mogło ulec zmianie, natomiast Francji raczej nie przeceniano. Konsekwentnie prowadziła ona politykę, która mogła przynieść nie dającą się w skutkach przewidzieć katastrofę polityczną. Młynem i przeceniającym był natomiast sąd polityków wiedeńskich o wpływie Wersalu na dworze tureckim.



wentualnością, ale jedynie w wypadku przeciągnięcia się działań wojennych i stawiania przez cesarstwo zbyt długiego oporu.

PLAN KARA MUSTAFY

Mają doświadczonego wielkiego wezyra dać się ponieść pysze i chciwości widząc ogrom swej armii i zmieniać plany zamierzając wyłącznie uderzyć na stolicę cesarstwa. Wódz turecki liczył, że w ten sposób szybko osiągnie własny cel — utworzy bogatą prowincję, którą spodziewał się otrzymać po zakończonej wojnie.

Plan Kara Mustafy niezwykle śmiały i, jak wtedy wydawało się, nie pozbawiony szans na sukces, był zarazem ryzykowny. W wypadku przedłużających się działań, armia mogła mieć odcięte linie komunikacyjne, a na zapleczu silne, nie zdobyte zamki, m. in. Jawaryn i Komárom. Wielki wezyr pewny siebie lekceważył nieliczne, ale rzeczowe, głosy oponentów i dążył do możliwie szybkiego przesunięcia wojsk pod Wiedeń.

W drodze przez Węgry i Austrię poszczególne oddziały według szczegółowych opisów sanych kronikarzy tureckich dokonywały takich gwałtów i grabieży „jakich świat jeszcze nie widział i jakich nie sposób opisać”. W pewnym stopniu powodowały je wyczerpujące się zapasy żywności, ale bezmyślne niszczenie i palenie dobytek przechodziło wszelkie wyobrażenia, szczególnie tam gdzie przechodziła horda tatarska.

Ogromnej potędze tureckiej Austriacy przeciwstawili znacznie mniejsze siły, około 70 tys. żołnierzy. Naczelne dowództwo nad armią cesarską sprawował książę Karol Lotaryński, szwagier cesarza i były konkurent Jana Sobieskiego do korony polskiej. Utalentowany wódz nie był zorientowany w faktycznych zamiarach nieprzyjaciela, nie miał też wystarczających sił do stawienia zdecydowanego oporu, z konieczności zamierzał przeprowadzić działania opóźniające postępy armii tureckiej, czekając na deszczą pomoc. Nie na wiele zdążył się wysiłki blokowania przepraw, główne siły armii mahometanów szybko zmierzły w kierunku Wiednia. W stolicy wybuchła panika, cesarz wraz z rodziną uciekł na siedem dni przed oblężeniem uchodząc do Linzu. Przed wyjazdem mianował komendantem obrony von Starhemberga, w mieście zostało 16 tys. żołnierzy i ochotników. Pozostała także większa część mieszkańców, którzy nie chcieli albo nie mogli się ratować.

TURCY POD WIEDNIEM

Główne siły tureckie otoczyły stolicę cesarstwa 14 lipca 1683 r. Kronikarze biorący udział w wyprawie pełni byli zachwytu. Zdumiewali się niezwykłą dla ich oczu gospodarnością Austriaków, urodzajnością ziemi, podziwiali ładną i solidną zabudowę niewielkich nawet miasteczek. Wiedeń — wielkie, podówczas ponad 100 tys. miasto ogromne i pięknymi budowlami wielkie wywarł na nich wrażenie.

Stolica cesarstwa uchodziła za silną twierdzę, umocnienia były co prawda mocno przestarzałe, ale pamiętano, że do oblężenia odstąpił sam Sulejman Wspaniały w 1529 roku. Później aż do połowy XVII wieku ciągle rozbudowywano fortyfikacje. Centrum miasta położone na prawym brzegu Dunaju otaczały grube obmurowane wały ziemne, 12 bastionów i umocnienia wewnętrzne, tzw. kawalerii. Całość otoczona była głęboką czołową suchą fosą. Przednią linię obrony stanowiła równoległa do fosy zakryta droga a do miasta broniono dośrodku osiem umocnionych bram.

Armia turecka rozłożyła się obozem na równinie pomiędzy Wiedniem wpadającą do Dunaju na południe od miasta oraz masystem Lasu Wiedeńskiego. Na czele stanożyli przydzieleni do prac oblężniczych sypano wały kopano rowy i aprosze. Po dokładnym rozpoznaniu, wielki wezyr zdecydował przeprowadzić najważniejsze działania od południowo zachodniej części miasta dogodnej do przeprowa-

dzenia szturm. Wkrótce na Wiedeń spadły pierwsze kule, a horda dewastowała bliższe i dalsze okolice szerząc strach wśród ludności.

W dwa dni po rozpoczęciu oblężenia, król przebywający w Wilanowie otrzymał wiadomość o zbliżaniu się Turków do Wiednia i wyjeździe rodziny cesarskiej. Z Linzu Leopold I niezwłocznie wysłał błagalny list o pomoc.

„Nie tyle oczekujemy wojsk Waszej Królewskiej Mości, ile osoby Waszej, pewni, że osoba Wasza Królewska na czele naszych wojsk i Wasze imię, tak groźne dla wspaniałych nieprzyjaciół, same zapewnią ich klęskę”.

18 lipca król wyjechał ze swej rezydencji, a 29 był już w Krakowie. W kraju trwały ostatnie gorączkowe przygotowania do wyprawy. Książę kazaniał podnosić ducha, rozpoczynając się uroczyste nabożeństwa, procesje i posty „twarde”.

Nuncjusz w ogóle nie miał słów pochwały i zachwytu pisząc do Rzymu „że cały naród rwie się z niecierpliwością do czynu; nie można zaiste wyobrazić sobie większej gotowości i ciężnego ducha, niż ta, jaka się tu widzi powszechnie”.

W tym czasie spieszenie nadszły pod Kraków wojska koronne. Już 2 sierpnia 1683 r. przybyła jazda z rejonu Trembowli i Sniatynia pod dowództwem hetmana polnego Mikołaja Sieniawskiego pokonując w ciągu 2 tygodni około 600 km, co w tamtych czasach było wielkim wyczynem. Kilka dni później hetman wielki Stanisław Jabłonowski przyprawił dalsze oddziały.

Przygotowania zakończono 8 sierpnia i król ponaglany groźnymi wieściami z Wiednia postanowił nie czekać na Litwinów. 15 sierpnia 1683 r. wyruszone z Krakowa kierując się przez Śląsk, Morawy i Czechy ku Wiedniowi. Wojsko posuwało się w dwóch ubezpieczonych kolumnach.

W DRODZE POD WIEDNIEM

W ostatnim dniu sierpnia niespodzianie doszło do spotkania z naczelnym dowódcą wojsk cesarskich księciem Karolem Lotaryńskim. Niedawni rywale do korony szybko przypadli sobie do serca. Król pod wrażeniem rozmowy taki szkicował portret w liście do żony konkludując:

„Wojnę rozumie bardzo dobrze i do niej się aplikuje. Peruka blond niecodzienna, znać, że o strój ucałe nie dba. Owego zpoła jest człowiek, z którego się fantazja i moja bardzo łatwo zgodzi i godzin większej daleko fortuny”.

3 września na zamku Stetteldorf odbyła się rada wojenna. Przewodził król, do stołu zasiadli obaj hetmani, książę Karol i generałowie niemieccy. Przewodniczącą cesarskiej Naczelnej Rady Wojennej margrabia Herman Badeński wyczytał królowi bulawę jako symbol naczelnego dowództwa. Następnie przystąpiono do omówienia przyszłych sposobów działań. Starły się ze sobą trzy koncepcje. Pierwsza zgodnie z zachodnimi poglądami o wyższości manewru dążyła do wymanewrowania Turków spod Wiednia poprzez przecięcie im linii komunikacyjnych. Książę Karol planował uderzenie z południa z zamiarem wprowadzenia posiłków do oblężonej stolicy, w ten sposób chcąc zmusić nieprzyjaciela do przetrwania oblężenia. Król zamierzał też uderzyć od południa, ale dążył do walnej rozprawy, do całkowitego zniszczenia armii tureckiej. Wielki autorytet króla w końcu przeważał i z niewielkimi zmianami akceptowano jego plan, ale spory rozgorzały co do zajęcia miejsc w sztyku bojowym. W XVII wieku nie było to bez znaczenia, jedne miejsca były mniej, inne bardziej zaszczytne. Wiele zgryzozy i przykrości przyniosły królowi owe targi o miejsca. Ostatecznie Polacy zajmowali skrzydło prawe najbardziej honorowe, ale Sobieskiemu chodziło tu nie o prestiż, lecz o to, iż miało ono do wykonania najtrudniejsze zadanie. Wojska cesarskie zajęły miejsca skrzydło lewe, też zaszczytne, a posiłki niemieckie stanąć miały w centrum.

Niebawem przystąpiono do przeprowadzenia przez Dunaj, co zajęło trzy dni wobec częstego



Postowie cesarscy proszą Sobieskiego o odsiecz.

puszcia się mostów zbudowanych na łodziach. Po drugiej stronie rzeki skończyły się dogodne warunki marszu, teren był górzysty, pokryty lasem, bezdrożny. Z wielkim wysiłkiem posuwała się artyleria i jazda górkami ścieżkami. Piechota pomagała taszczyć działa i wozy z amunicją. Inne liczne wozy z żywnością niestety trzeba było zostawić.

Do Wiednia broniącego się ostatkiem sił było blisko. W obozie wiedziano o rozpaczy sytuacji oblężonych, też dokonano starań, by krótko, ale bardzo niedogodną odległość pokonać możliwie szybko. „Do każdego działa i wozu armatniego ledwie nie wysłano konia zaprzęganego przez rękami ciągnąć”. Później zdołali przeciągnąć działa i mimo najtrudniejszych warunków pierwszy zajęli przewidziane stanowiska. Marsz trwał dwa dni „przez takie góry, żeśmy nie wchodziłi albo wstępować, a ledwie się wdrapywać”. Począwszy tedy od piątku nie lemy ani śpiemy, ani konie nasze” — pisał król do żony.

W sobotę wieczorem 11 września 1683 r. sprzymierzone wojska stawały już na wyznaczonych miejscach. Wojsko było niezmiernie spracowane, zmęczone trudami ostatnich dni, wygłodniałe, bo od czasu przeprowadzenia przez Dunaj odczuwano brak żywności i paszy — ale to wszystko nie umniejszało animuszu żołnierzy.

Król miał większe smartwienie. Ze szczytu Kahlenbergu widać było, że teren nie nadaje się do wielkiej szarży kawaleryjskiej, o czym go uprzednio zapewniał. Od nieprzyjaciela dzieliły sojuszników liczne wzgórza, lasy, głębokie wałwozy i obmurowane winnice. Zdawało się, że trzeba będzie dwóch dni, by dotrzeć na równinę. Ale jak zauważył król, nie widać było, że wielki wezyr czyni specjalne przygotowania do odparcia odsieczy, i to napawało optymizmem. Tak było w Istocie. Kara Mustafa skierował tylko niewielkie siły ku Lasowi Wiedeńskiemu z zamiarem powstrzymania pierwszego natarcia, spodziewał się bowiem lada moment przypuścić generalny szturm i zdobyć oblężoną stolicę — co miało nastąpić jeszcze przed walną rozprawą. Dopiero w obliczu niebezpieczeństwa zdecydował o znacznym grupowaniu sił, nie rezygnując z oblężenia.

BITWA

O świcie 12 września 1683 r. stały w bojowym sztyku 70-tys. armia sojusznicza i sultana obliczana na 90 — 140 tys. żołnierzy. Już około godziny czwartej ruszyli Turcy do ataku na lewe skrzydło i centrum. Zacięte walki prowadziły o kolejne wzgórza, a nieprzyjaciół teren dał się we znaki Niemcom bardziej niż janczarym. Koło południa Niemcy i Austriacy zajęli prze-

widzianą rubież i oczekiwali nadszycia prawego polskiego skrzydła. Żołnierze pokładali się dla wypoczynku i spoglądali na zachód, wiedzieli, że stamtąd pójdzie decydujące uderzenie. Skoro ujrzeli wylaniające się proporczyki jazdy, pisze Herman Badeński „wojska nasze podniosły wówczas tak straszliwy krzyk, że nawet stojący naprzeciw nas Turcy wydali się tym ustrząsnąć”.

Kara Mustafa dostrzegł niebezpieczeństwo; przeciwnikowi nie chodziło o przebicie się do Wiednia. W nie sprzyjających warunkach raz jeszcze przegrupował wojsko rzucając w nowym kierunku znaczne siły. Tymczasem prawie skrzydło tureckie było osłabione i wyparte z korzystnych pozycji.

Król wydał nowe rozkazy dla lewego skrzydła i osądziwszy, że wszystko bierze pomyślny obrót, wysłał mszy w kościółku na Kahlenbergu i wrócił na prawe polskie skrzydło. Nie wypozywali ostatniej nocy polscy żołnierze, piechota i artyleria przedzierali się przez stronne lasy z boczna Lasu Wiedeńskiego, a jazda już od świtu była na stanowiskach. W południe udało się ustawić armaty na pozycjach i zaczęły się zmagania z janczarami, rozbijanie murów winnic i powolne zdobywanie terenu. Mimo ogromnego zmęczenia, głodniałe z zapalem stanęły do walki piechury, oni mieli poważne zadanie — wyparcie przeciwnika ze wzgórz, jarów i winnic, aż do równiny umożliwiającej szarżę jazdy.

Ciężki był bój z przeciwnikiem zajmującym dogodne pozycje i jak pisał generał Kątski „Zginęło nas ludzi niemało, natarzono nas, ale ochoty żołdaków, którzy oślep szli jak do tańca, żadną miarą wytrzymałi nie mogli”. Była dopiero godzina trzecia a wojska osiągnęły już planowane na pierwszy dzień zajęcia dogodnych pozycji. Do zmroku było jeszcze daleko, w szeregach wroga dało się zauważyć zamieszanie, a rozgarnię sukcesami żołnierze parli do walki. Sytuacja była bardzo korzystna, Jan III po naradzie z księciem Karolem zdecydował szukać niezwłocznie rozstrzygnięcia, aby przeciwnik pod osłoną nocy nie wzmocnił obrony.

Król był jednak ostrożnym, zbyt doświadczonego wodzem, nie ryzykował natarcia w nieznanym terenie. Zdumienieli się wszyscy — a swoi nawet po latach nie rozumieli intencji królewskiej — kiedy to poderwał chorągiew husarską strażnika koronnego Zbrozka. Niewielu jeźdźców wróciło po rozprawie pierwszych szeregów tureckich spahisów — ale nie na zgubę wysłał ich król, to była konieczność, według dzisiejszej terminologii wojskowej było to rozpoznanie walki. Teraz naczelny wódz miał pewność, że może ruszyć wielkie natarcie.

Około godziny osiemnastej nadeszła chwila rozstrzygnięcia. Piechota i artyleria otworzyły gwałtowny ogień, tworząc zamęt w szeregach wroga. W po-

gotowiu stała już jazda: w pierwszej linii husaria, za nią pancerni, a dalej jazda lekka. Sam król stanął na czele husarii, by podprowadzić ją bliżej, na znak buławą pochyliły się kopie, powoli nabierał rozpędu skrzydła jeźdźców, a zbliżywszy się do nieprzyjaciela jak huragan pedził do boju. Raz tylko zdołali Turcy oddać salwę z dział i muskietów. Straszliwe było uderzenie na pierwsze szeregi spahisów, załamały się szczył i masy żołnierzy mahometanów rzucały się do ucieczki. Tylko w centrum twarog stały wyborowe oddziały wielkiego wezyra. Po przełamaniu skrzydła armii tureckiej jazda wdarła się między gwardię Kara Mustafy. Święta chorągiew proroka znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie, sam wielki wezyr chwycił za łuk szyjąc strzałami. Zacięty opór najlepszych oddziałów tureckich okazał znaczną część wojska umożliwiając mu opuszczenie pola bitwy i obozu.

Manewr Jana III nie doprowadził więc do całkowitego otoczenia i rozbicia mużumianów. Późnym wieczorem lewe skrzydło sprzymierzonych wchodziło do Wiednia i zajmowało okopy wybijając siedzących tam janczarów jeszcze zajętych pracami młynskimi. Inni wpadli do obozu i wybili kilka tysięcy rannych i chorych Turków, mszcząc się za rzeź jeńców austriackich w pierwszych dniach oblężenia. Ogólnie szacowano straty tureckie na 15 tys. zabitych ludzi, sojusznicy mieli 3,5 tys. zabitych, w tym 1.300 Polaków.

Szybko zapadający zmrok przerwał walkę. Król nie zamierzał nawet pościgu, co zwycięstwo czyniło jazdą lekką. Byłoby to zbyt ryzykowne. Turcy stracili cały dobytek, łupy, jasyr. Powszechnie znane są wspaniałości, jakie zagarnęli zwycięzcy. Legendy później krążyły o zdobytych workach talarów, dywanach, naczyńkach, szatach, wysadzanej kamieniami broni, namiotach, wielbiadach itd. Zwyczajowym rabunkiem zdobytego obozu wojsko zajęło się dopiero następnego dnia. Po bitwie król nie dopuścił do pądrowania ogromnego terenu, obawiając się powrotu nie osiąganego nieprzyjaciela. Wojska posłusznie zachowały rzadką jak na XVII-wieczne przestały noc gotowe do odparcia ataku.

Nie tak wiele skorzystał z tych łupów Polacy; brano mniejsze kosztowne przedmioty, nie było na co je ładować wozy utknęły przecięż na przeprawie przez Dunaj. Karność rychło upadła, wybańcy i wybańcy toczyli ze sobą bójki o zdobyc, między sojusznikami powstawały niesnaski, rozdziły się antagonizmy. Monarcha wkrótce spotkał się z chłodem cesarza podczas pamiętnego spotkania. Znałe sprawy, królowi wyraźnie dawano do zrozumienia, że nie ma co liczyć na koligację z Habsburgami i nowe nabytki. Wielce rozczarowany był Jan III, mocno poruszony opisał cały przebieg

spotkania z Leopoldem w liście do ukochanej Marysielki. Dotknięta była starszyzna i wojsko, one też nie spotkały się z należnymi honorami.

„Po tym widzeniu zaraz tak wszystko się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano. Prowiantów żadnych nie dają. Chorzy nasi na gnojach leżą i niebożęta postrzelani, których bardzo siła, a już dla nich uprosić się nie mogę sekury jednej, abym ich mógł do Presburlku spuścić i tam ich swoim sustentowac kosztować”.

PO BITWIE

Najbardziej dawał się we znaki głód, a niebawem choroby, szczególnie dysenteria. Gwałtownie rosła liczba chorych, śmiertelność była zaskakująco wysoka, król był bardzo zaniepokojony rozmiarami epidemii. Trudno dziś pojąć groźbę sytuacji, ale w XVII wieku nie umiano opanować chorób zakaźnych i wojsko traciło szybko sprawność bojową. Nie dziwnego, że z niepokojem donosił, iż „Gdyby to tak trwać miało, jako się zaczęło, nie trzeba by na nas innego nieprzyjaciela”.

Wiele trosk i goryczy przysporzyły zwycięzcy kolejne dni po victorii. Trzeba było zachować poprawne stosunki z sojusznikami, by dalej prowadzić działania, dbać o zachowanie sprawności armii i szereg innych ważnych i blahych spraw spadających nagle, do starszyzna też uległa chorobom. Dzieci niezwykle jeszcze energii króla, jego zabiegom, udało się wyprowadzić wszystkie sprawy. Monarcha zdawał sobie sprawę, że Turcy zdoleją odbudować armię i w następnym roku zagrożą Rzeczypospolitej. Dzięki jego wysiłkom udało się jeszcze odnieść wspaniałe sukcesy w kampanii prowadzonej tego roku, w tym wielkie zwycięstwo pod Parkanami.

Austriacy byli już niecierpliwieni, z niechęcią patrzyli na obecność wojsk polskich na podległych Habsburgom ziemiach węgierskich. Jeden z dostojników mówił do posła francuskiego: „Oby bogowie spłynęli, aby (Jan III) pomógł jak najprędzej do Polski, gdyż rumnie nasz kraj i oszczędza buntowników, zamiast pomóc nam ich wytepić”.

Kampania 1683 roku zasadniczo się skończyła. Osiągnięto największy sukces w dotychczasowych wojnach z Turkami w Europie. Zdąrzyło się, że armie sultana nie poniosły klęski, ale nie zdarzyło się żeby zostały rozgromione i w poniesionej ucieczce zostawiły oboz i sprzęt. Ślad wielkie wrażenie w Europie i sława Jana III. Wysoko ocenili watorę króla jako dowódcę maozmi świadkowie przychylili i nieprzyjaciele. Polsce Należały gratulacje od papieża, królów i książąt.

Cmentarna sielanka

Resztki byłej posesji przy ul. Kilińskiego 63 w Pabianicach ogrodzone są wysokim betonowym płotem i okutą blachą turtką i bramą. Można by myśleć, iż stanowią skuteczną zapórę dla buldożerów, ale tak nie jest. Chodzi raczej o to, żeby na warzywach i kwiaty nie walały spaliny. Bo od frontu byłej posesji władze komunalne zbudowały przy-cmentarny parking.

Sielanka, która rychło zamieniła się w przepychankę, ma swoje początki w połowie lat siedemdziesiątych. Jadwiga Kociołek, która wraz z mężem Czesławem mieszka dziś w bloku przy ul. Wileńskiej, była wtedy jeszcze zameldowana na Kilińskiego pod sześćdziesiątym trzecim. Najpierw wywłaszczono ich równo z domem, w którym mogli jeszcze mieszkać razem z lokatorką. Ale jak tu mieszkać, kiedy ogrodzenie zniszczone, złotki kradną, a przedsiębiorstwo komunalne nie kwazi się do stawiania nowego?

Wtedy pomysłodawcy tego parkingu poszli Kociołkom na rękę. Przejakowali mianowicie lokalizację czterech szamb i zbudowano je na parkingu. Przy okazji wyniki kłopoty, bo w trakcie budowy wyłaziła kurczawka. Mieszkańcy Kilińskiego i Jutrzkowickiej zaczęli się cieszyć, bo na kurczawce nie można złożyć cmentarza, ale pospieszyli się z tą wiarą i nadzieją. Ludzie umierają i na cmentarzu robi się ciasno, w związku z czym cmentarz musiał być rozszerzony.

Szamba znalazły się tak blisko domu Kociołków że zgodnie z przepisami trzeba go było rozebrać. I to było właśnie ów „pójście na rękę”, po co ludzie

mają się męczyć w starym domu i szarpać ze złodziejami? Kociołkowie chcieli jeszcze wykupić swój własny dom do rozbiórki, ale sprawa była już zaklepana. Ktoś nabył ten dom za symboliczne ponad dwieście złotych. I ów szczęśliwy nabywca w końcu w styczniu 1981 roku wternął na teren posesji i zaczął rozbierać dach, kiedy lokatorka jeszcze się nie wyprowadziła, a Kociołkowie nie zdążyli wywieźć swoich rzeczy.

Ostatecznie Kociołkom została działka o powierzchni 1116 m kw. Kociołek założył ogrodzenie i zrehabilitował teren, na którym jednak nie wolno było prowadzić żadnych inwestycji. Wody nikt im nie chciał założyć, chociaż zaręczał piśmiennie, iż nie zadają zwrotu kosztów, gdyż działka poszła pod spych.

Stwierdzono, że na działce jest studnia. Ano jest, tyle że z wodą podskórna. A obok cztery głębokie szamba, więc studnia wysycha. Władze zobowiązały przedsiębiorstwo komunalne do założenia wody, ale ono się z tego sprytnie wywinęło. W końcu Kociołek sam sobie założył wodę.

Przepychanka z wodą wiąże się z osobistą historią Jadwigi Kociołek. Była technikiem budowlanym, ciężko chorowała, zwolniono ją z pracy. Przyszły dziadek i wydatki, podskoczyły ceny, toteż taka działka mogła w jakimś stopniu wzmocnić budżet rodzinny. No i Kociołkowa szarpała się na drugi „faktulat” — skończyła technikum ogrodnicze.

Dziś na działce stoi stary budynek inwentarski, nieznacznie tylko wzmocniony, bo nie wolno budować. W zagrodzeniu szaleje wilczur, wyczulony na złodziej-

stwo pospolite i hyeny cmentarnej, a w promieniach rozpalonego słońca mieni się tęcza woda tryskająca z mini-deszczownicy, zraszająca życiodajną wilgocią warzywa i kwiaty.

23 maja 1983 roku prezydent miasta Pabianic nadał Kociołkom pismo z decyzją o wywłaszczeniu. Jak dotąd decyzje otrzymali tylko oni, chociaż w końcu na Kilińskiego jej przedłużeniu — ul. Jutrzkowickiej — zagrożonych jest szesnastcie rodzin. Ludzie ci odbywali wielokrotnie pielgrzymki do Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Dobijali się do prezydenta miasta Łodzi oraz różnych wydziałów Urzędu Miasta Łodzi. Kiedy interweniowali w PRON, coś drgnęło, potem jednak sprawa wróciła na stare tory.

Prezydent Pabianic zaznaczył w swym piśmie, że decyzji o wywłaszczeniu należy nadać rygor natchemistowej wykonalności z uwagi na wyjątkowo ważny interes społeczny.

Jest nim pilna rozbudowa cmentarza komunalnego.

Wszyscy jesteśmy śmiertelni. Nie wiadomo, co komu sążone, lecz pewnym jest, iż w przyszłości na cmentarzu komunalnym spoczną zgodnie i po sąsiedku wierzacy i niewierzacy, komuniści i bezpartyjni, i pisarzy i te dawne okrzyki pod adresem sędziwego. A nowy cmentarz będzie na wprost kawiarni i hotelu „Włókniarza”, gdzie często odbywają się wesela. Marsz żałobny przeplatana się z pijackim śpiewem i melodią „Kacuzsek”.

Cmentarna sielanka bywa czasem wesoła i pełna pogody. Ale nowy cmentarz sprawia dość posępne wrażenie. Bez drzewna, kamienna pustynia. Pozostawiono dość rozległe pustki kwatery, na których żółci się wypalona przez słońce trawa. Daj nam Boże, zdrowie, wspomóż medycyno! Bo umierać można, miejsca starczy jeszcze na dwa lata.

A za plotem ciągnie się pole osiemdziesięcioletniego kombatanta bez następcy. Ziemia nie najwyższej klasy, częściowo wro-

nych. Zenon Wdowiak spod sześćdziesiątego piątego na Jutrzkowickiej, pokazuje wielki blok murywanym domom po drugiej stronie i kilka mniejszych i mówi:

— Cmentarz katolicki ciasny, lecz pełen zieleni. Tam skromnie, a tu rozmach. Ten dom wykupia na biurą, do tego ma być szerokie zaplecze.
— A drzewa?
— Wtyna! Sady też, te wspaniałe jablonie, inne drzewa, krzewy. Na Jutrzkowicką przelinknie smród z fabryk. No i popatrz pan, tu jest że dwa metry niżej, trzeba to zasypać ziemią. A poza tym robi się niebezpiecznie.

Na ulicy pod cmentarzem katolickim zdarzają się napady.
— A raz — mówi Wdowiak — idę na ranną zmianę, a tu za mną kobieta w krzyku! Patrzę, a ona jak trup. Ktoś rzucił przez parkan wieniec na szyję.

Cmentarz komunalny ma być rozbudowany do ul. Kilińskiego. Podobnie, jak katolicki, znajdzie się na wprost stadionu MRKS „Włókniarz”.

— Jak to wypadło? — zastanawia się z wściekłym humorem Zenon Wdowiak. — Ksiądz celebryta, działacz przemawia nad grobem zasłużonego, a na meczu piłkarskim ryk, gwizdy i te dawne okrzyki pod adresem sędziwego. A nowy cmentarz będzie na wprost kawiarni i hotelu „Włókniarza”, gdzie często odbywają się wesela. Marsz żałobny przeplatana się z pijackim śpiewem i melodią „Kacuzsek”.

Cmentarna sielanka bywa czasem wesoła i pełna pogody.

Ale nowy cmentarz sprawia dość posępne wrażenie. Bez drzewna, kamienna pustynia. Pozostawiono dość rozległe pustki kwatery, na których żółci się wypalona przez słońce trawa. Daj nam Boże, zdrowie, wspomóż medycyno! Bo umierać można, miejsca starczy jeszcze na dwa lata.

A za plotem ciągnie się pole osiemdziesięcioletniego kombatanta bez następcy. Ziemia nie najwyższej klasy, częściowo wro-

bleko po piasku i glinie. Właściciel mówi, że jak państwo dobrze zapłaci, to on chętnie sprzeda. Wystarczy przysnąć o to! Jest głowy cmentarz rozszerzany.

Byłoby nie za głęboko z tym rozwijać. Bo z cmentarza widok pobliskie ujęcia wodne, budynki stacji z hydroforami. A pod ziemią biegnie zakolem magistrała wodna. Są też studnie głębinowe. Czesław Kociołek marzy na głos:

— Jakby podszli z cmentarzem sto metrów od ulicy, to by można żyć. Dom według przyspów 35 m od ruchliwej ulicy i 50 m od cmentarza. A jak pojedą do końca, to kładź się i umierać.

Zenon Wdowiak pokazuje swój słony piętrowy domek z czarnej cegły, z białymi oknami.

— Mnie chcą uciąć działkę w połowie stodoły. A dom może stać do śmierci technicznej. W ten sposób ja utworzę cmentarną enklawę. I umrę tam, bo jakże to nie renować domu i rzekną, że mi się na łeb zaważy! W tym samym domu brat ma zakład krawiecki. Pod parking mają iść dalsze zabudowania. Magazyny „Ruchu” i zakłady kamieniarskie też pójdą pod spych.

Kociołek staje przed studnią głębinową na terenie klubu „Włókniarz”.

— Studnia zasła w wodę urządzenia socjalne. Od cmentarza jest w le stronę spąd. W Łowiczu wskutek ziej, lokalizacji cmentarza woda została ponoć zatruta trupim jadem.

26 listopada 1982 roku mieszkańcy wystali petycję do Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji w Łodzi z prośbą o zmianę lokalizacji cmentarza. Wskazywali, że zamiast wyburzać posesję od numeru 57 do 69a, można przeznaczyć na cmentarz ponad 3 ha gruntu przylegającego do istniejącego już cmentarza od strony południowej. A parking, który wykorzystuje się raz w roku, tj. 1 listopada, można zlokalizować na bezdrzewnej, drugiej stronie ulicy Kilińskiego, tworząc zatokę.

Wysuwali również myśli, iżby na parking wykorzystać pusty teren przy ul. Orlej. Gdyby wjazd

na cmentarz komunalny prowadził przez cmentarz katolicki, droga byłaby 13 szanu i nikt by się nie porobił.

— Tymni słowa — zamast wyburza domy i placie milionowe oszczędności oraz przysiedziad 16 rodzin do spółdzielczych mieszkań (średnio 1 mln zł każde), można by te miliony przekazać Społecznemu Komitetowi Gazownictwa z Jutrzkowic oraz pomóc w budowie osiedla domków jednorodzinnych.

Władza zapewniła w piśmie, iż działka w interesie społecznym. Jak z powyższego wynika, mieszkańcy też nie kierują się wyłącznie prywatną. Oszczędność obowiązuje wszystkich, a planowanie za biurka nie popłaca.

11 lipca 1983 roku z Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska nadeszło pismo, w którym stwierdzono, iż w wyniku dokonanej dnia 7 lipca br. wizji lokalnej oraz analizy dokumentacji ministerstwo uznaje, że brak jest podstaw prawnych do uchynienia decyzji o zatwierdzeniu planu realizacyjnego rozbudowy cmentarza komunalnego w Pabianicach.

Ostatnio Sejm wyraził zgodę na utworzenie z MAGTOS dwu ministerstw. Rolnicy z dalek położonych gospodarstw na Jutrzkowickiej pewnie wybiorą się do władczego. Cmentarz nie puszcza dalej, bo nastawili się na hodowlę.

Jadwiga Kociołek:

— Podczas wizji lokalnej jeden z członków komisji bersawował mi, że skoro mieszkam w bloku, to działka jest niepotrzebna.

Obywatel ma prawo do działki za życia, żeby mógł korzystać z żywności i rekreacji. A o śmierci ma takie samo prawo do działki na wieczny spoczynek. Lecz zanim powiemy „Amen”, należy te interesy rozumnie pogodzić.

RYSZARD BINKOWSKI

Ostatni service

Śmierć. Koniec drogi, smutny, ostatni przystanek. Kres ciężkiej wędrowki, choć wielu twierdzi, że to dopiero początek. Rozpacz, żyz, żaloba po Nim lub po Niej.

Życie już się w nas nie tli, ale klebi się nadal wokoło, prozaicznie bardzo i namacalnie. Choć, na szczęście, te nerwy, biegania, załatwianie formalności, papierków — już nas nie obchodzi. Trochę złośliwej satysfakcji nawet: niech teraz w mojej sprawie pobiegają nieco. A ja już spokojnie, nigdzie się nie spiesząc — nożki razem i rączki zaplecione...

Każdy staje wówczas przerażony, bezradny, zrozpaczony. Kostucha zabiera kogoś bliskiego. Zamiast jednak koić ból rozważaniem natury filozoficznej nad życiem doczesnym, ewentualnie wiecznym, tu niesympatyczna, szara codzienność brutalnie każe nam załatwiać jakieś formalności. I tu nam ręce opadają: gdzie? jakie papierki? skąd trumna? a skąd wieniec?

Zapamiętała w bólu rodzina blaska się więc między urzędami, szpitalami, kwiaciarzami. Jeszcze gorączkowe poszukiwania czarnej odzieży (nie wspominam o tych, którzy mają w szafie ubiór „na każdą okazję”), jeszcze telegramy do krewnych, nekrologi. Wreszcie smutny finał, czyli — by trzymać się nomenklatury — wyprowadzenie, drogi nam zwłok... Pozostała już później tylko stępa, na której wspominamy ciepło nieobecnych, którzy odeszli, nie wspominamy natomiast dyskretnie o kosztach „organizacyjnych”...

Ogłoszenie w gazecie codziennej zaszokowało mnie nieco. Prywatne Biuro Posrednictwa w Organizacji Uroczystości Pogrzebowych załatwia wszelkie formalności związane z pogrzebem oraz prowadzi sprzedaż konfekcji w kolorze czarnym (...). Tu następowal adres i krótki apel do dostawców trumien skierowany. Czyżby narazicie punkt usługowy w branży tyle dyskretnej, co niezbędnej dla każdego?

Ruchliwe skrzyżowanie w centrum miasta Gołńska 57. Wejście z bramy. Niewielki pokój w kolorze ciemnozielonym, na wieszakach czarne wdzianka i spodnie, za stołem wasyły blondyn. Gdy wyjaśniam kłom jest, z twarzy znika młody służbowy śmiech. Chętnie zgadza się na rozmowę, choć od razu zaznacza, że doświadczeń wielkich nie ma, bo czystule dooftero dwa miesiące. Wystarczy to jednak, by przekonać się, że tego typu działalność jest bardzo potrzebna.

— Załatwiał pan kiedyś wszystkie formalności z pogrzebem związane? No, to wie pan doskonale ile z tym kłopotu będącym, ile spraw zwala się człowiekowi niespodziewanie na głowę i ilu ewentualnych natrafień żerować na ludzkim niebezpieczeństwie. Wszyscy o tym wiedzą, choć każdy dyskretnie niezmięła, ale facet z krzyżem na cmentarzu nie ruszy się, jeśli nie zobaczy 500 złotych.

Pomysł zrodził się dwa lata temu. Znajomi i rodzina początkowo żartowali, ale jak z każdym rozmawiałem poważnie, to na chwilę zastanowienia przerywali i tak, usłubi bardzo by się przydały. No i zezwolił mi się Anka z żoną załatwić wszystkie, niezbędne papierki.

Doświadczeń nie miał żadnych właściwie. Bo i skąd. Dla sportu rzeź, a trochę z chęci „zapania” paru groszy próbował kiedyś handlu kwiatami przed cmentarzem. Przed Dniem zmarłych, rzecz jasna. Dziś ze śmiechem wspomina, jakie wtedy mu-

szą zapłacić „rycove”. Sporo dni wcześniej ruszył do podlódzkiej hodowców szukać tzw. dąbków. Nie znając się na geografii zakupił, bez większych kłopotów „zakontraktował” w północnych rejonach województwa partię kwiecia po 200 zł za sztukę czyli doniczkę. Dumny był z siebie bardzo, aż do dnia, gdy tak jak inni stanął pod ogrodzeniem cmentarza na Mani ze swymi dąbkami. Miał najdroższe — po 250 złotych, choć wcale nierewelacyjne w porównaniu z innymi sprzedającymi. Ale tamci brali po 150 złotych za doniczkę, nawet po 100. Nie bardzo wiedział co jest grane, bo i handel nie szedł. Wreszcie jakaś kobieta, co to obok chryzantemy z wiadra sprzedawała, oświeciła go. Okazało się bowiem, że gdyby pojechał na południe od miasta, tak jak wszyscy, bez kłopotów kupiłby takie same kwiaty o 100 złotych taniej. Stracił wtedy kilkanaście tysięcy, pożyczonych zresztą...

Lokalu na swoje biuro szukali początkowo w śródmieściu. Stosowni urzędnicy nie bardzo wiedzieli jak ich sprawę ugryźć, bo to ani krawiectwo lekkie i bielźniarstwo, ani dorabianie kluczy czy napielnianie zapalnicy. Biegali sami i szukali stosownego locum. Gdy znaleźli, przy gorszej co prawda niż dziś istniejącej ulicy — zaczęły się kłopoty. Niby lokal nie używany, ale jakos dziwnym zbiegiem okoliczności otrzymywali nań same odmowy. Pan Krzysiek chciał się nawet odwoływać do Naczelnego Sądu Administracyjnego, ale ostatecznie, zamiast zadzierać z władzą — zmienili dzielnicę. I jak ręką odjął: otrzymali zgodę i lokal.

Przerwywamy na chwilę rozmowę, bo zjawiają się klienci. Pan Krzysztof poważnie, z uwagą i współczującym wyrazem twarzy wysłuchuje dwóch mężczyzn, którzy dopytują o możliwości zorganizowania przewozu zwłok z podlódzkiej miejscowości, pytają o trumny, wieniec, formalności na cmentarzu.

— Przewóz załatwiam, oczywiście, trumna dębowa? Dobrze. Takie mam wieniec do wyboru, proszę, to są zdjęcia, niech mi panowie tylko podadzą jakie napisy mają widnieć na szarfach.

Wypisuje rachunki. Okazuje się, że mają już akt zgonu, ale nie wiedzieli, że przy transporcie na odległość ponad 60 kilometrów niezbędne jest zaświadczenie lekarskie, iż zmarła osoba nie cierpią na choroby zakaźne. Mężczyźni pędzą po papierkę, pan Krzysztof wysłała żonę do „komunalnego” ustalić termin przewozu.

— Widzi pan, największy szkopuł mam właśnie z tymi przewozami. Monopolista jest „komunalny” i tu mogę tylko pośredniczyć. Wiem, że na ich pracę jest masa narzekań, ale oni zdają sobie doskonale sprawę, że nikt ich nie zastąpi. Gdyby tak miał samochód i czterech ludzi do noszenia. Z samochodem nie byłoby nawet kłopotu. Nysę można by znaleźć, ale kto do mnie przyjdzie pracować, jeśli każdy z tych ludzi musi zarobić te 20 tysięcy miesięcznie, a ja tu jak dotąd z trudem wiąże koniec z końcem. Nawet na ogłoszenie w prasie mnie często nie stać. A bez tego niewielu do mnie przyjdzie.

Rozmawiał nawet z kilkoma z „komunalnego”. Chętnie by do niego przystali, zarzekali się, że nie będzie awantur, kulturalnie, bez alkoholu, jak powaga to powaga. Na cmentarzu i po drodze. Ale samochód, paliwo, ich pensje, podatki — 100 tysięcy miesięcznie by nie wystarczyło. Dlatego taka konkurencja dla miejskiego monopolisty, choć przydałaby się, jest tylko w sferze marzeń. Podobnie jak telefon, bez którego są jak bez ręki. Zona dzielnie pomaga, ale by udac się do stolarza, zamówić odpowiednie trumny czy załatwić papierki na cmentarzu pan Krzysztof po dwóch, trzech godzinach urzędowania musi zamykać firmę i ruszać w miasto. A w tym czasie klienci odchodzą od drzwi z wulkaniem. Pożalenie o telefon oczywiście złożył, ale szanse na zainstalowanie mają — jak im powiedziano — praktycznie żadne.

— Tak narzekam, a pan nawet nie wie dokładnie, jakie usługi proponuje. Zajmuję się więc pobieraniem z USC aktu zgonu, zamawianiem trumny wraz z przewozem, załatwianiem wszelkiej sprawy w kancelarii cmentarnej, a także wieniec, kwiaty, szarfy. Zamawiam nekrologi, ogłoszenia o zgonie zgodnie z życzeniem także fotografa na samą uroczystość. Od wrenia prowadzę sprzedaż drobnej konfekcji i dodatków — torebki, opaski, woalki itp. Wiem, że tego typu biuro powinno zajmować się kompleksowo sprawami z pogrzebem związanymi i do tego, mam nadzieję, kiedyś dojdzie. O nieprawie już wspomnieliśmy, a chciałem jeszcze zaproponować załatwianie spraw związanych z powiadamianiem

rodziny i zamawianiem pomników czy grobowców. Mogę to organizować, tyle że ja mam prawo pobierać dla siebie od sumy świadczonych usług i towarów 12 procent. Co biorąc pod uwagę niesamowicie ceny skromnych nawet pomników klientów raczej nie zachęca...

Znow truje. Wszyscy na czarno, szare, zmęczone twarze, podkrążone oczy, dramat świeżo wypisany na obliczach. Ugadniają cichym głosem szczegóły pogrzebu, podają niezbędne dane. Gdy starszy mężczyzna mówi, że syn, lat dwadzieścia pięć, obie kobiety jeszcze bardziej biedna, znow podnoszą chusteczki do oczu.

— Proszę pana — mężczyzna pochyla się nad biurkiem — bardzo proszę, nie chciałbym tam, na cmentarzu jakichś niepotrzebnych dyskusji z tymi kopaczami, jakichś kłótni o pieniądze. Niech pan to załatwi, jeśli można proszę, pan zna zapewne ich stawki, następnego dnia ureguluję te rachunki również...

— Oto najlepszy przykład — wraca do tematu pan Krzysztof po ich wyjściu. — Ludzie wiedzą, że na cmentarzu nie brakuje osób, które na czyjejs tragedii umieją zarobić. Nie da pan facetom od noszenia trzech tysięcy, to będą trumny na wózk pchał. Nie da pan kopaczowi doli — będą się w trakcie formowania grobu śmiać, chichotać, fartu stroić. Taka kara — jak sami twierdzą — gdy ktoś chce ich zbyć setką czy dwoma, to oklepywanie grobu. Albo trumnę wrzucić, zamiast pozwoli spuścić. Toteż pomagam jak mogę, by nie dochodziło do nieprzyjemnych sytuacji...

Znają go już na lódzkiej miejscach ostatniego spoczynku. Jego widok wywołuje wśród mężczyzn uzbrojonych w szpadle małe poruszenie: — Oho, jest pan Krzysiek, będą pieniążki... — I są, bez niepotrzebnych scysji, a rodzina jest wdzięczna i nie zdążyło się przez dwa miesiące działalności, by nie przyszli uregulować spraw finansowych i podziękować. Tylko niektórzy kierownicy cmentarzy traktują go jak konkurencję...

Jakoś nie pasuje mi wciąż obraz dziarskiego młodzieńca na tle tego smutnego z konieczności pomieszczenia, zdjęć smutnych wienców i wiązanek. A wkrótce w rogu pokoju ma jeszcze stanąć kilka trumien, by klient mógł na miejscu wybrać i zamówić odpowiednią. Dla kogoś, kto w najbliższych dniach nie wybiera się jeszcze na tamtą stronę, jeśli nie wieje grozą, to skóra jakos dziwnie cierpnie.

— Czy wierzę w życie pozagrobowe? Nie powinienem, chyba nie, choć miałem w życiu kilka dziwnych przypadków, niewytłumaczalnych. Pamiętam jak odwiedził mnie nieżyjąca już babcia. Miałem kilkanaście lat, odwiedziłem w domu na akordonie, uczyłem się w szkole muzycznej, zresztą trochę grałem jeszcze wiele lat później, miałem swoją kapelę. Ale wtedy byłem sam w domu, nie wiedziałem, że rodzice wyjechali do babci, która jak się później okazało, zmarła tego dnia rano. No i siedzę przed nutami, a tu słyszę szuranie w przedpokoju, drzwi się uchylają, a ja nikogo nie widzę. Skamieniałem ze strachu, czuję że ktoś koło mnie się przesuwają, to charakterystyczne habci szuranie. I widzę jeszcze, że narzuła na tapczanie się waniała, jakby ktoś śiadł w tym miejscu. Długo już nie wytrzymałem, jak szalony wyprysnąłem z domu. A wieczorem rodzice wrócili i dowiedzieli się, że babcia zmarła...

Innym razem byłem u wujka na wsi, siedzę z jego wielkim nsem, takim brytanem za stodołą i w ognisku kartofle nieke. Wieczór już był, słyszę jak ktoś przedziera się przez pobliskie krzaki. Szanie wyraźnie, a Roy jakos dziwnie wyć zaczyna, co fa się, ogn podkulił...

Ale dlaczego pan już idzie? Nikoś nie ma, możemy jeszcze trochę porozmawiać, to autentyczna historia, chyba się pan nie boi?...

**Szybciej niż zamierzał poświęcił się:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI**

Szmacyany biznes

2

PAWEŁ TOMASZEWSKI



Pan Benon był polskim Żydem z Brzezin. Do Wielkiej Brytanii zjechał tuż przed wojną. Tam się też ożenił i został. Zaczynać musiał skromnie, ale ze głową miał na karku, wiodło mu się coraz lepiej.

Pan Benon robił w szmatach. Rzecz jasna, nie sam i nie osobiście. Miał do tego ludzi. Był właścicielem niewielkiego przedsiębiorstwa zajmującego się — jak byśmy to powiedzieli — skupem, sprzedażą i wstępną przeróbką surowców wtórnych, ale tylko tekstylnych. Od pomniejszych przedsiębiorców, śmieciarzy i skąd się tylko dało kupował hurtowo zużyta odzież, sortował odpowiednio, jedno zsywał, drugie rozcinał, po czym sprzedawał gdzie i komu tylko mógł. Rzecz jasna, nie sam i nie osobiście.

Najchętniej zatrudniał rodaków z Polski, przyjeżdżających na zarobek, a to z dwóch powodów: mogli im płacić znacznie mniej niż Brytyjczykom oraz ponieważ wiedział, że zrobią prawie wszystko, by tylko dostać choć parę funtów więcej. To zaś gwarantowało mu maksymalny zysk, bo o to w końcu chodzi.

Rodacy najczęściej mieszkali na terenie fabryczki w specjalnie wydzielonych pomieszczeniach. Stało tam parę łóżek, na których jednak nie wszyscy mogli się pomieścić. Nowi spali więc często na podłodze, pokornie czekając w kolejce na wolne łóżko. Do dyspozycji mieli kuchenkę na poddaszu, ubikację na każdym piętrze i łazienkę, mieszczącą się obok biura.

Pan Benon potrafił sobie za to wszystko 5 funtów z tygodniówki, czyli prawie nic. Stać go było przy tym i na ten jeszcze gest, że codziennie rano przywoził swoim ludziom świeżutkie pieczywo, więc trudno powiedzieć, że co właściwie te funty potrafił. Sam mieszkając, oczywiście, zupełnie gdzie indziej — w luksusowej dzielnicy, w pięknym domku z ogródkiem, wśród zieleni i takich jak on, przykładowych obywateli Zjednoczonego Królestwa.

W jego „szmacyanym biznesie” nad Tamizą pracowało kilkanaście osób. Byli wśród nich dorabiaczy z nudów i przyzwyczajenia londyńskiego starszactwa i starszki, potężny Murzyn z Jamajki, parę Polek i paru Polaków. Anglicy pracowali legalnie i na stałe, Jamajczyk — już dosyć długo, Polacy — po kilka miesięcy i naturalnie „na dziko”. Panu Benonowi wcale to jednak nie przeszkadzało.

Zaczynali o siódmej, o ósmej pili kawę, przed dziewiątą jedli śniadanie, w południe — znowu kawa, o trzynastej — lunch, o piętnastej — dla odmiany — herbata, w dwie godziny później — fajerant i do domu. Ale do domu szli tylko Anglicy i Jamajczyk, który musiał się przebrać, gdyż od osiemnastej do północy był barmanem w pubie. Pozostali, czyli nasi, „wrzucali coś na ruszt”, prostowali plecy i do późnego wieczora, a nieraz jeszcze dłużej sortowali szmaty na akord, zapominając o całym bożym świecie.

Nie inaczej było w weekendy, choć w sobotę już od południa mogli leżeć do góry brzuchem lub też zwiędzać zabytki Albionu. Mogli, ale nie chcieli. Szkoda czasu, szkoda pieniędzy. Nie na zwiedzanie tu przyjechali. Co innego wyskoczyć na pocztę, czy w niedzielę na bazar, gdzie można było kupić wszystko, i to taniej niż w sklepie. Kupowali więc — głównie żywność. Przede wszystkim dlatego, żeby nie umrzeć z głodu, bo gdyby nie ta świadomość, darowałoby sobie zapewne taką rozrzutność. Kupowali jakieś konserwy, paczkowane okrawki wieprzowiny, dzemy, czasem nawet świeże warzywa i owoce, bo tych w Londynie nawet zimą nie brakuje. Z kawalków chudszej wieprzowiny robił zwykłe gulasz na niedzielny obiad, tłuste topił na smalec do chleba na resztę tygodnia. Nie po to tu przecież przyjeżdżali, żeby się obżerać.

— W „szmacyanym biznesie” panował porządek. Każdy znał swoje miejsce, wiedział, co ma robić. Jak praca, to praca. Jak spanie, to spanie. Raz na tydzień — wypłata. Kto chciał, brał gotówkę, kto nie — powiększał swoje konto w biurze, które likwidował przed wyjazdem do kraju. Ale ile kto brał lub ile miał na

koncie — o tym się nigdy nie mówiło, choć każdy tylko o tym głównie myślał. Liczył, przeliczał, podliczał. Ważne było na przykład, żeby końcówka każdorazowej wypłaty wynosiła 5, bo pan Benon płaćł właśnie pięciofuntówkami i nigdy nie miał drobnych, więc dawał tylko „okrągłe” sumy.

Polaków dzielił pan Benon na chłopców i dziewczyny.

Chłopcy mieli po trzydzieści i więcej lat, żony i małe dzieci, podstawowe, średnie lub nawet wyższe wykształcenie, różne zawody, poglądy, możliwości — ale w kraju. Tu byli chłopcami i mieli tylko imiona. Reszta nie powinna nikogo obchodzić.

Był więc Wojtek, Tadek, Julek, Leszek. Pracowali w głównym budynku na pierwszym piętrze. Za pracę do siedemnastej dostawali 35 funtów tygodniowo, potem mogli robić na akord.

Trafiali do nich „szmaty” wstępnie już podzielone i zbelowane „w baleron” przez drobniejszych hurtowników. Beły były różnej wielkości i różną miały zawartość. Jeśli była to tzw. „kłoba” — przeważnie spodnie, marynarki, jeśli „lajpa” — dzinsy, koszule, bluzki (najczęściej bawełniane), a jeśli „serdz” — płaszcz, kurtki, zasłony...

Taką bełę trzeba było rozpiąć, drut schować do worka, by mógł być powtórnie użyty, po czym zawartość beły odpowiednio posortować. Rzeczy jasne — na jedną kupkę, teksas — na drugą, bawełnę — na trzecią, syntetyki — na czwartą, czystą wełnę (to była „świętość” i nie daj Boże się komuś pomylić) — osobno, bo na wełnie pan Benon zarabiał najwięcej. Eksportował ją nawet do Polski.

Rzeczy brudne odkładało się na bok, mokre — na rurę, żeby wyschły, a od wszystkiego, co ciemne, odpruwało guziki, zatrzaśki, haftki, klamki, ekspresy, po czym rozcinało tak, by powstawała „szmata otwarta”. Jeśli na początku określenie to kogoś nawet śmieszyło, przestawał się śmiać, gdy usłyszał, że za rozsortowanie i pociepie po godzinach małej beły (około 100 kg) płacił pan Benon 2,5 funta, zaś dużej (od 300 do 600 kg) — trzy razy tyle. To były pieniądze!

Drugie piętro — Romek, Jamajczyk Roni, dwie starsze Angielki oraz Kasia i Zosia — robiło mniej więcej to samo. — Romek dowodził beły i rozpiął, Angielki i Roni — sortowali, Kasia i Zosia — cięły elektrycznymi nożami.

Pozostałe dziewczyny pracowały „u Lajca”, czyli w drugim budynku. Jedne naprawiały to, co nadawało się jeszcze do użycia, a co pan Benon sprzedawał handlarzom, zsywały przecięte równiutko przez środek wojskowe swetry z demobilu, inne — sortowały.

Do „lajca” przywożono worki. Do tych worków angielskie gospodynie wkładały niepotrzebne już „szmaty”, i gdy były pełne — wystawiały przed dom. W tych workach było wszystko: suknie, spodnie, bluzki, majtki, rajstopy, swetry i buty. Nieraz trafiały się firanki, całe kopony materiału, kozuchy — bywało, że w dobrym jeszcze stanie, więc kiedy nikt nie widział. Tak właśnie ubierały się polskie dziewczyny w zachodnie ciuchy. Tak napychały walizy, by po powrocie do kraju wzbudzić zazdrość ciot i koleżanek. A trzeba przyznać, że gust miały niezły...

☆☆☆

I to ma być praca? — powiedział Roman. — Sucha, w ruchu... To mi się podoba.

Irena również była zadowolona. Żeby jeszcze nie musieli dojeżdżać... No, ale skoro nie ma tu już gdzie spać, trudno. Całe szczęście, że w porę przesiadli się z miejskiego autobusu do swojego samochodu, bo straciłby na bilety sporo forsy. I kto by pomyślał, że wozem jest taniej? Zupełnie odwrotnie niż w Polsce.

Codziennie dowiadywali się jakichś nowych rzeczy. Długo na przykład nie mogli zorientować się, co to takiego „bangla”. Ciągłe szły do słowa. U „lajca” na „bangle” szły podkoszulki, dziecięce ubranka, rajstopy, majtki, jakieś cienkie bluzeczki, firanki... Dopiero po paru dniach ktoś im powiedział, że rzeczy te — nie zawsze czyste i całe — wysła się do Bangladeszu jako pomoc charytatywną. Nie mogli uwierzyć.

W tym samym mniej więcej czasie pan Benon zaproponował im dodatkową pracę. Jak chcieli, powiedział, to możecie robić belki,

idźcie do chłopców z pierwszego piętra, to wam powiedzą i pokażą, co i jak.

Zeszli po fajerancie. Chłopcy nie byli zbyt rozmowni, ale stwierdzili, że patrzeć mogą sobie do woli. Siedzieli we trzech nad dziurą w podłodze, do której wrzucali różne części garderoby. Każdy miał w ręce długi ostry noż, na kolanach trzymał jakąś bluzkę i ciach! — jednym ruchem ręki pozbawiał ją wszystkich guzików, które rozpryskiwały się po całej podłodze. Brał drugą — ciach... Jakies spodnie... Pod dziurą w podłodze, na parterze podstawione było duże metalowe pudło na kółkach. Gdy się napelniało, któryś z chłopców wskakiwał do niego, udeptywał szmaty, jak kapustę, wracał, znowu wrzucali, udeptywali i tak do momentu, kiedy było już naprawdę pełne. Potem podjeżdżali pudłem pod prasę, zakładali druty, belowali...

Nie było to zbyt skomplikowane, stwierdzili więc, że na pewno dadzą sobie radę. Ona będzie sortowała, on — ciął i wrzucał. Na początek wzięli na próbę dużą i małą bełę — razem za 10 funtów. Skończyli robotę o drugiej w nocy, udeptywali szmaty, jak kapustę. Jasne, że nie mieli jeszcze wprawy, że szło im to opornie, że ruchy nie były tak płynne, ale — co u licha — tamci też brali taką porcję, tyle że na każdego, a nie na dwóch, i kończyli już o dziewiątej. Nie dosyć, że robili dwa razy szybciej, to jeszcze dwa razy więcej. Coś im się tutaj nie zgadzało. Taka różnica...

Poszli do chłopców jeszcze raz, by wyjaśnić tę zagadkę. No, przecież widzieliście, odpowiedzieli i — ani słowa więcej.

Po tygodniu mieli dosyć. Zaczęli im puchnąć dłonie, spali po dwie, trzy godziny na dobę, leżąc patrzyli na oczy. Ciągłe nie mogli zrozumieć, jak to się dzieje, że ci z pierwszego robili to tak szybko. I pewno jeszcze długo nie zrozumieliby tego, gdyby nie przypadek.

Leszkowi kończyła się ważność wizy i musiał wracać do kraju. Jak było w zwyczaj, na dzień przed wyjazdem zaprosił wszystkich do pubu na whisky. Było nawet miło, bo alkohol rozwiązał nieco języki, sypały się dowcipy, pan Benon był w dobrym nastroju. Prosto stamtąd wrócili do „biznesu”, a że Roman miał jeszcze skończyć bełę, mimo późnej pory, zabrał się do pracy. I wtedy przyszedł Leszek, rozluźniony, na sporym rauszu. Z politowaniem popatrzył, jak Roman mozolnie odcina od bluzki małe kawałki guzików, wyrwał mu ją z rąk i powiedział: czy nie widzisz, że ona jest brudna? Brudna? — dziwił się Roman. No, nie widzisz, jak jest ubrudzona tymi guzikami? — i wyrzucił bluzkę do brudów. A to, zobacz, przecież to jest mokre — i powiesił na rurze. To jest jasne, więc nie musisz ciąć, a to teksas, może trochę naciągany, ale teksas i też nie musisz już z tym nic robić... Rozumiesz?

Nagle niespodziewanie pojawił się Wojtek, dopadł Leszka, chwycił go pod ramię i bezceremonialnie odcignął na bok. Co ty robisz? Po co go uczysz? To co, że wyjeżdżasz, a ja zostaję... — usłyszał Roman cichy szepot Wojtka, i w jednej chwili zrozumiał wszystko.

W następnym tygodniu też kończyli z Ireną już o dziewiątej, a pan Benon wypłacił im nie 120, lecz 160 funtów. To już było coś! 500 funtów czystego zysku na miesiąc, po odliczeniu kosztów mieszkania i wyżywienia. Jeszcze 100 i starczy, żeby wpłacić na „malucha”.

☆☆☆

Na święta Bożego Narodzenia pan Benon wyjechał z rodziną na narty do Szwajcarii. „Szmacyany biznes” został pod opieką swego zastępcy, przydzielając chłopcom i dziewczynom robotę do Nowego Roku. Świętować mogą sobie w Polsce.

W Wigilię Anglicy mieli już wolne. Polakom praca nie szła jak rzadko kiedy. Roman przywoził telewizor, wypożyczony na trzy miesiące za jedyne 10 funtów, a Irena — garnek bigosu do gotowania. Ustawili telewizor na szmatach, dziewczyny przyniosły butelkę wina. Nikomu się dzisiaj nie soleszyło. W trzecim programie leciał dobry film. W czasie przerwy na reklamy Irena wychodziła do kuchni zamieszać. Ten bigos miał im wystarczyć za całą kolację wigilijną, tu, w Anglii przypominać Polskę. Łzy same cisnęły się do oczu...

Ze zrozumiałych względów imiona bohaterów reportażu zostały zmienione.

Przed ladą

Kto robi interes

Nie lubię zakupów w wolne soboty i — jak dotąd — przeważnie udaje mi się ich unikać. W jedną z ostatnich sobót, już podczas przygotowywania obiadu, okazało się, że brakuje pietruszki. Na szczęście w pobliżu domu jest kilka warzywnych kiosków, często również stoją działkowicze, oferując warzywa, owoce i kwiaty. Była marchew, kapusta, nawet

kabaczki — nikt jednak nie miał pietruszki. Wreszcie w jednym z kiosków zauważyłam kilka drobnych, białych korzeni. Gdy sprzedawca, oprócz pietruszki, zaczął ważyć także selera i marchew — zaprotestowałam. „Samej pietruszki to ja nie sprzedam — wyjaśnił kategorycznym tonem właściciel kiosku. — Albo całą wzięć, czyżne, albo nie”. Jak wyni-

kało z dalszych wyjaśnień, powodem zastosowania takiej wianej sprzedaży były ceny. Umowne. „U mnie warzywa droższe, niż u innych — przyznał się szczerze kioskowicz — więc wszyscy chcą kupować tylko pietruszkę, bo tylko ją ja mam, a po resztę idą gdzie indziej. To dla mnie nie interes...”. Argument przekonujący. Nie kupiłam pietruszki — bo razem z dodatkiem pozostałych warzyw to znowu nie był interes dla mnie.

Wydaje się, że metody zastosowane przez sprytnego sprzedawcę warto by, w ramach reformy w handlu, upowszechnić. Chce klient kupić jajko — bardzo dobrze, ale do tego dwa słoiki niechodliwego dżemu z ubiegłorocznych zapasów. Nie chce dżemu — jajka też nie dostanie i tym lepiej dla niego, bo i tak pewnie zepsute.

Parę miesięcy temu po-

wszechne były skargi na znajdujące się w sprzedaży stare masło, wreszcie we wszystkich sklepach pojawiły się wszystkie informacje o terminach przydatności do spożycia różnych rodzajów masła, wraz z datą ostatniej kontroli jakościowej. Wywieszki pozostały do dziś, tyle, że nikt już nie wpisuje na nich daty, zresztą masło przeważnie jest świeże. Aby klientów za bardzo nie rozpieszczać — pojawiły się natomiast stare jaja. Wchodząc do sklepu przeważnie można poznać po zapachu, że właśnie tego dnia dostarczono ich „świeżą partię”. Brakuje natomiast prześwietlark do jaj — aparatu prostego w konstrukcji, niezbyt zapewne drogiego i kiedyś używanego powszechnie. Przyczyna braku prześwietlark jest oczywiście kryzys — prowadzący do bardzo wygórnego dla producentów i handlowców — niesłusznego, często słusznego —

przekonania, że ludzie i tak kupią wszystko. Są tacy, co kupią, ale są i tacy, którzy zaczynają powoli wydobyc się z szaleństwa nierozsądnych zakupów, tylko dlatego, że coś „rzucili”. Przykładem takiego rozsądnego spojrzenia na sklepowe półki jest kawa „Santana”, produkcji poznańskich zakładów „Amiwo”. Jest to, jak wynika z umieszczonej na pudełku informacji, rozpuszczalny ekstrakt kawy naturalnej i zbożowej. Produkt smakiem i zapachem przypominający do złudzenia tę drugą, ceną — pierwszą (198 zł za 100 gramów). Brak na pudełku informacji o procentowym składzie „Santany”, nie ma jej również na opakowaniach zbiorczych, trafiających do sklepów.

Nie podejrzewam producenta, iż sprzedaje po wyższej cenie po prostu „Inkę” w innym opakowaniu, sądzę jednak, że

zawartość prawdziwej kawy w „Santanie” jest tak niska, że bardziej opłacałoby się kupować ją w prywatnych sklepach lub za bony PKO po czarnorynkowej cenie. Inaczej — dlaczego nie poinformować konsumentów o składzie produktu? Działanie takie zakrawa na brzydką chęć nabicia konsumenta w puszkę (po Santanie). Nie wszyscy dają się na to nabrać. Dziwna mieszanka całymi tygodniami zalega sklepowe półki. A może warto by omijać z daleka także inne towary, których producenci chcą zrobić zbyt dobry interes? Tym sposobem zrobimy go my konsumenci.

KLIENKA

Idą przez rynek — teraz to już prawie park. Zadrzewiony, z alejkami, ławkami, gdy tak niedawno był jeszcze bruk. Niedawno? To tylko jemu nagie tak blisko do tamtych za brukowanych dni, gdy w rzeczywistości wieki już pewnie przebiegły.

— Popatrz, ten dom ma duszę — mówi Jerzy. — Wszystko tutaj ma duszę. Nawet te wyszczerbione schodki. Pamiętają jak dzieciaki rosły z dnia na dzień, po trochu. Najlepiej tu grało się w kanki. Widzisz jakie te schody wypolerowane?

— Przed domami, na ulicy — starzy ludzie na wyniesionych przed domy krzeselkach, stolikach. Obserwują idących.

— Siedzą tutaj ze swoją biedą, zylakami, nikt niczego nie ma do ukrycia, skoro i tak znają się tutaj wszyscy.

— A czy to dobrze, gdy tak wszyscy, wszystko, o wszystkich... Takie zaglądanie sobie do garnków?

— Chyba gorzej, gdy nie ma już kto zaglądać. Tu, gdy ktoś umrze, to chociaż z nudów, ale idą ludziska na cmentarz. Tu nie ma samotnych pogrzebów. O, knajpka. Chodź, zjemy, coś.

Usiedli, w pierwszej, bufetowej sali. W sąsiedniej zbyt gwarano, pewnie goraco, odgłosy sprzeczki. Nagle hałas, brzęk tłuczonego szkła, przez próg wpada do ich sali jakiś mężczyzna, wali się na podłogę potracając o stół, z rozciętej ręki leje się krew.

Z kuchni powoli wychodzi agent, idzie za ladę, mówi z kamiennym spokojem do stojącej za ladą dziewczyny.

— Leć, Heła, po milicję i niech przy okazji dzwonią po pogotowie.

Krystyna podniosła się od stolika, podchodzi do leżącego, bez słowa bierze od kelnerki ściereczkę, przewiązuje mu rękę powyżej rany.

— A pani to co — pyta agent.

— Lekarz.

Agent otwiera drzwi, woła za bufetową.

— Na pogotowie już nie potrzeba. Tylko, żeby milicja przyszła.

Zaraz się zjawia. W koszulce z krótkimi rękawami, uśmiechnięty, czapka na białej głowie. Rozgląda się po sali. Szuka winnego. Na leżącego nie zwraca uwagi.

— Który to?

Jakiś pijacek wysunął się do przodu.

— Jak Boga jedynego Kocham. Tylko mu chciałem dać w mordę.

— Chcieliście, czy mu przyłożyście.

— Już nie pamiętam. Pewnie się tylko zamachłem.

Milicjant przygląda się leżącemu. Próbuje go podnieść.

— Utrzymasz się, Marmulka, na nogach?

Marmulka chwyci się za pijaczonych nogach.

— A nie mówię? — cieszy się pijacek. — Ledwie się trzyma. No to go i zdmuchę na stolik. O ten szklany blat rozwalę pazurę.

— Cicho tam! — warknął milicjant.

— Ranę trzeba mu zeszyc — podpowiada Krystyna.

— Tak jest. Już się robi — zaszalował. — No to bierz tam który drzwi z zawiasówiwo na dechy. Do Ośrodka Zdrowia.

Pijacek biegnie po agenta, na drzwi pokazuje.

— Zaraz się drzwiczki odnie- sie, bądź pan człowiekiem.

Zrećnie wystawia drzwi z zawiasów, do rannego je niesie, podstawi, kładą na drzwi Marmulkę. Ktoś łapie z tyłu, pijacek z przodu, leżący na drzwiach Marmulka otwiera oko, coś bełkocze pod nosem, próbuje kopnąć pijaczka. Nie może dosięgnąć nogą. Pijacek odwraca głowę.

— Józek, ja naprawdę nie- chcący, samo tak jakoś wyszło, litra postawię.

Marmulka znów usiłuje go kopnąć. Pijacek rozłożył się.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

— Przystaniesz, Marmulka, Bo drzwi puszcze.

piwa? Dobrze, że chociaż piwo jest tutaj. Gdzie indziej piwa latem też nie uświadcysz.

— Daj mi spokój — mówi zła, zniechęcona. Najchętniej zaraz by się wybrała z powrotem do Łodzi. Doś już ma tych wakacji. Niedługo wieczór, mieszkanie nie ma, a ten gapi się tutaj rozpromieniony.

— Zobacz, jak tutaj ładnie. Trzciny, żagłówki. Nie masz pojęcia, jak tutaj słońce zachodzi. W jeziorze.

Przy sąsiednim stoliku, jakiś drab pije piwo. Przed nim już dziesięć wypitych butelek, otwiera jedenastą, przygląda im się bacznie, podnosi się, idzie w ich kierunku. Jerzy spuścił głowę, na szczęście wyminał ich, podszedł do bufetu, wziął kilka następnych butelek, wraca, pije, znowu im się przygląda.

Jerzy na wszelki wypadek zmienia pozycję, wykręca się bokiem, coś pokazuje Krystynie, na drugim brzegu, żeby

HENRYK CZARNECKI

Marmulka, Bidula i inni (obrazki z wakacji)

nie prowokować tamtego spoj- rzeniem.

— Może, herbaty byś się na- piła?

— Nie.

Nagle poczuł rękę na swoim ramieniu, odwrócił głowę.

— Jurek? — pyta drab.

— Może być Jurek — mówi oschle Jerzy.

— No widzisz jakim cię po- znał — cieszy się tamten, przy- siada się do ich stolika. — Cio- cia Flora na ciebie w szkole wołała?... No gadaj! Wołała, czy nie wołała?... Tylko mnie nie kłam.

— Może wołała. Już nie pa- miętam.

— A widzisz! — cieszy się tamten. — A widzisz?... Aleś ty, bracie, posiwał — zmartwił się nagle. — No i co? Gdzie ty się teraz, Juruś, obracasz?

— W Łodzi.

— A widzisz! No i się pew- nie na człowieka wykirowa- leś, co? A w podślówce, to zawsze ode mnie złyłateś. A co, może nie?... Bystrzak to ty nie byleś... I co ty teraz, Ju- rusz, robisz w tej Łodzi?

— Uczę.

— Bój się Boga! Toś się za nauczyciela został? Myślałem, żeś jakiś doktor, albo inżynier, bo w tych okularach to nawet wyglądasz... To twoja żonka?... Bidula jestem — cmoknął ją w rękę. Krystyna jest coraz bar- dziej rozbawiona. Cieszy się, że

„kolega” go dopadł. Dobrze mu tak. To za ten pomysł z przy- jazdem w rodzinne strony, za zniechęcenie, kłopoty. — Ja też się ożeniłem, niedługo będzie- my rodzic — dodaje Bidula. — Juruś, a kogo znajomego z tej branży to, nie masz?

— Nie.

— Szkoda. Myślałem, żeś mo- że doktor, to zawsze, wiesz... jeden drugiemu, po znajomości lepiej się rodzi, jakbyś tak tam kogo poprosił... W straży pracu- je, wiesz? Jakbyś kiedy co potrzebował z tej branży, to ja zawsze...

— Dobrze, będę pamiętał. Ale my już musimy... — Jerzy spoj- gąda na zegarek, widząc, że facet stawia przed nim butel- ke. — Czas na nas — podnosi się od stolika.

Bidula przytrzymał go ener- gicznie za ramię, posadził z po- wrotem na krześle.

— Spokojnie, Juruś! Co ci tak pilno? Przecież to ja sta- wiam — podsuwa Krystynie

prowadzi w ką, z dala od lu- dzi. Bidula drepce koło niego radośnie.

— Zonkę mam tutaj, wiesz? Na porodówce. Niedługo be- dziemy rodzic. Ale coś mi się, jakby, z terminem nie zgadza. Za wcześnie czy coś... Jak Boga jedynego Kocham, że nie ruszyłem jej nawet przed ślu- bem. To znaczy, no wiesz... — mruży chytrze oczka — ja to bym może i ruszył, ale mamu- sia pilnowała... No i mi się ni- jak nie zgadza. Jakby nie li- czył... Pójdiesz się zoriento- wać?

— Pójdę — zahuczał swoim rosyjnym basem doktor.

— No widzisz, Boguś. Wie- działem, że nie odmówisz. Jak- by kiedy co trzeba, to wiesz... w straży pracuję... A z tym to... pewnie jakiś wczesniak, ta- ki trochę, albo co? No nie?

— Poczekaj. Zobacze.

Poszedł po schodach na poro- dówkę. Na łóżku leży ładna dziewczyna, piluje paznokcie,

— A w żadne rozmówki na ten temat z nikim się aby nie wdawał, bo, po pierwsze, nikt cię i tak podliczać nie będzie, a po drugie co cię mają brać na języki, a po trzecie to po co się mają litować, że dzieciak będzie chucherko, tak w sobie, wiesz, bo na oko to będzie tur- sty jak wieprek.

— Skąd wiesz?

— Przecież badałem.

Rozpromieniał się Bidula na twarzy. Uściśnął doktora.

— No to się trzymaj, Boguś.

Pamiętaj, w straży pracuję. Jakbyś kiedy co potrzebował z tej branży, to ja dla ciebie, wiesz, zawsze...



Zachód słońca, jezioro, płusk wiosna. W przecznie między trzcinami samotna łódka. Zwy-

drugą butelkę, kapsel oderwał zębami. — O forszę się nie martw. No, co się tak patrzysz? Z kumplem się nie napijesz?



W poczekalni podnosi się z krzeska Bidula. Niski, chude-rawy, z zapachem piwa w powietrzu. Trucheikiem podbie- ga do doktora.

— Boguś, nie poznajesz? Chodziliśmy razem do podsta- wówki.

Doktor przygląda mu się przez chwilę, porusza groźnie krzaczastymi brwiami chcąc odstraszyć intruza.

— Zawsze cię bilem, Boguś, pamiętasz? — mówi dobrodusz- nie, chcąc przywołać wspomnie- nia.

— Cicho! Ludzie słyszają — syknął doktor, szerokimi, roz- rosłymi barami chce odgrodzić Bidulę od reszty świata.

— Ale nie gniewasz się, co?

— zmartwił się Bidula, że nie- potrzebnie wyskoczył z takim akurat wspomnieniem. — O- statnio w drugiej „c”, ale po- tem już nigdy. Zawsze, Boguś, jak Grzelakowi za ciebie lpo podbiłem?

Doktor bierze go za łokcie,

na krześku przy łóżku lakier, zmywacz, coś jeszcze.

— No jak tam? — pyta dok- tor.

— Mnie się pan pyta? Sam pan powinien...

— Mąż się niepokoi o panią.

— Teraz to taki troskliwy? A jak tego... tam... wszyscy oni do tego, i owszem, ale do ro- dzenia to nie ma nikogo. A niech się pomartwi.

— Termin mu się nie zga- dza.

Przestraszyła się. Odłożyła pilnik.

— A co on taki księgowy?

— Ale co mu powiedzieć. Czeka na dole.

Podniosła hardo głowę.

— Ano tak, coby było dob- rze. Od tego pan przecież dok- tor.

Lekarz wychodzi, zbiera my- śli po drodze, w głowie się dra- pie. Na dole przy schodach już czeka Bidula.

— Boguś, i co? Będzie się zgadza?

Lekarz uspokaja go ruchem ręki, ciągnie na dwór przed osrodek. Przystają na ścieżce pod drzewem.

— To jest... widzisz... żonę masz rozwiniętą, silną, no to i dzieciak szybciej się, widać, rozwinął i czekać dłużej nie można. Bo to, widzisz, nie jest tak z zegarkiem w ręku. Od- chyłki bywają, kapujesz?

— Kapuję.

klą, rybacka, z poszczerbiony- mi burtami — harmonizuje z jeziorem, lasem po drugiej stro- nie na górce, kawalkiem zniszc-zonego, podpartego kamienia- mi pomostu.

Krystyna siedzi w dziobie łódki, patrzy na dół zanurz-oną w wodzie, smutka wody o- plywa jej palce, mać idealnie gładką powierzchnię; wszystko tutaj spokojne, woda, trzciny, niebo, Jerzy ledwie wiośłem dotyka wody, wciąga głęboko powietrze.

— Czujesz jak pachnie?... Choćby i łódka... Do tamtej wierzby kiedyś pływalem. I z powrotem. Bez odpoczynku.

Ta sama cieszka, spokój w krągkach klasztoru, na sta- rych obrazach, w pustych kon- fesyjach. Słońce też świeci tutaj spokojnie, nie narzuca się upalną natężycnością, powoli przesuwa się z jednej strony krągków na drugą.

Obrazy drogi krzyżowej Chrystusa już wyciszone, nie przerażają okrucieństwem, zda- rzeniem, namalowane już tylko echem, zrosły się z tymi mura- mi, stanowią ich formę. Na stopniach konfesjonatu siedzi Krystyna, szkicuje. Nie pamię- ta już kiedy ostatni raz wid-ział ją ze szkicownikiem. Wszystko było już dawno: obrazy, wiersze, wzruszenia, ge- sty. I nagle znowu znalazły się tutaj.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

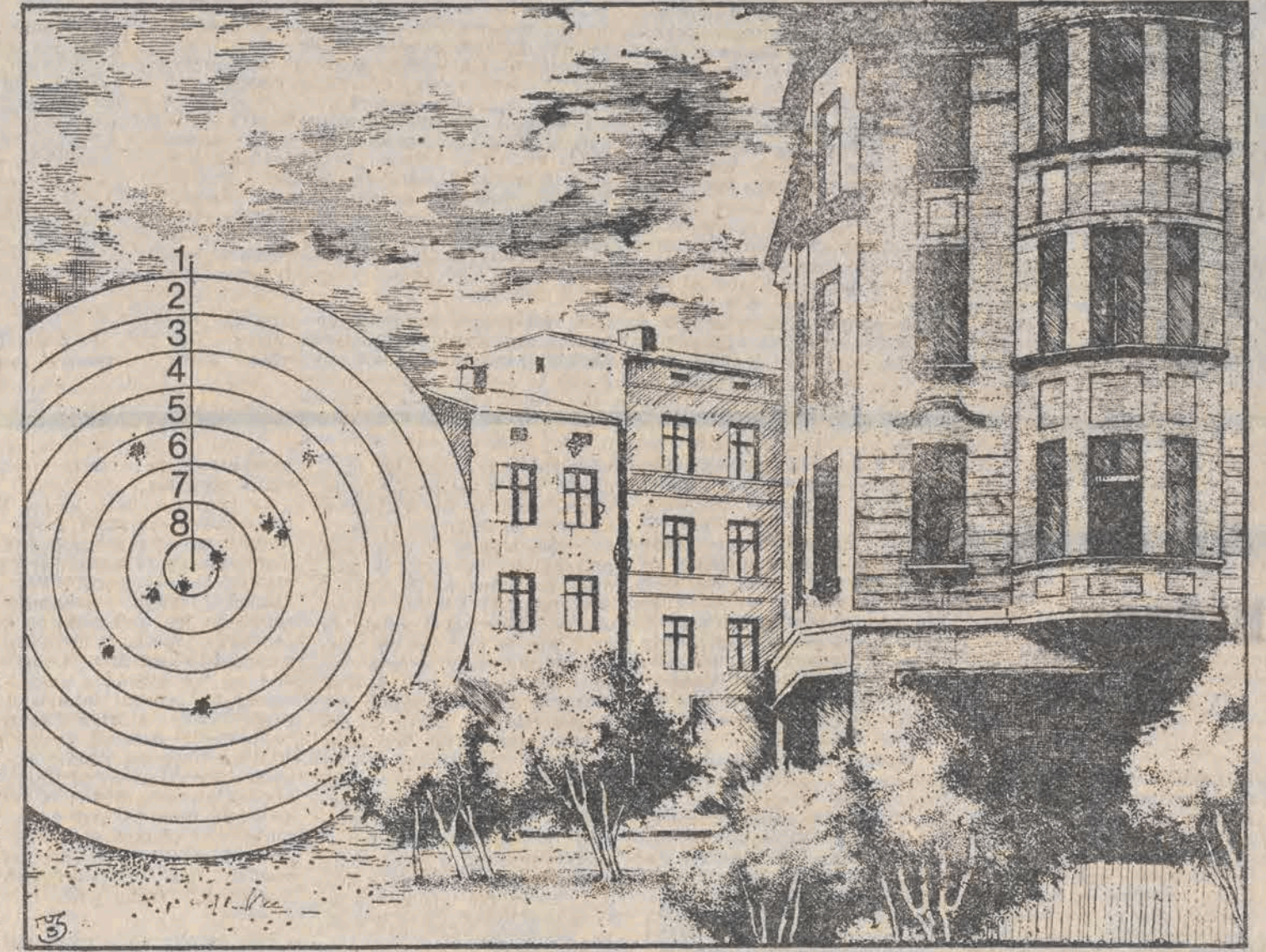
— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.

— Kapuję.



Rys. Janusz Szymański-Głanc

Wracają aleją nad jeziorem. — Gdzie mnie znów ciągniesz po tym piachu? — mówi znu- dzona.

— O tu! — pokazuje na oko- pie kawiarnię na palach, pod gołym niebem, na wodzie. — Miałaś ochotę na kawę.

Usiedli przy koślawym stoli- ku. Jerzy pije piwo. Krystyna syczy nektar jabłkowy, gęsty, ciepły, niedobry. Krzywi się, odsuwa szklankę.

— Może jednak napijesz się

JUŻ po raz 16 Państwowa Filharmonia w Łodzi organizuje Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej. Tegoroczny Festiwal odbędzie się tradycyjnie w Kościele Ewangelickim św. Mateusza przy ul. Piotrkowskiej 283, codziennie o godz. 19, w dniach 19 - 23 września. W ramach imprezy usłyszymy dwa recitale organowe: organista z NRD Armin Thalheim otworzy Festiwal 19 września programem złożonym wyłącznie z utworów J. S. Bacha, 21 września natomiast najwybitniejszy polski organista Joachim Grubich - laureat międzynarodowych konkursów w Gruzji i Genewie, zaprezentuje kompozycje J. S. Bacha, J. Luciusa i O. Mossaena. Już dwukrotnie i z wielkim powodzeniem przedstawialiśmy Zespół Muzyki Cerkiewnej założony i prowadzony od roku 1972 przez znaną tę dziedzinę Jerzego Szurbaka. Zespół należy do nielicznych w świecie prezentujących i popularyzujących bogactwo i piękno śpiewów cerkiewnych oraz muzyki religijnej Prawosławia. Zapraszamy na koncert Muzyki Cerkiewnej we wtorek 20 września. Ciągłe niezmiennym powodzeniem cieszy się cykl koncertów A. Vivaldiego na skrzypce i orkiestrę znany pod nazwą Cztery pory roku. W czwartek - 22 września będziemy mieli możliwość wysłuchać tej pięknej muzyki wybitnego włoskiego twórcy XVIII w. w wykonaniu Capelli Arcis Varsoviensis (Kapeli Zamku Królewskiego), założonej przez Marka Sewena w roku 1975. W partii solowej usłyszymy skrzyżka Krzysztofa Bąkowskiego. Imprezy, zamykającą Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej jest przewidziany na piątek - 23 września koncert oratoryjny, w programie którego znajdzie się Requiem G. Verdiego. Orkiestrę i Chór Filharmonii Łódzkiej poprowadzi Zdzisław Szostak, a w partiach solowych wystąpią artyści Teatru Wielkiego w Warszawie: Izabela Kłosińska - sopran, Maria Olkisz - mezzosopran, Józef Płgas - tenor i Leonard Mróz - bas.

W GALERII „Miraż”, istniejącej przy DDK-Widzew, czynna jest wystawa fotografii młodego, warszawskiego artysty, Wojciecha Koconia.

TOWARZYSTWO Przyjaciół Lipiec Reymontowskich jest organizatorem I Zjazdu Programowego, który odbędzie się 21 września w Lipcach. W programie Zjazdu m. in. otwarcie wystawy pobożowej „Lipiec-83” oraz „Kultura materialna Lipiec”.

12 WRZEŚNIA, z okazji 300 rocznicy wiktoria wiedeńskiej odbyła się w Muzeum Historii m. Łodzi uroczysta akademii. Program akademii był bogaty i urozmaicony. Organizatorem było Towarzystwo Polsko-Austriackie, Oddział w Łodzi.

OD 8 do 13 września występował w Łodzi znany już naszej publiczności „Teater 9” ze Sztokholmu. Goście ze Szwecji pokazali w Łodzi spektakl „Prometeusz”, oparty na znanej tragedii Ajschylosa. Jest to już czwarta realizacja tematu mitu prometejskiego w dziejach „Teater 9”.

9 BM, w Klubie MPiK w Pabianicach wystąpił aktor Sceny „Format” z Krakowa - Jerzy Kopicowski-Bulejczka. Przedstawił on monodram „Dworzec w Monachium” wg Stanisława Dygata.

ZESPÓŁ Piosni i Tańca działający przy łódzkiej Przedsiębiorstwie Czesankowej „Polonia” udał się do Włoch na Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny, odbywający się w Caltanissetta na Sycylii. Zespół występować będzie również w Calabrii.

DIENNIKI fińskie poinformowały, że laureatem tegorocznej nagrody im. Sibeliusa fundacji Wihuri został Krzysztof Penderecki. Wreczenie nagrody odbędzie się 9.X. br. w „Finlandia House”. W programie uroczystości m. in. wykonanie utworów Pendereckiego pod jego kierownictwem, z udziałem Jadwigi Gadulanki.

SAD konkursowy nagród „Miesięcznika Literackiego” przyznał trzy równorzędne nagrody za rok 1983 następującym autorom: Stanisławowi Markiewiczowi za książkę „Ewolucja społecznej doktryny Kościoła” (KiW), Cezaremu Rowińskiemu za książkę „Człowiek i świat w przeżyciu Leśmiana” (PWN) i Andrzejowi Zahorskiemu za książkę „Napoleon” (PIW).

PRZED kilkunastoma dniami zakończył się w Koszalinie festiwal „Młodzi i film”. Grand Prix otrzymał film Barbary Sass „Krzyk”. Na tym samym festiwalu nagrodę aktorską otrzymała odtwórczyni głównej roli w tym filmie, Dorota Stalińska.



Janina Tworek-Pierzgalska - Łódź. „Portrety”, 1970. Gobelin.

Linia można powiedzieć wszystko

Świat linii wywodzi się z rysunku, przynależy do grafiki. Jest delikatny, podatny na każde drgnienie kreślącej ręki. Znaczenie ma forma zawarta w konturze, ale i faktura samego obrysu. Czym jest owa faktura linii? Zgrubieniem, zawężeniem, rozedrganiem, niezachwytnym traktowaniem, pospiesznym maźnięciem, przerwaniem śladu ołówka czy ryłka? A może tylko uwidocznieniem drogi przebytej przez pozostawiającą ślad narzędzia, aby dopiero kształt tak zakreślony nabral znaczenia?

Wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam gobelin Janiny Tworek-Pierzgalskiej, również po raz pierwszy zadałam sobie pytanie o fakturę i istotę linii. Wówczas czyniałam to niejako na prywatny użytek, teraz ponawiam publicznie, nadaj jednak są to moje osobiste refleksje. Atoli mogą być dziś wzbogacane. Nie wiem, czy to właściwie określenie, zdaje mi się bowiem zbyt śmiałe.

W materiałach dotyczących twórczości Janiny Tworek-Pierzgalskiej gromadzonych przez Centralne Muzeum Włókiennictwa znajduje się wypowiedź artystki. Przytaczam ten tekst w całości:

„Zajmowanie się twórczością artystyczną wpływa z wewnętrznej potrzeby człowieka, używanie takich a nie innych środków wyrazu to dokonanie wyboru przez artystę, posługiwanie się zaś określonym warsztatem, to znalezienie możliwości materialnej realizacji dzieła. W moim przypadku równoległe uprawianie grafiki i gobelinu, wełna i technika haute-lisse pozwalają mi realizować prace, które w nieco odmienny techniczny sposób ujawniają w pełni moją osobowość i poszukiwania twórcze. Zawsze fascynowała mnie linia. Przy jej pomocy tworzę swój świat, który jest transformacją i interpretacją natury lub przeżyć z nią związanych. Wypełniam go treściami, których w inny sposób nie umia-

łabym ujawnić. Stwarzam wieloznaczne formy dając odbiorcy możliwość dopełnienia ich własną wyobraźnią, a przede wszystkim kreuję utwory żyjące własnym życiem, ale które także są częścią mnie samej”.

To bardzo skromne credo artystyczne pochodzi z 1977 roku. Nie wiem, czy teraz autorka uznałaby za konieczne je uzupełnić, powiedziała w nim bowiem wszystko, co najważniejsze. Zresztą są to rozważania puste. Dziś nie będzie już bowiem żadnej wypowiedzi, nie przybędzie też już żadna praca, która mogłaby cokolwiek zmienić w zamkniętym obrazie twórczości czy cokolwiek doń dodać. Łódzka wystawa z 1981 roku jeszcze takie nadzieje dawała, zapowiadała gobelinu nieco inne od tych, które powstały w latach sześćdziesiątych, odmienne od powstałych w następnym 10-leciu. A właśnie do owych ostatnich prac - jak sądzię - szczególnie przystaje zdanie: „Zawsze fascynowała mnie linia”. Jednak nie zobaczymy już jak zmieniła się owa linia utrwalaona rysunkiem w linię gobelinowego przepłotu, w czym różny staje się jej wyraz. Możemy już tylko przekładać nasze wrażenia i odczucia na słowne opisy, ubogie i mało przystające do kaligraficznej subtelności i tkackiej materii najważniejszego i cały czas jedynego tematu twórczości tej artystki. Ale wówczas znowu powraca pytanie o tajemnicę linii - jej wypukłość mikroskopijnej, wklęsłość równie niedostrzegalnej na płaszczyźnie druku lub rysunku i pełnej równowagi z sąsiedztwem tła w gobelinie. Proszę mi wybaczyć te bardzo prywatne rozważania nie będące żadną próbą wyłożenia twórczości Janiny Tworek-Pierzgalskiej. Historycy sztuki dokonają kiedyś podsumowania bardziej wszechstronnego, ale i ono będzie tylko skromną pomocą w naszej własnej interpretacji dzieła.

Tak jak zbyt pośpieszna wy-

kładnia twórczości wydaje mi się naruszać jej naturalne dojrzewanie w naszej świadomości, tak i charakteryzowanie życia twórcy, jego przymiotów i ułomności, od których przecież nie jest wolny, zbyt wczesne, wymuszone koniecznością jest dla mnie zakłóceniem wizerunku, jaki każdy kto znał artystę, kto z nim pracował nosi w sobie.

Są wszakże fakty, których żaden osąd zmienić nie może. Udział w wystawach od początku lat sześćdziesiątych właściwie rokrocznie; prace w zbiorach w kraju i za granicą; wyróżnienia i nagrody, w tym znaczące - ministra kultury i sztuki nie tylko w uznaniu samej twórczości Janiny Tworek-Pierzgalskiej, ale także jej działalności pedagogicznej. Jej autorytet jako pedagoga trudno przecenić, to też jest fakt, nie pierwszy zresztą w dziejach sztuki nie dowodzący, że prawdziwym nauczycielem jest przede wszystkim ten, kto sam jest mistrzem, kto również potrafi cieszyć się z talentu i osiągnięć uczniów.

Janina Tworek-Pierzgalska studiowała w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych i od czasu studiów nieprzerwanie związana była z tą uczelnią. W ostatniej kadencji była prorektorem szkoły. Już rok temu choroba uniemożliwiła jej pełnienie tych obowiązków. Ale jeszcze w maju miała twórcze plany i nadzieje, że będzie mogła je realizować. Wszycy z jej otoczenia tę nadzieję chcieli z nią dzielić.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

Janina Tworek-Pierzgalska 1933-1983.

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO OBYCZAJOWA

Z PAMIĘTNIA NAUCZYCIELA

Nowoczesny system szkoły wstrząsnął raz na zawsze poza mury szkoły wszelkiego rodzaju kary cielesne stosowane wobec uczniów przez wypracowanych z cierpliwością pedagogów. Niby to racja, ale gdy spojrzeć na karty pamiętników sprzed lat, ileż tam sentymentu dla owych dawno już zapomnianych łez na uszy, łap, czy osiej ławki dla niepoprawnych nieuków. Przywożąc na pamięć starszowiecka maksyma „Różeczka dziecięcy Duch Święty nie radzi”, proponuję lekturę nawiązującą do „Biedaszy Literackiej” z 1879 r.

Przebieg pedagogiczny niemiecki przebiegał jako taki wiarogodny cyfr z pamiętnika nauczyciela wiedeńskiego, niedawno zmarłego. Nauczyciel codziennie, z wielką skrupulatnością zapisywał wszelkie kary pedagogiczne, jakimi obdarzał swych elewów - kary te zebrane w ciągu pięćdziesięciu lat przedstawiają następującą bockowska rozszkodkę: 227 700 zadani do przebisania, 10 000 razy lub wtuczenia się na pamięć ośmiu różnych lekcji, 10 200 targan za uszy, 136 000 łap, 91 500 kijów. Różnił w ciągu lat odwieścił 12 000 uczniów, do kasy kasadził 205 000, na karnej desce klecało 6000, w osła sznokie ubranych było 5000, awianych na sznurku 1700 itp.

LITERATURA CMENTARNA

Zabytki epigraficzne wyrzute cierpią dłoń miycerza na pomnikach i płytach nagrobnych, wmurowane w ściany kościołów, stanowią ważny przekaz źródłowy i są wyrazem gustu epoki, w jakiej powstawały. Przygodni kolekcjonerzy zapisywali co ciekawsze napisy z płyt nagrobnych, dzięki czemu dotwały do naszych dni, gdy sam materiał nie stał się próbie czasu. Ponoć kaliski prawnik Adam Chodźki (1832-1902) zgromadził ogromny zbiór takich napisów, zawierając go w rękopiśmiennym tomie „Powieści cmentarnych”, który zaginał chyba bezpowrotnie. Z tego to zbioru pochodzą napisy (czy autentyczne?) z różnych cmentarzy, zamieszczone w czasopiśmie „Strzecha” (1870 nr 2) i „Przyjaciel Domowy” (1880 nr 19):

Ledwie pierwszą sukienkę dostałam,
Zaraz z ręk rodzicom dleciałam,
Śmierć mi sprowadziła nieważna mama,
Za co jej zostanie zemknięta do nieba brama.
Mała Felisia.

Na innym pomniku został wyrzuty potężny róg wolu, a pod nim napis:

Przez tego brka róg,
Powolał go do siebie Bóg,
My teraz za niego lejemy łzy,
Przez ciebie, ty byku, ty!

Wiedzieć tżami od żalu skropione powieki,
Ze tutaj Anna S...ka spoczywa na wieki,
Dla swojego meża dobra zawsze była,
Bo się z nim nie kłóciła i nigdy nie była,
Niechże za to króluje i w niebie awocuje,
Zyla lat 32, umarła 22 kwietnia 1839 r.

Tu leży panna Gertruda Z... wódr niepokonanej i odważnej cnoty panieńskiej. Zyla lat 83 i miesiąc 11.

Tu leży K... Faustyna,
A obok niej jest grób Marcina,
Jej meża mileno - wcale niestarego,
Tako się kochali w życia tego sprawę,
Jakby dwie turkawki,
On był mały jej czwarty, a trzech, co ich miśia,
Gorzko płakała.

Faustyna miała lat 62, a Marcin lat 21. Pomarli dnia 8 lipca 1852 na cholere.

Tu się przeniosł Rafał O..., który ślubował kawalerstwo na wieczne czasy. Zyl lat 70.

NA POCIECHE

Mając na co dzień do czynienia z książkami „jednorazowego użytku” wzdychamy do tych czasów, kiedy książki były szyte, a nie klejone, kiedy nie powtarzaly się w tekście te same słówka z równoczesnym brakiem tych właściwych, gdy wreszcie droga książka nie straszyla białymi plaszczkami nie zadrukowanych arkuszy. Na pociechę PT łowaryszy sztuki drukarskiej piszecie te słowa przypomnia, że skargi na zła jakość produktów czarnej sztuki wnosili publicznie również publicyści sprzed lat, czego dowodem smentna notatka prasowa zamieszczona w „Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych” (1860 nr 60):

Dawniej już nieco, w jednym z oism tutejszych, uczyniono wzmiankę o niedbalosci pu wydawców książek, którzy przez oszczędność zamiast w takowych arkusze zsywać, proszuruja tylko a przez to stają się powodem zdeftakowania dzieł, zwłaszcza kosztowniejszych, w których arkusze leden po drugim wypadają. Teraz zwrócimy tch uwagę, że w wielu dziełach naukowych, oprócz wspomnianego broszurowania i klejenia arkuszy, często dają się widzieć karty przedierane, nowalane całe nieraz klejem lub masą drukarską tak, że nieraz ślad palców chwytającego arkusz spod prasy na nich zostaje. Nijednym z tych panów odpowie, że niepodobna jest, aby w połędwczym egzemplarzu defekt takowy się nie znalazł, lecz zadaliśmy sobie prace i orzełgadalismy wiele egzemplarzy jednego i tego samego dzieła i w każdym jakąś usterkę znaleźlismy. Nie przypisujac im wylwacnie winy z tego powodu, wolimy przypuścić, że to jest przyczyna niedbalosci inroligatowrów zlepalających arkusze a tych robotę wywodatobry lepiej kontrolowac. Skoro nie możemy wvrownac co do lenosci zagranicznych edycjom, bliższym przynajmniej orzeklad z czystosci i calosci dzieł. Należy tu jednak zrobiać uwagę, że do wielu z po, wydawców dzieł którzy celują starannością, zarzut powyższy stosować się nie może.

NAUKA I CZAS

Naukę można nabyć. Choć masz pustą głowę, Napelnisz, przedlujac z uczonym rozmowe, Lecz czasu, gdy przednie, już za nie nie kupim; Nie trzeba go więc tracić, rozmawiając z głupim.
„Kolce” 1879, nr 51

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

LE MONDE w numerze z 17 lipca br. publikuje pod tym tytułem rezultaty poszukiwań Alexandre'a Szombatiego, dotychczasowych osób, które uczestniczyły w zamachu na Adolfa Hitlera w Kętrzynie, w lipcu 1944 r. Artykuł podajemy z nieznacznymi skrótami.

Półtora miesiąca po lądowaniu z Normandii, 20 lipca 1944 roku, o godz. 11.40, pod stołem konferencyjnym Adolfa Hitlera w Wilczym Gnieździe w Rastenburgu (polska nazwa: Kętrzyn — przyp. red.) w Prusach Wschodnich wybuchła bomba podłożona przez pułkownika hrabiego Schenka von Stauffenberga. Stauffenberg, po oddaniu się od miejsca wybuchu, zadzwonił do Berlina, że Führer nie żyje. Nie było to zgodne z prawdą. Zginął stenograf, dwaj generałowie i jeden pułkownik odnieśli śmiertelne obrażenia, czterech innych generałów zostało lekko rannych. Adolf Hitler miał przez pewien czas sparaliżowaną prawą rękę, uraz obu uszu, poza tym drobne oparzenia i siniaki. Spiskowcy cywilni i wojskowi zostali ujawnieni. Goebbels przywrócił porządek w Berlinie. General Frömm, dowódca sił wewnętrznych, u którego Stauffenberg był szefem sztabu generalnego, kazał go rozstrzelać tego samego dnia wraz z jego najbliższymi współpracownikami, nie zdołał jednak tym rozucieniem ocalić swej skóry. Wkrótce rozpoczęła się wielka czystka z procesami przed specjalnym sądem. W swych badaniach przeprowadzonych wśród osób żyjących do dzisiaj z obu uszu, a także dzięki dokumentom gestapo, które zostaną wkrótce opublikowane, Alexandre Szombati ujawnia szereg mało znanych aspektów spisku i jego następstw.

REZULTATY POSZUKIWAŃ ALEXANDRE'A SZOMBATIEGO

Przed wejściem na salę trybunału ludowego, 17 sierpnia 1944 roku, oskarżonym wyjęto z ust protezy i mostki, aby trudniej było im się wysławiać oraz odpowiadać na pytania i wzywiska przewodniczącego, Rolanda Freislera, byłego komunisty, który przeobraził się w zacieklego nazistę. Pierwszą osobą, jaką ujrzeli, był Erich Kaltenbrunner, główny szef gestapo, o seplej i pokiereszowanej bliznach twarzy, bezlistny organizator gigantycznej czystki. Jaka przeprowadzono po nieudanym zamachu. Sędziac w pierwszym rzędzie w otoczeniu swych ludzi i kilku uprzywilejowanych osób, sam nadzorował zorganizowany przez siebie spektakl. Reżyseria została opracowana przez samego Hitlera, za pośrednictwem jego sekretarza, Martina Bormanna. Oskarżenia odziani byli w za długie lub przykrótkie ubrania. Nie mogli się naprawdę bronić, nawet jeśli mieliby po temu siłę moralną i fizyczną.

W każdym razie najniebezpieczniej słowo mogło stanowić zagrożenie dla życia ich krewnych. Wszyscy członkowie ich rodzin zostali aresztowani zgodnie ze starą procedurą określoną po niemiecku — Sippenhaft. Zdefiniował ją Himmler: kara musi objąć nie tylko samych zbrodniarzy, ale również tych wszystkich, w których żyłach krąży ta sama nieczysta krew. Ponad 70-letnie matki, dzieci, wszyscy rozdzieleni, gnili w więzieniach i zakładach penitencjarnych. Informacje, jakich mogli udzielić po zastosowaniu tortur „trzechlecie sponia”, wciągnięte zostały do protokołu procesów przez specjalną komisję sędziac utworzoną z najlepszych ekspertów policji politycznej: 400 policjantów podzielonych na 11 sekcji.

Niemieckie określenie „Galgenghonor” odzwierciedla stan ducha w obliczu stryżnicy. Niektórzy oskarżeni świadomi, że ich los został przypieczętowany, odpowiadali niekiedy w sposób wzburzony w auditorium, wstając starannie wyselekcjonowanego, pewnie uśmiechniętego, a nawet śmiejącego, natchmiast zresztą hamowane, Herman Wehrle 1) ksiądz skazany na śmierć, ponieważ nie wydał wiernego, który wspominał mu o spisku, został upomniany przez przewodniczącego Freislera, iż jest zbyt smutny.

„Panie przewodniczący, przyprowadzono mnie tutaj po długiej podróży pociągami i na czczo. Poza tym miejsce to niezbyt skłania do radości...”

Adwokat Joseph Wirmer, o okazalej postaci, powiedział: „Panie przewodniczący, jeśli zostanie powieszony, to nie ja powiniem się odc, lecz pan”.

— Wkrótce będzie pan w piekle! — wrzasnął Freisler.

— Z największą przyjemnością pana tam powitam, panie przewodniczący.

General Erich Fellgiebel, który przez trzy tygodnie wytrzymał najpotworniejsze tortury, w chwili ogłaszania wyroku powiedział:

„Niechże się pan pospieszy, panie przewodniczący, gdyż w przeciwnym wypadku zostanie pan powieszony przed nami...”

Słowa te mogły paść tylko w rzadkich momentach, kiedy Freisler przystawał na chwilę. Jego wrzaski były tak przenikliwe, że specjalni od dzwiku, cały spektakl został na polecenie Führera sintonowany — nie było w stanie dokonanej w sposób należyty nagrania z powodu znacznej różnicy między słabym głosem oskarżonych i wrzaskiwymi wzywiskami przewodniczącego, jednakże na pytanie: „Dlaczego oskarżony tak potwornie sprzeniewierzył się wierności jako poprzedni najwyższy dowódca?”, były dyplomata Hans von Haffens odpowiedział otwarcie: „Ponieważ uważam, że Führer jest narzędziem Zła w historii ludzkości...”

Marszałek Erich von Witzleben, który w razie powodzenia zamachu zostałby głównodowodzącym armii niemieckiej, dla osłabienia uszory w spódnie, które nieustannie musiał podciągać, powiedział sędziemu:

„Możeście oczywiście oddać nas katu, ale za trzy miesiące zbudujemy i uciśniony lud zechce was rozliczyć i żywych ciągnąć będzie ryzostokami...”

Freisler zakończył swój żywot dopiero w lutym 1945 roku. Zabiti go spadający balkon, gdy zaskoczony nalotem bombowym podczas posiedzenia trybunału ludowego uciekał z aktami pod pachą. Fakt ten, poza innymi konsekwencjami, uratował życie oskarżonemu Fabianowi von Schlabrendorffowi.

ROZMOWA W MADRYCIE

Jedynym konspiratorem, któremu udało się zbiec za granicę, był Otto John 2). Jego brat, Hans John, miał mniej szczęścia. Pięć dni po nieudanym zamachu, Otto John był w Madrycie gościem don Luisa Ruiz de Valdivia. Ten osiemdziesięcioletni arystokrata podczas pierwszej wojny światowej był attaché wojskowym ambasady Hiszpanii w Berlinie. To jego, we wrześniu 1918 roku, dwaj dowódcy armii niemieckiej, Hindenburg i Ludendorff prosili — ponieważ sami nie mieli odwagi moralnej, aby to uczynić — żeby powiadził cesarzowi Wilhelmowi II, że sytuacja jest beznadziejna. „Oto, czym naprawdę byli wielcy dowódcy armii cesarskiej. Dowódcy Wehrmachtu nie są więcej wari. Armia niemiecka jest najlepsza w świecie, ale waszym generacjom brak ducha. Są dobrymi rzemieślnikami, ale nie mężczyznami, jak mówił poeta Hölderlin...” — powiedział Valdivia swemu gościowi.

Po dłuższym milczeniu dodał:

„Sztylet to najlepszy sposób zgładzenia takiego człowieka, jak Hitler. Gdyby choć jeden spośród was miał odwagę to uczynić, nie uśmierzyłbyś śmierci. To, co wyście zrobili, było przeprowadzone źle i za późno...”

— Ekskuzacja — odpowiedział John — człowiek, który próbował zgładzić tyrana, podkładał bombę, pułkownik von Stauffenberg, nie mógłby zaszytych Hitlera, nawet gdyby chciał, z tej prostej przyczyny że miał amputowaną prawą rękę, zaś u lewej ręki pozostały mu zaledwie trzy palce... Poza tym był jednooki i stałe drżało mu lewe kolano... Nie miał innego wyjścia, jak tylko bomba...

— Jak to — wykrzyknął Valdivia — pozwoliliście na to, żeby zamachu bombowego dokonywał inwalida?

W istocie, zamachu przeciwko Hitlerowi mógł dokonać jedynie oficer i na pewno nie przez zaszytowanie. Cywile z otoczenia Hitlera — powiedział mi jeden z jego zaufanych — byli wszyscy „na tym samym wózku”. Wszyscy mieli coś do stracenia wraz ze śmiercią ich pana.

Oo do sztyletu, to żaden Niemiec nie użyłby broni tego typu przeciwko człowiekowi, któremu przysięgi posłuszeństwa i wierność,

agenda „zadania nożem ciosu w plecy”, ukuta w głównym sztabie generalnym w 1918 roku w celu usprawiedliwienia porażki zdradca na tyłach, podchwytana przez nazistów, zakorzeniona była w umysłach jako symbol najgorszej hańby. Zarówno z psychologicznego, jak i politycznego względu użycie sztyletu było wykluczone. Tak też było w praktyce.

ADIUTANT HITLERA

Nicolaus von Below jest też tego zdania. „Przed wszystkim dlatego, że nikt nie mógł się zbliżyć do Hitlera, nie będąc zrewidowanym. Poza tym — potwierdził — „zaszytowanie” jest dla każdego dobrze urodzonego Niemca aktem nie do pomyślenia”.

Von Below, 76-letni emerytowany pułkownik, smukły, elegancki o urzekających niebieskich oczach, do końca był adiutantem Hitlera z ramienia sił powietrznych. Dwaj generałowie należący do konspiracji mieli okazję działać, ale tego nie uczynili — twierdzi on. Jeden z nich zginął podczas zamachu, dwaj inni oficerowie nie mogli zrealizować swego zamiaru.

„Czy Hitler podejrzewał, że coś się przeciwko niemu knuje?”

— Owszem. Na przełomie maja—czerwca 1944 dotarła do niego informacja, jaka ukazała się na łamach prasy szwedzkiej: „Oficer niemiecki przygotował się do zamachu na Hitlera”. Zawołał mnie i polecił: „Zróbcie, co trzeba, żeby mój przeszkodzić”. Natychmiast wezwałem szefa służby bezpieczeństwa, Johanna Rattenhubera. Znacznie zwiększono nadzór.

Pułkownik: von Below i Stauffenberga łączyły więzy przyjaźni z czasów stażu w Szkole Wojennej w Hanowerze.

„Von Stauffenberg — zapewnia były adiutant — cieszył się nieskazitelną reputacją. Jak został ciężko ranny i okaleczony, nie pozwolił stosować żadnych środków znieczulających. Gdy wyleczył swe rany, podjął służbę. Widziałem go tuż przed zamachem i on, z zewnątrz spokojny i zdecydowany, wydał mi się wówczas dość zdenerwowany...”

Ta nerwowość wynikała zapewne z wagi czynu, jakiego miał dokonać, ale również z przyczyn bardziej przyziemnych. Stauffenberg, jak się potem okazało, musiał w ostatniej chwili pozbyć się części materiałów wybuchowych, jakie miał w teczce i zakopać je w pobliżu baru, w którym znajdował się Hitler. Oddał się tuż przed zamachem. W przedpokoju marszałka Keitla uzbolił detonator za pomocą płaskich obcęgów. Trzy ledyne palce, jakie mu pozostały, nie wystarczały do bezpośredniej manipulacji. Być może, inwalidztwo zmusiło go do równoczesnego zmniejszenia siły ładunku. Gdyby był potężniejszy, przypuszczalnie nie nie zostałoby ani z ba-

Ludzie, którym nie udało się zgładzić Hitlera

raku, ani z ludzi, którzy się w nim wówczas znajdowali. Pilot angielski, który 7 kwietnia 1943 roku w Tunelży ostrzelał z karabinu maszynowego niemiecki samochód wojskowy, raniąc Stauffenberga, być może ocalił życie Adolfowi Hitlerowi...

Von Below pozostał wierny Führerowi, mimo iż nie był nazistą. Od młodości widział w nim wybacziela Niemiec i nie zmienił zdania. Uważa w każdym razie, że zamach częściowo osiągnął swój cel: moralnie „zabił” Hitlera. Zawsze przejawiał on nieufność do „wyższych klas”. Po 20 lipca stał się przejawiać swą niechęć do arystokratów, hreckosiejów, wyższych oficerów, którzy obrócili się przeciwko niemu.

Prusy Fryderyka Wielkiego, Herrenkulu — Klanu panów — odwieczne Prusy, które się z nim wiązały, gdy stary marszałek, prezydent Hindenburg uściskał mu dłoń, powołując na stanowisko kanclerza, te Prusy go opuściły. Po 20 lipca Hitler zaczął mówić o samobójstwie.

„W okresie między Bożym Narodzeniem 1944 i Nowym Rokiem — mówi Nicolaus von Below — pewnego wieczora, podczas rozmowy w cztery oczy, powiedział do mnie: „Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że przegraliśmy wojnę i że nadzedł czas, żebyśmy sobie szczerli w łeb”. Był to szokujący okres, gdy w pełni trwała ofensywa w Ardenach... W sposób zdumiewający von Below dodał: „Miałem naprawdę nadzieję, że dotrzyma słowa, ale nazajutrz pojawił się jak gdyby nigdy nic”.

RAPORTY KALTENBRUNNERA

Czy widział film nakręcony przy egzekucji? Wszwał katów i kazał im powieść skazanców, jak świnie na hakach rzeźniczych, przed obiektywami kamer, w blasku reflektorów wypożyczonych ze studia filmowego.

„Nie wiem — powiedział von Below — czy Führer widział zdjęcia, które jego „szwagier”, SS Gruppenführer Fegelein (małżostka Ewy Braun, towarzyszy, która Hitlera poślubił przed swym samobójstwem) pokazał całemu światu. Pamiętam tylko, że Fegelein przyszedł pewnego dnia do mnie z pudłami zdjęć. Był bardzo zawiedzony: „Położyłem je na stole, ale nie chciałem ich oglądać...”

Hitler, w każdym razie przed 20 lipca, doskonale zdawał sobie sprawę nie tylko z sytuacji militarnej, ale również z rzeczywistej opinii publicznej. Erich Kaltenbrunner 3), główny szef policji politycznej i kontrwywiadu, na polecenie Martina Bormanna miał przedstawić niezaprzeczony obraz sytuacji.

Sześć dni przed zamachem, 14 lipca 1944 r., w długim raporcie sygnalizuje on, że naród niemiecki uważa za „przerażające” posuwanie się armii radzieckiej i że już niewielu ludzi ma wiarę w przyszłość. Niektórzy ubolewają, że wielu rannych, ledwie postawionych na nogi, zmuszonych jest wracać na front.

Według raportu nadesłanego z Frankfurtu, cytowanego przez Kaltenbrunnera, Rosjanie zbliżali się do bram Reichu gigantycznymi krokami. Ten marsz, uważali np. ludzie z Insbrucka, „przypomina szybkość nasze bliskawicze wojny”. „Nasze siły są niedostateczne” — podawano z Norymbergi i Halle. W Berlinie, Koblencji, Gdańsku, itd. zastanawiano się, czy dowództwo jeszcze panuje nad sytuacją. Ogólnie biorąc — pisze Kaltenbrunner — bardzo osłabiał ducha fakt, że nasza broń represyjna, V-1, nie zdyskontowała natychmiast swego wrażenia, a także nie ustajęca dniem i nocą ataki wroga, przy naszej nieskutecznej obronie przeciwlotniczej.

Po 20 lipca Kaltenbrunner wysłał również codzienny raport o śledztwie przeprowadzonym pod jego kontrolą przez specjalną komisję.

Fabian von Schlabrendorff, który zawiadzał życie śmierci Freislera, opowiedział w 1977 roku, czym były przesłuchania, z których jedno przerwał zawał. Podjął on pierwszą próbę zgładzenia tyrana i był szczególnie brutalnie torturowany.

W styczniu 1945 roku Kaltenbrunner wysłał go do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. W przedsiunku do krematorium otwarto przed nim trumnę ze szkatkami generała Hansa Henniga von Treskowa, który przed Stauffenbergiem próbował dokonać bombowego zamachu na życie Hitlera, a który popełnił samobójstwo 21 lipca na froncie wschodnim. Widok trumny miał skłonić fizycznie i psychicznie wykończony człowieka do składania zeznań. Próba się nie udała i Schlabrendorff został z powrotem zabrany do Berlina.

Trudno było ustalić Hezbe ofiar czystki. Mówi się o tysiącach. Powieszono lub rozstrzelano setki oficerów. Inni, podobnie jak general Beck, przewidziany do funkcji szefa państwa i marszałek von Kluge, głównodowodzący na froncie w Normandii, popełnili samobójstwo 4). Jeszcze inni, socjaliści czy chrześcijanie, zmarli w obozach koncentracyjnych.

Wyeliminowania Hitlera pragnęła w istocie nie tylko arystokracja wojskowa i ziemianka. Wśród spiskowców znajdowali się wyży-

urzędniczy sądowi, księża, pastory, związkowcy oraz ludzie zniechęceni do narodowego socjalizmu przez korupcję reżimu, jaka ucieleśniał Goering i jego otoczenie. Kaltenbrunner niczego z powyższego nie ukrywał w swoich tajnych raportach.

Srodił zastosowane przez komisję specjalną, zasięg i równoczesność przesłuchiwań, fakt, że jej głównym celem było poznanie prawdy w całej rozciągłości, a nie udowodnienie przypuszczalnej zdrady, dodał raportom Kaltenbrunnera niemal całkowitej wiarygodności. Dzięki dokumentom gestapo można sobie uzmysłowić to, czym była konspiracja, jacy byli jej przywódcy oraz cele, jakie sobie wyznaczali.

NACJONALIŚCI

Dwóch ludzi na szczycie: Karl Goerdeler, były burmistrz Lipska, przewidziany do funkcji kanclerza i von Stauffenberg, szef sztabu generalnego generała Frömma, głównodowodzący sił wewnętrznych, widujący z tego tytułu Hitlera, którego uroczyste porzysięgi zgładzić Goerdeler jest konserwatystą, Stauffenberg bardziej liberalny; opowiada się za stworzeniem frontu narodowego, w którym znaleźliby się wszyscy przeciwnicy reżimu, w tym również socjaliści i komuniści.

Główni spiskowcy, w kręgu ściśle nadzorowanym, nie mogli organizować zebrania. Żadna ważna dla wszystkich decyzja nie mogła zostać podjęta. Nigdy nie została naprawdę określona polityka na „połem”. Oficerowie myśleli o dyktaturze wojskowej, inni o narodowym socjalizmie w formie „czystej i zdecydowanej”, jeszcze inni o ustroju republikańskim, a znaczną Hezba o przywróceniu monarchii. Zebrane zeznania oraz dokumenty, jakie się dostały w ręce specjalnej komisji, odzwierciedlały tę mglistość i brak realistycznego podejścia.

Profesor Herman Kaiser, współpracownik Goerdelera od 1941 r. i łącznik między grupą cywilów i wojskowych, przewidziany do funkcji przyszłego sekretarza stanu ds kultury, wskazał, że Stauffenberg mógł nawiązać kontakt z Anglikami, 24 maja 1944 roku, dwa tygodnie przed lądowaniem w Normandii Kaiser przygotował notatkę z rozmów z Londynem:

1. natychmiastowe przerwanie wojny powietrznej;
2. rezygnacja z zamiaru inwazji;
3. położenie kresu rozlewowi krwi;
4. utrzymanie zdolności oporu na Wschodzie, ewakuacja terytoriów okupowanych na Północy, Zachodzie i Południu;
5. uniknięcie wszelkiej okupacji Niemiec;
6. wolny rząd, konstytucja niezależna, wybrana przez samych Niemców;
7. pełna współpraca w kierunku spełnienia warunków zawieszenia broni oraz przygotowanie i urzeczywistnienie pokoju;
8. przywrócenie granic Reichu z 1914 roku, utrzymanie Austrii i Sudestów, autonomia dla Alzacji i Lotaryngii, powiększenie Tyrolu do Bolzano i Marano (obecnie we Włoszech);
9. intensywna odbudowa Niemiec i współpraca przy odbudowie Europy;
10. zbrodniarze niemieccy będą sadzeni przez samych Niemców;
11. odzyskanie honoru i poszanowania, a także szacunku dla siebie samych.

Kaiser ponadto przyznał, że dowiedział się od Goerdelera, że von Stauffenberg przekazał już „najwyższym władzom brytyjskim”:

- a. listę negocjatorów;
- b. pragnienie, żeby Austria pozostała integralną częścią Reichu;
- c. prośbę, żeby los zbrodniarzy wojennych został powierzony przysiężemu rządowi niemieckiemu.

Poza „tymi spontanicznymi opracowaniami” Kaltenbrunner był w posiadaniu zeszytów Kaisera, zatytułowanych „Cel”. Opowiadał się tam za stworzeniem państwa narodowego dla Niemców z polskich terytoriów oraz silnej armii niemieckiej. Czy stanowiłaby ona część europejskich sił zbrojnych? Sprawa była otwarta. W każdym razie europejska współpraca gospodarcza była konieczna. Reich miał odzyskać terytoria kolonialne w Afryce. Wolna wymienna miała być reguła na całym świecie. „Przesał, że wolny handel jest żywym wyznacznikiem czy też niestosownym pojęciem, jest czystym nonsensem”.

Ważne jest porozumienie ze Zjednoczonym Królestwem, „naturalnym produktem wspólnoty pracy europejskiej”. Ale, oczywiście, po uregulowaniu kwestii kolonialnej. Anglia i Stany Zjednoczone określiły samodzielnie swoją politykę zagraniczną...

Dla Zydów Kaiser przewidział utworzenie państwa narodowego w Kanadzie i Ameryce Południowej. Ci, którzy pozostaliby w Niemczech, mogliby tam bez przeszkód pracować, lecz traktowani byłiby jak uchodźcy ze swego kraju i pozabawieni byłiby praw głosowania i Oczyszczenia, poniesione przez nich straty zostałyby pokryte przez odszkodowania „z racji polityki zagranicznej i po to, abyśmy odzyskali szacunek do siebie samych oraz nasze poczucie sprawiedliwości”.

Prawde mówiąc, wydaje się, że Goerdeler nie zgadzał się z Kaiserem w tej kwestii w jego „deklaracji rządowej”.

Po podpisaniu przez Roosevelta i Churchilla Kartę Atlantykowej, „przyszły kanclerz”, 13 grudnia 1943 roku zrezygnował z odpowiedzi. Przedstawił w niej Niemcy, w których panuje prawo, jako państwo postawiające wszelką swobodę prywatnym przedsiębiorstwom. Najbardziej wydaje się go niepokoić sprawa granicy z Francją. „Zostanie ona ustalona w Alzacji—Lotaryngii zgodnie z granicami lingwistycznymi. W ten sposób większa część Alzacji należeć będzie do Niemiec, zaś niewielka część Lotaryngii do Francji. Ewentualnie, po uzbiciu 10 lat można by poddać do rozwiązania ludowej konsultacji”.

Goerdeler proponuje wreszcie plan europejskiej współpracy gospodarczej i stworzenie Zeromoczenia Narodów, wolnego od ulomności bogrzebanej już Ligi Narodów.

Konserwatywny i szowinizm Goerdelera podzielał hrabia York von Wartenburg, katolicki prawnik, który dał dowód wielkiej odwagi przed procesem i podczas niego. Nie wahał on, że przysłała Europa podporządkowana będzie Niemcom. „Jestem przekonany — twierdził — że zjednoczenie Europy pod niemieckim przewodnictwem zgodne jest z linią ewolucji naszych czasów, lecz może się dokonać tylko na płaszczyźnie wspólnej przeszłości Zachodu, zreprezentowanej w swej istocie przez hellenizm, chrześcijaństwo i dzieła ducha niemieckiego”.

LINIA SZTOKHOLM — LONDYN

Karl Goerdeler wyznał gestapo, że od 1934 roku utrzymywał stały kontakt z kołami bankowymi w Szwecji. W roku 1943 szwedzki bankier, Jakob Wallenberg, złożył mu wizytę w Berlinie: Goerdeler zdołał przekonać swego gościa, że zakończenie wojny korzystne dla Niemiec leży w interesie Skandynawii, ponieważ zbyt potężna Rosja stanowiłaby śmiertelne zagrożenie dla krajów nordyckich. Chodziło więc jeszcze o przekonanie o tym Anglików. Brat Jakoba, Markus Wallenberg, podjął działania w tym kierunku w Londynie. Na próżno.

W świetle rewelacji Karla Goerdelera łatwo zrozumieć przewidywania przez Rosjan oraz zniknięcie w Budapeszcie w styczniu 1945 roku młodego szwedzkiego dyplomaty, Raoula Wallenberga. Należał on do tej samej rodziny szwedzkich bankierów Stalin chciał prawdopodobnie zamścić się na dyplomacie, który nie miał nic wspólnego z aferą kierowaną przez jego wujów przeciwko ZSRR.

Poglądy Goerdelera, Kaisera i Wartenburga nie stanowiły jak się okazało, rzeczywistej wspólnej platformy politycznej. Lecz obok innych zasad, jakie znajdowały u ludzi takich, jak Konrad Adenauer, pierwszy powojenny kanclerz, pokazują one, w jakim stopniu państwo totalitarne poprzez swa codzienną propagandę, odizolowanie od realii świata zewnętrznego swa ewolucję może doprowadzić w sposób bezwiedny, do zafalszowania poglądów i świadomości ludzi nawet odważnych, wspaniałomyślnych i szanujących prawo.

1) Nazwiska oskarżonych, którzy zostali powieszani, rozstrzelani lub zamordowani w więzieniach i obozach koncentracyjnych — podkreślono.
2) Otto John został potem szefem służby ochrony Konstytucji Republiki Federalnej (wywiad). W nie wyjaśnionych okolicznościach przeszedł do Berlina Wschodniego, po powrocie został skazany za zdradę.
3) Zbrodniarz wojenny powieszony w Norymberdze w 1948 r.
4) Jürgen Stroop, który na polecenie Himmlera miał aresztować von Kluge, przedstawił inną wersję w rozmowie w więzieniu z polskim pisarzem Kazimierzem Moczarskim; odwoził von Kluge do Dombaszko koło Nancy i namawiał go do samobójstwa. W obliczu odmowy marszałka, sam go jakoby zabił.

JESTEM ZA KARĄ ŚMIERCI!

Od dłuższego już czasu z ogromnym ożywieniem rozprawia się o karze śmierci. Potrzebie jej istnienia wśród innych kar zasadniczych, częstotliwości jej stosowania i orzekania. Wiele jest głosów przeciw tej karze! Przeciwnicy szermują nastami humanitaryzmu, tym społecznym, uwarunkowaniami politycznymi itp. Często powtarzanym argumentem jest to, iż zagrożenie karą śmierci nie jest elementem prewencyjnym, nie „odstrasza” potencjalnych przestępców od popełnienia zbrodni (bo tylko za taki typ przestępstw przewidziana jest kara śmierci).

Zgoda. Ale mimo to, karę tę należy nie tylko utrzymać, ale stosować ją częściej. Oczywiście, nie może podlegać dyskusji fakt, iż na pozostałe kary zasadnicze o charakterze jak najbardziej wyjątkowym, należy ją orzekać indywidualizując każdy przypadek. Truizmem byłoby powtarzać jak istotne, przy orzekaniu kary śmierci, jest wszechstronne wyjaśnienie wszystkich okoliczności sprawy, drobiazgowo przeanalizowanie osobowości sprawcy, zasadności zastosowania innej kary (np. 25 lat pozbawienia wolności), jeśli istnieje szansa, że łagodniejsza kara będzie wystarczająco dolegliwa dla sprawcy oraz jeśli zaspokoi to społeczne poczucie sprawiedliwości. Właśnie!

Od lat trwa w doktrynie spór wokół „ważności” dyrektyw wymiaru kary art. 50 kk. Jednakże praktyka orzekania wykazuje, jak chwiejnie pozostają wszelkie gradacje „wartości” dyrektyw. Różnorodna reakcja społeczeństwa to chwytliwy potwierdza.

Moim zdaniem, najistotniejszą rolę odgrywa właśnie zaspokojenie społecznego poczucia sprawiedliwości. Oczywiście, zdaje sobie sprawę ze wszystkich minusów takiego stanowiska. Społeczeństwo nie w każdym wypadku może i potrafi być obiektywne, często (za wszyt) kieruje się emocjami. A emocje tłumy znacznie różnią się od tych, którym podlega jednostka. Zbiorowa ocena nieraz jest powściągnięta, oparta jedynie na strzępach informacji, na umiejętnie podanych faktach, na wycieszeniu kłopotliwych akcentów, zaś podkreśleniu innych, w zależności od podmiotu przekazującego jak i od podmiotu, do którego dany rodzaj informacji jest adresowany. Często punktem widzenia tłumy jest punkt widzenia publikatora (publicysty?), który manipulując nastojem, wywołuje sensację, podnosi atmosferę, zapala serca, spory, dyskusje lub tonuje ich intensywność; kreuje przestępstwo na bohaterów, przypina im aureole, ale tworzy też z nich dzikie bestie, nieludzkie istoty, stwory pozawoiane ludzkich uczuć i odczuć.

Rozumiem to wszystko. Ale mimo tego uważam, że wewnętrzne poczucie sprawiedliwości społeczeństwa i jego zaspokojenie, winno być kwestią najważniejszą. Takie działania nie ma nie wspólnego z „zemstą” społeczną. Walka z przestępczością za pomocą nawet tak radykalnych środków jak stosowanie kary śmierci, nie może być, i nie jest, utożsamiana z działaniami w zakresie walki z żywiołem czy chorobami społecznymi, gdzie jedynym wyznacznikiem użycia danej środka jest jego skuteczność.

Jednakże każdy człowiek ma własny model sprawiedliwego państwa i sprawiedliwego prawa. Każdy ma swoją moralność — niezależnie od światopoglądu, religii i wieku. Zbrodnia, a w szczególności zabójstwo, gdyż ten rodzaj przestępstw jest najczęściej temem do dyskusji na temat kary śmierci, jest potępiana w każdym środowisku. I... być może to, co powiem za chwilę wyda się paradoksem, ale jest to prawda.

Otóż zaden człowiek nie może, nie potrafi obojętnie patrzeć na śmierć innej osoby, dlatego właśnie jest człowiekiem, ale w tym współczującym offerze czułkiem budzi się bestia, gdy chodzi o osobę sprawcy. I ta bestia także domaga się krwi. Sprawcy. I to także jest ludzkie.

Człowiek nie może mieć zaufania do prawa, jeśli nie zapewni mu ono poczucia bezpieczeństwa, poczucia, że jego krzywdy będą „pomśczone”, że kogoś spotka kara za śmierć innego człowieka, takiego samego jak on. Nawet jeśli tylko na poczuciu kończy się sprawa.

Zdaje sobie sprawę, że generalizuje. Nie o to mi chodzi. Wiem, że każdy przypadek jest inny. Nie w każdym — kara śmierci — jest właśnie sprawiedliwa „zapłata” za wyrządzone zło. O tym już się nawet nie mówi, o tym się krzyczy. I to jest prawda.

Ale nie bładym pobłażliwi dla wynaturzeń, dla okrucieństwa, barbarzyństwa w niszczeniu, nie tolerujemy zabijania dla samego sprawdzania jak to jest, nie tłumaczymy, nie usprawiedliwiamy sprawców tym, że mieli trudne dzieciństwo, że im w życiu nikt nie pomógł, nie wytłumaczył co jest białe co czarne. Jest to zwykłe usprawiedliwianie własnego nieudacznictwa, niewiele znaczący frazes. Ktoś, kto nie nie znaczy w życiu innych, aby zamianować swoją obecność w świecie, zabija — nie wart jest tego, aby żyć w tym świecie. Ktoś, kogo nie dostrzegają, aby być dostrzeżonym — unicestwia innych, kogo, kto jest moralnym zerem, aby zaznaczyć swoją wartość — odbiera innym życie — taki ktoś nie może liczyć na pobłażanie. Wielokrotnie przytaczany przy różnych okazjach przykład zabójstwa taksówkarza z Otwocka powinien być najlepszą ilustracją zagadnienia.

Gdyby wszyscy, którzy mieli jakieś skrzywienie w życiu — dopełniali przestępstwa, świat byłby monstrualnie niebezpieczny. W naszym kraju, na szczęście, zabójstwa nie są integralną częścią codzienności. Nie jest ich jednak mało, zaś liczba ich nie tylko wzrasta, ale przeraża eskalacją okrucieństwa.

I dlatego sadze, że lekarstwem byłoby zwiększenie surowości prawa, właśnie w zakresie orzekania kary śmierci za szczególnie bestialskie akty zabójstwa. Surowość może być i będzie elementem „odstraszającym” daleko bardziej niż perswazje. Cel prewencyjny zostanie osiągnięty przez eliminację chorých komórek organizmu społecznego. Nie będzie następował wtedy proces zarażania i zakażenia pozostałych. Przynajmniej dopóki nie wypracujemy metod walki z przestępczością począwszy od źródła. Ale to chyba nieprędko. Jeśli więc nie potrafimy leczyć przyczyn, leczmy przynajmniej objawy.

Nie liczy na to, że sprawcy zabójstw szczególnie okrutnych, a wobec których sąd zastosował łagodniejsze środki (np. długoterminowa kara pozbawienia wolności), ulegną przemianie. Przemiana szatana w anioła — to pożywką dla literatury; życie jest inne. Szatan może zubić rogi (albo ktoś może mu je przyciąć), może zdebić konwita, ale nigdy nie wyrosną mu skrzydła. Człowiek może się zmienić dla ołoczenia, dla stworzenia wstyhu wleźnięć, ale nie dla siebie samego! Po długoletnim pobyciu w zakładzie karnym będzie jeszcze bardziej wyalienowany, będzie bardziej zastraszony, a na pewno nie będzie społecznie użyteczną jednostką!

Nie wiemy w abstrakcyjnej perspektywie, Prawo jest wytworem danej społeczności, jest funkcją polityki państwa, jest także funkcją moralności narodu, jego tradycji, kultury, obywatelności, orzekania i ma mu służyć. Jeśli więc jedno z ogniw tego narodu buczy powszechnie przestępstwa i akcentowany porządek prawny w taki sposób, iż budzi to powszechne oburzenie i potępienie — nie powinno zostawiać się już zbyt wiele miejsca na rozważania o pozostałych celach kary.

BARBARA KIEBASA (aplikantka Sądu Wojewódzkiego w Łodzi)

SPECJALNIE DLA MIŁOŚNIKÓW SF

Zwracam się do Was z gorącą prośbą o wydrukowanie na łamach Waszego pisma informacji dotyczącej łódzkiego Klubu Miłośników Fantastyki, a w szczególności tego, gdzie znajduje się siedziba tego klubu, jakie są stawiane wymagania dla każdego, kto chciałby zostać członkiem klubu, oraz czy są organizowane w naszym mieście spotkania z autorami SF i gieldy książkowe wydawnictw SF, na które mogłyby pójść każdy przeciętny miłośnik tego gatunku literackiego.

Zdaje sobie sprawę z tego, że indywidualna odpowiedź listowa na zadane pytania nie wchodzi w rachubę, dlatego bardzo proszę o wydrukowanie takiej informacji na łamach „Odgłosów”.

Chcę jeszcze dodać, że takich jak ja — presywnych ludzi zwolennych na punkcie SF jest bardzo wielu, i wiem z doświadczenia, że wszyscy oni szukają ze sobą stałego kontaktu. Dlatego sadze, że taka informacja byłaby pomocna zarówno dla nich, jak i dla mnie.

Z poważaniem ADAM KĘDZERSKI

ODDZIAŁ W ŁODZI PSMF ZAPRASZA

Siedziba władz Oddziału Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki oraz lokal spotkań klubowych mieszczą się w znanej tożsakości placówce Łódzkiego Domu Kultury, Domu Filmu i Plastyki przy ul. Łagiewnickiej 118c. W każdy piątek o godzinie 19 spoty-

kają się tam miłośnicy SF pragnący swój wolny czas spędzić w przyjaźni i o podobnych zainteresowaniach, podyskutować o przeczytanych książkach, o obejrzanym filmie. Klub jest również miejscem wieczorów autorskich pisarzy tworzących ten popularny obecnie gatunek, na spotkaniach w Łodzi gościli ostatnio Krzysztof Bonieć, Janusz A. Zajdel, Marek Oramus, Maciej Parowski, a wczoraj (obecnie działający oddział PSMF jest kontynuacją dawnego OKMPSF) również i Czesław Białeżyński, Wiktor Zwikiewicz, Stefan Weinfeld oraz Carlos Rasch, Klary Butyczow, Ljuban Dilov. Dla zainteresowanych niewyjaśnionymi zagadkami nauki organizowane są spotkania z naukowcami i popularyzatorami nauki (ostatnio z Arnoldem Mostowiczem, w przygotowaniu spotkanie z Andrzejem Dominińskim, autorem „Przybyszów z Kosmosu”, „Zagadkowego światła”), a dla zwolenników kina — projekcje filmowe. Na listopad przewidziane jest ogólnopolskie seminarium filmowe na „Literaturę SF na ekranie”. Stałym punktem spotkań są gieldy książek SF organizowane wyłącznie w każdy pierwszy piątek miesiąca.

Członkiem oddziału może zostać każdy, kto ukończył 16 lat i gotów jest czynnie uczestniczyć w jego działalności. Zapisy przyjmowane są bezpośrednio na spotkaniach klubowych.

Od kilku miesięcy Rada Oddziału w Łodzi PSMF współpracuje z redakcją naszego tygodnika, umożliwiając tym samym start młodemu twórcom literatury SF, tłumaczom, felietonistom.

„PIENIAŻKÓW BRAK — WIANUSZEK STRACONY”

W związku z artykułem „Pieniązków brak — wianuszek stracony” J. Wrońskiego, jaki opublikowany został w „Odgłosach” nr 32 z 6 sierpnia 1983 roku dotyczący odejścia z pracy ob. Lewandowskiego — choreografa Zespołu Pieśni i Tańca „Tramblanka”, działającego przy Zakładach Płytek Ceramicznych w Opocznie, uprzejmie informuję, iż autorka nieświelta problem głównie na podstawie relacji pana Lewandowskiego oraz niektórych członków zespołu.

Jest faktem bezspornym, że „Tramblanka” w poprzednich latach pod kierunkiem p. Lewandowskiego notowała duże sukcesy na scenach całego kraju. Jednak począwszy od roku 1981 zespół przeżywał poważny kryzys organizacyjny i kadrowy czego dowodem był fakt, iż nie był w stanie prezentować programów na festiwalach, przeglądach organizowanych na terenie województwa. W tym czasie zakład zgłaszał uwagi pod adresem choreografa, który z kolei skarżył się na współpracę z zakładem. W moim odczuciu odejście p. Lewandowskiego z Opoczna, a wcześniej z Tomaszowa Maz., gdzie prowadził Zespół „Piliżanie”, a wreszcie do Łodzi, nie jest spowodowane przez autorkę „5,50 zł za kilometr”. Szkoda, że zbierając materiał J. Wrońska nie nawiązała kontaktu z Urzędem Miasta i Gminy Opoczno oraz Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Wtedy dowiedzieliby się o podejmowanych przez nas działaniach mających na celu przezwyciężenie regresu zespołu.

Odejście p. Lewandowskiego poważnie skomplikowało sytuację zespołu, niemniej jednak aktualnie prowadzimy zarówno jako wydział, jak też ZPC w Opocznie rozmowy z instruktorami, którzy zechcą na stałe związać się z Opoczniem. W tym przypadku jestem optymistą i podobnie jak dyrektor zakładu uważam, że „Tramblanka” będzie czołowym zespołem w województwie.

mgr BOGUSŁAW NOWAK dyr. Wydz. Kultury i Sztuki

DOROCZNA NAGRODA IM. SEWERYNA STERLINGA

Społeczny Komitet Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc ustanowił doroczną nagrodę im. Seweryna Sterlinga w wysokości 50 000 zł za prace dziennikarskie o tematyce społecznej walki z gruźlicą i chorobami płuc opublikowane przez dziennikarzy w prasie codziennej lub periodycznej, w radio i telewizji w danym roku kalendarzowym.

Kandydatów do nagrody zgłaszać mogą: Zarząd Główny i Zarządy Oddziałów RD PRL, kolegia redakcyjnych pism, agencji prasowych, rozgłośni radiowych i ośrodków telewizyjnych oraz Zarząd Główny i Zarządy Oddziałów Okręgowych Społecznego Komitetu Walki z Gruźlicą i Chorobami Płuc. Kandydaci mogą również sami zgłaszać swoje prace.

Publikacje prasowe w formie wycinków oznaczonych wintetą pism, audycje radiowe w zapisie magnetofonowym i audycje telewizyjne z podaniem numerów taśm należy przekazywać w terminie do dnia 31 stycznia roku następnego, pod adresem: Zarząd Główny SKWG iChP, ul. Krynicka 12/14, 03-934 Warszawa. Decyduje data stempla pocztowego.

Do oceny pracy i wyłonienia kandydatów do nagrody Zarząd Główny SKWG iChP powoła specjalną jury. Jury ustali ilość prac nagrodzonych i wysokość nagród.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi na pierwszym prezydium Zarządu Głównego SKWG iChP w danym roku.

„MAŁOLEJNI”

Ostatnimi czasy na łamach „Odgłosów” pojawiają się publikacje o tematyce lotniczej. I dobrze — jako że i okazji ku temu nie brakuje, a i sam temat nie jest wyeksploatowany do końca. W tej sprawie, a w ostatnim numerze „Odgłosów” pojawił się artykuł Zbigniewa Jana Chojackiego pt. „Małolejni” traktujący o sprawach Szkół Podoficerów Lotnictwa dla Małoletni w Bydgoszczy, Świeciu i Krośnie. Artykuł bardzo ciekawy, przedstawiający historię powstania SPLdM i jej działalności, ale jak to zwykle bywa w tego rodzaju przypadkach — autora ponosiła fantazja. Pomijam już taki drobiazg, że ppłk Adam Juliusz Zaleski — nie był de facto do września 1939 r. komendantem SPLdM. Przeprowadzona w polskim lotnictwie jesienią 1937 r. reorganizacja doprowadziła do utworzenia dwóch Centrów Wyszkolenia Lotniczego w CWOL w Deblinie i w Bydgoszczy (CWL-2) oraz Centrum Wyszkolenia Lotniczego w CWPL w Bydgoszczy. Komendantem Centrum Wyszkolenia Lotniczego nr 2 był właśnie ppłk pil. inż. Adam Juliusz Zaleski (ur. 15.12.1900 r. — zginął w Starobieleśku). Natomiast funkcję komendanta SPLdM pełnił we wrześniu 1939 roku ppłk dypl. obs. Edmund Ostrowski, ur. 28.04.1897 r. (również zginął w Starobieleśku).

Autora ponosiła też katastroficzna wizja bombardowań we wrześniu 1939 r. Wbrew autorowi — lotnisko w Krośnie nie zostało zbombardowane w dniu 1.09.1939 r. Tego dnia zostało zaatakowane lotnisko w Morderowie, gdzie wskutek bombardowania zginęło 9 uczniów oraz jeden podoficer. Straty osobowe przedstawiają się tak: kpr. Majcherek Stanisław oraz szer. ucz. pil. Kamiński Henryk, Kowalczyk, Kudziak Jan, Kulczycki Józef, Pasternak Jerzy, Sabik Paweł, Sewerniak Stanisław, Suchodolski Franciszek, Zwolński Władysław. Poległych pochowano w zbiorowym grobie na cmentarzu Szebnie k. Jasła. I na tym kończą się straty poniesione na lotnisku w Morderowie.

Z września 1939 r. z niemiecką systematycznością zostały zaatakowane lotniska szkolne. Uderzenie zostało skierowane na CWL-1 w Deblinie i na Krośno. Komenda SPLdM przewidując bombardowanie Krośna po ogłoszeniu alarmu — wydała rozkaz krycia się w rowach przeciwołamkowych i dlatego straty w Krośnie były stosunkowo niskie, szczególnie jeżeli chodzi o małoletni. Pierwszy nalot nastąpił około godz. 10, kiedy ustąpiły poranne mgły, następny około godz. 16. Zabitych było 6 osób, w tym 2 uczniów SPLdM: Poległ: szer. ucz. strz. Rodak Piotr, Machura Wilhelm, por. obs. Kowalczyk Antoni, kpr. strz. rgt. Koczuba Florian, kpr. Stasiak Wilhelm, plut. Rusin Edward.

Po ewakuacji SPLdM do Łucka, mimo „najtragiczniejszego dnia” — jak pisze autor — 10.09.1939 r. poległ „zaledwie” 4 osoby, w tym dwóch uczniów SPLdM. Byli to: ucz. pil. Ochocki Tadeusz i ucz. mech. Sznajder Aleksander. Ponadto poległ: plut. mech. Mandelke Bernard oraz szer. strz. Siwek Stefan. W dniu 15.09.1939 r. podczas kolejnego nalotu niemieckiego na Łuck poległ st. sierż. Myśliwiec Bronisław, szef administracyjny eskadry szkolnej.

Następnie straty poniosła SPLdM 22 września 1939 roku, kiedy to ewakuowana dotarła do Grodka Jagiellońskiego. Tego dnia podczas kolejnego nalotu bombowego zginęli: sierż. Malicki Alojzy, szef admn. 2 eskadry szkolnej, szer. ucz. mech. Rekas Jan, szer. ucz. mech. Karpiak Jan.

Ewakuując się dalej w kierunku na południowy wschód — podczas walk z dywersantami ukraińskimi zginął 26.09.1939 roku: szer. ucz. pil. Rybak Szymon i szer. ucz. strz. Pikul Zbigniew. Tak więc, sumując straty poniesione przez Szkołę Podoficerów Lotnictwa dla Małoletni w Krośnie za okres Wojny Obronnej Polskiej w 1939 r. —

stwierdzić należy, że SPLdM straciła 27 osób personelu, w tym: 1 oficer, 1 podoficerów i 1 szeregowy oraz 18 uczniów.

Autor z podziwu godną dokładnością stwierdza, że nalot na lotnisko w Krośnie nastąpił o godz. 6.05 „w pogodny, słoneczny piątek” (sic!). Według meldunków dowódców baz w Krośnie i Deblinie (tego dnia zalegała gęsta mgła, która ustąpiła dopiero około godziny 10.30. Co bombardowały samoloty Luftwaffe o godz. 6.05 — tego niestety autor nie podaje. W każdym razie lotnisko w Krośnie tego dnia, poza lotami zwiaźdzymi Dornierów Do-17, nie przeżyło nalotów. Opis atakujących z lotu koszącego Dornierów Do-17 nie jest przystosowane do działań z lotu koszącego, po drugie Do-17 nie brały udziału w bombardowaniu Krośna.

Tego dnia nad lotniskiem około godz. 8 pojawił się rozpoznawczy Dornier Do-17, który wobec zalegającej mgły odleciał na południowy zachód. Około godz. 11 nadleciało nad lotnisko 9 Junkersów Ju-87B (eskadra) i z lotu nurkowego zaatakowało lotnisko. Po dwóch atakach (pierwszy — zrzućenie bomb, drugi — atakowanie celów z broni pokładowej) nadleciała następna fala bombowców Heinkel He-111, która zrzuciła bomby z dużej wysokości (ok. 1000 metrów), nie wyrządzając większych strat. Wobec braku obrony przeciwlotniczej i nieobecności polskich myśliwców w powietrzu, do następnego nalotu wyznaczony został szkolny pułk bombowców „General Veer” z 4 Floty Powietrznej, który poprzedzony przez 6 Junkersów Ju-87 „Stuka” zaatakował ponownie lotnisko w Krośnie około godz. 16.30. 38 bombowców Heinkel He-111 obrzuciło bombami lotnisko, niszcząc zabudowania lotniskowe, dystrybutor paliw i hangary z niewielką ilością samolotów. Samoloty z Krośna, po bombardowaniu Morderówki w dniu 1.09.1939 r. zostały ewakuowane częściowo do Deblina, częściowo na lotnisko w Łucku. Pozostałe Potezy XV i Potezy XXV oraz PWS-26 spłonęły w hangarach. Łączne straty w sprzecie wyniosły podczas bombardowania Morderówki i Krośna około 38 samolotów, w tym 17 szt. RWD-8 zniszczonych w Morderowie.

Na zakończenie artykułu autor stwierdza, jakoby nieliczna grupa „małoletni”, która znalazła się na terytorium ZSRR — wstąpiła w szeregi tworzącego się Ludowego Lotnictwa Polskiego. Brawo! Tytuł tylko, że owa „nieliczna grupa” to po prostu kpr. strz. rgt. Aleksander Daniela, który zgłosił się do 2 pnb „Krośno” i jako pilot nawig. Ludowego Lotnictwa zmarł w Warszawie w 1979 roku. Z „przedwojennych” lotników, w szeregi Ludowego Lotnictwa Polskiego wstąpił: por. obs. Tadeusz Wicherkiewicz z CWL-1 w Deblinie, sierż. pil. Medard Konieczny z 5 PL w Wilnie (obecnie pil. pil.), ppor. Michał Jakubik z 4 PL w Toruniu (obecnie gen. bryg. pil.), chor. mech. Leon Szurka, plut. Marian Grabowski, kpr. Józef Wnuk. I tyle byłoby uwag na temat artykułu Zbigniewa Jana Chojackiego.

HUBERT KAZIMIERZ CHAJNAC

ZANIM KUPISZ TRUMNĘ

Niewielki, jednopiętrowy budynek, ukryty w cieniu okolicznych drzew parku im. A. Struga przy ul. Sedziowskiej. Jesteśmy punktualnie o godz. 8. Na chwilę zatrzymujemy się przed sztyldem Akademii Medyczna. Zakład i Katedra Medycyny Sądowej.

Po schodach wchodzimy na wysoki parter budynku. Poczekalni nie ma. Na korytarzu pełno oczekujących ludzi. W większości pośzkodowani, oczekujący na przyjęcie do lekarzy, celem uzyskania obdukcji. Zadnych głośniejszych rozmów, jak to zwykle bywa wśród oczekujących do lekarza w przychodniach rejonowych.

Powaga sytuacji. Nastroj ogólny — raczej przynębiający. Na korytarzach nerwowo kręcą się ludzie w bielej i czerni. Wszędzie na drzwiach widoczne napisy „Obcy wstęp wzbroniony”. Staje przy okienku nad którym widnieje napis: Sekretariat i Informacja.

Pytam dyżurnego pana w okularach o przypuszczalną datę sekcji zwłok interesującego nas denata. Kuzyn zginął śmiercią tragiczną 21 lipca 1983 r. Do zakładu przywieziony został 23 lipca.

— Nie mam jeszcze sporządzonej listy — otrzymuję odpowiedź — proszę się zgłosić do prosektorium. Wejście od strony podwórka w dół przez wiatro.

— Idziemy. Na schodach wyczuwamy niesamowity fetor. Kobiety automatycznie cofają się na podwórko. My natomiast idziemy dalej, zatykając nosy chusteczką. Pan w białym fartuchu przy biurku zajęty jest przeglądaniem rejestru dostarczonych do przeprowadzenia sekcji denatów.

— Modliwie szybko podaje cel naszej wizyty. Pytam o podanie konkretnej daty odbioru zwłok po dokonaniu sekcji.

— To nie takie proste — pada odpowiedź — musi poczekać na swoją kolejkę. Mamy zaległości od czterech tygodni lipca. Pan wie, co to oznacza przy takich upałach. Przecież jakiś porządek być musi.

— Wiem. Nie przeczę. Mam prośbę w imieniu rodziny. Czy nie można byłoby tego wcześniej załatwić?

— To nie zależy ode mnie. Musi pan porozmawiać z lekarzami. Obecnie mają naradę. Proszę zaczekać na podwórku. Poproszę panów jak tylko skończy się narada.

Wychodzimy z wielką ulgą.

Siadamy z dala od wejścia, na pobliskiej laweczce. Widzimy na terenie posesji różne grupy i grupki ludzi, dyskutujących żywo ściszym głosem. Najbliżej nas stoją dwie panie w czerni oraz dwóch mężczyzn. Od czasu do czasu podchodzi do nich pewien młodzieniec z wąsikami w białym fartuchu. Widocznie coś załatwia. Następnie prosi o dowód denata. Wchodzi na górę i wraca z aktem zgonu. Rodzina uszczęśliwiona — odjeżdża własnym autem. Jednego mniej. My nadal oczekujemy na wezwanie. Wychodzą na mały spacer.

— Wracam z powrotem, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Jeszcze nie prosili — mówią kuzyni. Może zapomnieli — godzina oczekiwania. Postanawiam raz jeszcze udać się do prosektorium. Drzwi zastaje zamknięte. Naciśkam dzwonek. Otwiera mi jakiś starszy pan w cywilnym ubraniu.

— Pan do kogo?

— Do kierownika — mówię zirytowany.

— Do którego kierownika?

— A jacy tu są?

— Mam ich kilku. Profesor urzęduje na górze. Kierownik prosektorium urzęduje na dole, ale jest mocno zajęty. Proszę siadać, zaraz kogoś poproszę.

— Siadam, z trudem oddycham.

— Wchodzi pan w bielej. Pochyla się nad stosem papierków na biurku. Wertuje po kolei. Nie przeszkadzam. Może sam znacznie rozmów. Nic z tego.

— Przepraszam, ja w sprawie odbioru zwłok po dokonaniu sekcji. Kiedy będziemy mogli je odebrać?

— Po sekcji.

— A przynajmniej może pan określić termin sekcji.

— Wiem o co chodzi. Dużo tego się ubierało. Każdej rodzinie się spieszy. Zobaczymy co da się zrobić. Rozejrzyj się w pracy. Wchodzi.

Za chwilę wchodzi pan drugi w białym fartuchu, gumowych rękawiczkach na rękach. Widocznie prosto oderwany od pracy.

— A to pan jeszcze czeka?

— Czekam od samego rana. Chciałbym konkretnie z kimś wreszcie uzgodnić termin odbioru zwłok — mówię grzesznie, siłując się na spokój.

— Rozumiem pana doskonale. Z tym się wiąże dalsze załatwianie innych spraw, związanych z pogrzebem.

— Dobrze, że pan to rozumie — więc może ustalimy w końcu termin, co do dnia, godziny.

— To będzie niezwykle trudne do określenia w tej sytuacji.

Przegląda ponownie dokumentację leżącą na biurku.

— No, powiedzmy — zgłosił się pan jutro, na godzinę 12.30 — odpowiada to panu?

— Trzeba było od razu tak mówić — serdecznie panu dziękuję. Ale mnie pan wyrzyknął.

Oznajmiam te wiadomości oczekującej rodzinie. Możemy wreszcie coś dalej załatwiać z trumną, przewozem, kłeszeniem itd. Czasu zostało niewiele na załatwienie tylu spraw przez związanych z pogrzebem według powszechnie przyjętych zasad, zwyczajów. Ogólna sytuacja ogarsza się upały. Lato w pełni. Ludzie uwijają się jak w ukrocie, aby szybko, przedać coś załatwić.

Tu, na Sedziowskiej cisza i spokój. Nikt specjalnie niezmienia się nie przejmnie. Waskie gardło. Denaci również muszą oczekiwać w kolejkę. Taka niestety jest kolej rzeczy za życia i po śmierci. A wiele się o tym mówi i pisze. Całe eklezja artykułów zamieszczonych niedawno na łamach „GR” i „Odgłosów”. Żadnego efektu.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

PS. Powyższe zdarzenie miało miejsce w dniu 25 lipca 1983 r. W razie potrzeby mogą potwierdzić pozostałe trzy osoby.

Ostatnio na krajowym rynku wydawniczym ukazała się „ROCK ESTRADA”. Atrakcyjna, kolorowa okładka, kolorowy, rozkładowy plakat w środku numeru, bogaty materiał zdjęciowy (kolor) ciekawe publikacje — to główne atuty tego wydawnictwa, które przez niektórych uważane jest za edytorski bestseller roku. Autorem tego zlagieru jest ANDRZEJ JÓZWIAK, którego nie trzeba rekomendować: publicysta, były dyrektor i kierownik artystyczny Estrady Łódzkiej, inicjator masowej imprezy Polskie Targi Estradowe.

— Był pan swego czasu kreowany na „Napoleona polskiej rozrywki”, „Zanusiego krajowego show-businessu”, „Króla estrady”. Wiem, że nie protestował pan przeciw tym przydomkom i budowaniu mitu wokół swojej osoby. Czy rzeczywiście tak dobrze i pewnie czuł się pan w tych rolach?

— Przydomki te w zasadzie wymyślił pańscy koledzy — dziennikarze z całego kraju, których byłem pupilem. Natomiast ja zawsze miałem pełną świadomość, że przyjdzie walczyć, wyrównać. Nazywam to teorią równo strzyżonej trawy. Jeżeli jedna trawa wyrasta ponad pozostałe, to się ją ścina. Zostałem ścięty.

— Ale nie był pan szczególnie lubianym człowiekiem, raczej kontrowersyjnym?

— Jak każdy, miałem i mam przyjaciół oraz wrogów. Słowo — kontrowersyjny słodko brzmi w ustach kształtujących takową opinię — cymbalistów, którzy palcem w bucie nie ruszą, aby pracować dla kogoś, czegoś lub samego siebie. Natomiast są mistrzami w sypaniu piaskiem w oczy. Jeżeli kontrowersyjną jest rzetelna robota, mówienie rzeczy prawdziwych, pozostawanie w zgodzie z samym sobą, nieumiejność stania z boku — to tak, jestem kontrowersyjny. Z charakteru jestem dobronudnym pacyfistą, chociaż zawsze była mi obca defensywność.

Wejście smoka

Z ANDRZEJEM JÓZWIAKIEM rozmawia
BOHDAN GADOMSKI

— Tym, którzy napisali donosy, wymyśliłi pomówienia, ułożyli wotum nienfności, wierzył pan czy podejrzewał o dwulicowość? Ostatecznie wyłano pana z roboty. I jak pan to przeżył?

— Jestem z pokolenia pozbawionego legendy, tzn. buforowej generacji, obśmiewanej do znużenia przez historię. W późnym dzieciństwie swoim życiorysem otarłem się o brutalną indoktrynację lat 50. To uodparnia. Człowiek twardnieje, nie idzie na kompromisy. M.in. nie zgodziłem się na żądanie estradowej Solidarności, aby zwolnić z pracy kilku ludzi, wśród nich i sekretarza POP i przewodniczącego starej organizacji związkowej. Moi przeciwnicy ulegli wówczas presji silnych efektów, płynęły na warkiej fali krajowych emocji. Dziś chyba tego żałują. Opuścimy więc zastaną miłosierdzia.

— Wyjechał więc pan do RFN. Prywatnie czy zawodowo?

— Tak, wyjechałem, bo nie mogłem dostać pracy w Łodzi. W RFN początkowo pracowałem w firmie gramofonowej, a następnie w dużej agencji koncertowej, z którą do chwili obecnej utrzymuję koleżeński kontakt.

— To w RFN narodził się pomysł na wydanie wydawnictwa poświęconego sprawom muzyki młodzieżowej i estrady?

— Nie, w Ulan Bator.

— Pana przebojowość, demoniczność menażera, specjalisty od estrady wrosła czy zmalała? Po doświadczeniach zachodnio-niemieckich nauczyli się pan pokory czy raczej przybyło na spannie?

— Moją odpowiedzią na pana pytanie jest „Rock Estrada”.

— Ile czasu zabrało panu przygotowanie do wydania tego polskiego „Brava”?

— Dwa tygodnie, z tym, że materiały miałem wcześniej opracowane. Natomiast reszta czasu, to już sprawy poligraficzne.

— Pan i jego ekipa redakcyjna mieszkacie w Łodzi, natomiast wydawca jest Ośrodek Sztuki Estradowej w Lublinie. Czy nie zamierza pan współpracować z Estradą Łódzka?

— Nie! Łatamy na różnych wysokościach.

— Czy prawdą jest, że Warszawa proponuje panu przejęcie „Rock Estrady” wraz z nominacją na redaktora naczelnego?

— Tak. Prawda.

ROCK ESTRADA
LATO '83

BRUCE LEE
ostatnia walka

10 LAT BUDKI
SUFLERA
Piórem i Grabowskiego

POZA TYM W NUMERZE
Zygmunt Kiszakiewicz: MIDJ
Republika, Perfect, krzyżów
horoskop itp.

Uwaga! W środku kolorowy plakat AC/DC!

— Tak. Prawda.

— I co?

— I nic. Rozmowy toczą się w atmosferze powagi i wzajemnego zrozumienia.

— Podobno redakcja „Rock Estrady” mieszka w pana prywatnym mieszkaniu, co prawda dwupiętrowym, wielopokojowym, ale jednak prywatnym?

— A co w tym dziwnego?

— Wydawnictwo jest do czytania i oglądania, choć odwrócićbym kolejność i skupił się przede wszystkim na oglądaniu, pan postanowił epatować czytelników kolorowymi zdjęciami znanych zespołów i goliżną dziewcząt, czyli poszedł trochę na łatwiznę i tani poklask?

— „Rock Estrada” nie ma charakteru pisma naukowego. Proszę więc wziąć pewien margines tolerancji na rejon, w których tematyka wydawnictwa się obraca. Jest to sfera muzyki, show-businessu, który więcej ma wspólnego z cyrkami niż z elektrownią atomową. Ładna dziewczyna jest relaksem po tym nawale publicystycznych rockowych fraz znajdujących się w „Rock Estradzie”.

— Napisał pan notę redakcyjną, niby poważnie i szczerze, a tuż obok zamieścił dziewczynę z gołą pupą na rowerze?

— Życie nauczyło mnie, że wstępnych not redakcyjnych nikt prawie nie czyta. Wszyscy uważają je za tzw. „dętą mowę”. Natomiast ja chciałem, aby oczy czytelnika zatrzymały się na naszym przesłaniu do odbiorców, aby to przesłanie zafunkcjonowało w ich świadomości. Stąd to bulwersujące pana zdjęcie, przy czym wyznam w zaufaniu, że głównym motywem wyboru nie była goła dziewczyna, ale rower. To wspaniały, nowoczesny model.

— Cena 180 złotych nie jest — zdaniem pana — zbyt wygórowana?

— Być może nie jest to mało, ale są to zaledwie dwie paczki „Carmenów” bądź połowa butelki nie najlepszego wina, równoważność 40 procent ceny biletu na estradowy koncert. Pytanie o cenę zadała mi również dziennikarka przeprowadzająca ze mną wywiad dla Dziennika Telewizyjnego. Rozmowa rejestrowana była w Klubie Studenckim „Stodoła”, gdzie wstęp na dyskotekę właśnie tego wieczoru wynosił 350 zł. Poza tym, o czym pan dobrze wie, „Rock Estrada” zniknęła z kiosków dosłownie w ciągu kilku minut.

— Nakład zwiększył się czy zmniejszył?

— Zwiększył się o 100 procent.

— „Bliskie spotkania” (reklamowane w pierwszym numerze) to jak przypuszczam Zjazd Krajowych Stowarzyszeń Muzycznych i Estradowych. To taki pierwszy krok do zorganizowania nowej formacji estradowej w randze stowarzyszenia i rozsądzenie estradowych struktur?

— Lubie prowokować zdarzenia, walczyć, stwarzać nowe sytuacje, dlatego zawsze starałem się mieć w swoim najbliższym otoczeniu ludzi ostrych, nieschematycznych, pasjonatów, wrażliwych, choć niekiedy konfliktowych. Takim ludziom można stawiać cele a oni je osiągną. Tacy ludzie są wszędzie: w Lublinie, Warszawie, Kielcach, maleńkim Brzozowie k. Krosna czy lubelskiej Poniatowej. Korzystając z pomocy i życzliwości władz lubelskich chcemy tych ludzi ściągnąć do Pałacu Czartoryskich w Naleczowie...

— Mafie estrad chce pan zastąpić mafią stowarzyszeń. Czy to się panu marzy?

— Od dawna nie mam ani marzeń, ani złudzeń. Wiem natomiast o co mi chodzi. Przecież każdy człowiek jest związany z pewną liczbą ludzi wzajemnie się rozumiejących, akceptujących swoje cele, przyjaźniących się, zważając, spójność, zaufanie wzajemna pomoc pojawia się wtedy, kiedy w tej grupie ludzi zaczyna działać szereg norm, kiedy wyznaczone są jasno sformułowane cele i zadania. Taką grupą są nie tylko stowarzyszenia, ale i rodzina, organizacja sportowa czy religijna. Oczywiście taką grupą może być też komuna hipisowska czy sycylijska mafia, gdzie obowiązuje kastowa solidarność drużyny. Mafia stowarzyszeń to, proszę pana, nawet brzmi nieźle, jeżeli celem będzie wypracowanie właściwego artystycznie i ideowo kształtu polskiej estrady, kształtowanie socjalistycznej świadomości artystycznej, wymiana doświadczeń. I oto nam głównie chodzi w „Bliskich spotkaniach”.

— W oczekiwaniu na swoje „wejście smoka” do estradowej branży napisał pan książkę „Mechaniczny pies”, która czeka na wydanie. O czym traktuje?

— Rock, seks, praca, krew, pot i łzy. Akcja dzieje się w RFN, w środowisku polskich gasterbajterów. Jest to po „Strukturze rozrywki” i „Magistrze na Broadwayu” moja trzecia książka.

— Niby pan redaguje, wydaje, pisze, ale jak słyszałem przymerza się pan do otwarcia przedsiębiorstwa wydającego kasety, płyty, plakaty?

— Zle pan słyszał, tu nie chodzi o przedsiębiorstwo, ale o stowarzyszenie ludzi dobrej woli, którzy pragną żeby Łódź estradowa poważnie zafunkcjonowała na mapie kulturalnej kraju, tak jak to było w latach 1973—80.

— Były za pana kadencji Targi Estradowe, kabarety, nocny klub, dużo szpanu, reklamy graniczącej z reklamiarstwem. A może zdążył się pan już z tego wyleczyć?

— Mianem „reklamiarstwa” w odniesieniu do mojej działalności operowali głównie ludzie, o których środki masowego przekazu będą mówiły tylko w kronice milicijnych wypadków. Czy nie sądzi pan, że potrzebne są nam kabarety, akcje w typie Targów Estradowych, które spopularyzują nasze miasto na mapie kulturalnej kraju?

— Zgoda, ale nadal lubi pan szokować ludzi, czego przykładem wydawnictwo, o którym przebakiwano od lat, a redagował je i bardzo reklamiarstwo wydał nikt inny tylko właśnie Andrzej Józwiak?

— Mam z tym jednak trochę problemów, ale kłopoty są moją specjalnością.

— Zastanawiam się na jaki przydomek teraz najbardziej pan zasługuje i idąc po linii pańskiej działalności — widzę tylko jeden: „Bruce Lee polskiej rozrywki” czyli taki smok co to go nikt nigdy nie pokona, a jeżeli nawet, to on i tak narodził się jak feniks z popiołów i ruszy do ataku Długo pan ćwiczył karate?

— Sam nie ćwiczyłem, ale w gronie współpracowników jest kilku karatekistów.

— Ale Bruce Lee jest pan, nie oni. Czy zna pan orzeczenie lekarskie wydane po śmierci Bruce'a Lee?

— Udar mózgu.

— I sądzi pan, że przy takim tempie pracy, przy takim stopniu zaangażowania nie grozi panu udar mózgu?

— Udar mózgu grozi wyłącznie tym, którzy zbyt wcześnie próbowali mnie pogrzebać.

MR LENNON

słowa i muzyka: Miroslaw Breguła, Henryk Chich
śpiewa: „UNIVERSE”

Zyłś przez tyle dni, autograf Mu dałś, by odjechać i znów się spotkać z nim.
Dosięgił Cię aż pięć kul, by zadać śmiertelny ból,
by zdławić głos, co jeszcze śpiewać mógł,
mógł brzmieć, mógł ludziom radość dać.
Kto wie? Kto wie co jeszcze mógłbyś grać?

Miliony zranionych serc żalobą pokryły się, pytając:
Kto odważył się?
Twa Yoko nie będzie już wsłuchiwać się w sens Twych słów,
od teraz nie zaśpiewasz jej już nic,
lecz mit — mit Johna dalej trwa.
Twój głos, Twój styl pozostał w wielu z nas.

Johny! Woła Cię świat, wołam Cię ja,
Johny! Czy taki miał być koniec Twych dni.

Idolu wrażliwych serc twój fan Ci oddaje cześć, czekając
kiedy spotka cie.
Nie płacz, bo szkoda łez, lecz że świat tak okrutny jest
zabija bezlitośnie, szerzy śmierć.
Skąd więc ma pokój na nim być.
Kto wie? Kto wie czy warto dalej żyć?

Johny! Johny! Czy mam zostać tu sam.
Johny! Czy „give peace a chance” ma jeszcze sens.

O'KEY, O'KEY NIC NIE WIEM, NIC NIE WIEM

słowa, muzyka i wykonanie: BEATA KOZIDRAK

Uspokój się mamo
Uspokój się
Nie nie jest tak ważne
Jak spokój ten
Bo nie się nie stało
Mam dużo pieniędzy
Musiałam to robić
Bo żyłabym w nędzy
O'key, o'key, nic nie wiem, nic nie wiem
O'key, o'key, nic nie wiem, nic nie wiem
On chciał się ożenić
I kochał mnie bardzo
Lecz w mig się dowiedział
Dlaczego mną gardzą
I białą sukienkę
Sprzedałam w komisie
Mam czego żalować
Na całe życie
O'key, o'key, nic nie wiem, nic nie wiem
O'key, o'key, nic nie wiem, nic nie wiem
Uspokój się mamo
Wróciłam do Ciebie
Znów jestem bez grzechu
Jak w niebie, jak w niebie
W bujanym fotelu
Jak dawniej się kiwasz
Czy znów mi wybaczysz
Ze giupło żyłam
O'key, o'key, nic nie wiem, nic nie wiem
O'key, o'key, nic nie wiem, nic nie wiem

PIosenka WARIATA

słowa: Waldemar Chyliński
muzyka: Andrzej Swacyna
śpiewają: „Kaczki z nowej paczki”

Zacięty jak bat furmański nad końskim zadem
W pokrzywach lub w malinach trzymam rozum swój
I jak u babci zjadam deser przed obiadem
Na lewą nogę zawsze wkładam prawy but

Nie mogę wyjść ani przyjąć
Ani się położyć
Nie mogę wstać ani spać
Ani siku zrobić

Zwichnięty jak po biegu wafla noga w stawie
Do wanny z umywalki wykonuję skok
Mówią psychiatry o mnie mówią wariat prawie
Gdy się w tramwaju pytam po co jest ten tłok

Nie mogę wyjść ani przyjść...

Związany jak alkohól z tańcem na ubawie
Na łóżku sżywno leżę wspominając ruch
Lekarz dyżurny mówi że jak się popawię
To może zdejmą pasy półdzisie anioł stróż

Nie mogę wyjść ani przyjść...

Grzeszny jak dziecko które dostał ma lizaka
W sanitariusza wbijam swój błagalny wzrok
Nie trzeba było znów z gaci robić fraka
Nienormalnego grać tak przez okrągły rok

Nie mogę wyjść ani przyjść...

DIABELSKI KRAG

słowa, muzyka i wykonanie: Beata Kozidrak

Kogo diabeł opęta
Człowiek niady nie zmieni już
Kochany pamiętaj
Nie pomoże Ci żaden cud
Mam oczy zamknięte
I zupełnie kamienną twarz
Czarna luna na niebie to znak —
że porwie Cię diabelski wiatr

Czarne dłonie silnych rąk
Tworzą już diabelski krag
Śpiewaj, śpiewaj z nami wraz
Jeśli czarną skórę masz

Nie ma miejsca dla Ciebie
Ani na ziemi ani w niebie
W piekle karmić cię będą
Czarną kawą i czarnym chlebem

Smola w kotłach się grzeje
Widły same już idą w ruch
Czarna luna na niebie to znak —
że porwie Cię diabelski wiatr

Czarne dłonie silnych rąk...

W latach 1973—75 John Lennon rozstał się ze swoją o siedem lat starszą żoną, japońską reżyserką filmową Yoko Ono. O tym okresie życia najsławniejszego Beatlesa, idola młodzieży, wiadomo było dotychczas, że te półtora roku, spędzone z amerykańką chińskiego pochodzenia May Pang, stanowiły dla niego nieznaną historię, według jego własnych słów: „zmarnowany weekend”. Tym bagatelizującym określeniem scharakteryzował artysta owe miesiące pobytu w Los Angeles, gdzie obracał się — często wraz z May Pang — w towarzystwie notorycznych wykończonych. Pół to rzekomo banalna przygoda, po której — jakby nic się nie stało — można spokojnie wrócić do własnego domu i codziennych zajęć. Bo w istocie Lennon wrócił do Yoko.

Co do May Pang, to przed tą wspólną osiemnastomiesięczną eskapadą, była ona sekretarką i asystentką Lennona i oddaną obojgu małżonkom, niezwykle dla nich pomocną w załatwianiu całego mnóstwa bieżących spraw. May Pang, obecnie już 32-letnia, opublikowała w wydaniu książkowym wspomnienia ze swojego romansu z Lennonom, rzucając zupełnie nowe światło na postać słynnego Beatlesa na jego pożycie z Yoko, odsłaniając też kulisy jego romansowej przygody.

Okazuje się, że pożyciu małżeńskiemu Lennona zaczął zagrażać poważny kryzys z powodu wystąpienia erotycznych zapalów Johna wobec małżonki. Wówczas to Yoko, kochająca się zawsze — jak twierdzi May — chłodną kalkulacją, uznała w tej sytuacji za najkorzystniejsze dla siebie wyjście, doprowadzenie do — przelotnego oczywiście — związku Lennona z May Pang. dawał on bowiem rękojmię, że pozostanie w zasięgu oddziaływania, a przynajmniej w polu widzenia żony, ponieważ lojalność i życzliwość May wobec obojga małżonków nie mogła budzić wątpliwości. Yoko liczyła więc zarówno na to, że May podejmie się wyznaczonej sobie roli, jak też nie dopuści, by związek przybrał trwalszy charakter.

Więcej osobliwa propozycja Yoko spotkała się z początku z gwałtownym sprzeciwem May, która skrycie kochała się w swoim szefie — dlatego właśnie nie chciała sobie pozwolić na przelotny z nim związek, w końcu jednak po długotrwałych naleganiach, May Pang uległa i mieszanymi zapewne uczuciami i tak doszło w 1973 r. do zaaranżowanego przez nią zbliżenia z Lennonom, które uczyniło z niej teraz dziewczynę



John Lennon z May Pang

„Zmarnowany weekend” Johna Lennona

czynne już dosłownie do wszystkiego, bo wśród rozbieżnych funkcji przypadły jej też zadania kierownicy samochodu swego kochanka.

Intymne pożycie z Lennonom sprawiło, iż ożom May Pang objawiły się zupełnie jej dotąd nieznanne cechy jego osobowości, sprzeczne z wyobrażeniami o nim ogółu jego wielbicieli, i zwłaszcza wielbicieli, jako o zgodnym i łagodnym człowieku; dowcipnym i stale pogodnym.

Lennon, którego organizm źle znosił alkohol, często jednak zaglądał do kieliszka, a po kilku kolejkach stawał się niezwykle agresywny, atakując wszystko co znajdowało się w jego zasięgu, toteż niejednokrotnie, w czasie takich napadów wystraszona kochanka musiała się przed nim kryć. Następnego dnia po wybuchu Lennon zwykle nie mógł sobie niczego przypomnieć, popadał w depresję, stawał się łagodny i potulny, aż do... następnego pijackiego ataku.

May Pang znosiła cierpliwie i wyrozumiale wszystkie wysoki kochanka, ponieważ, jak pisał, kochała go wprost „bałwochwalczo”. May Pang wspomina m. in. sytuację, kiedy Lennon usiłował po pijanemu utopić ją w basenie i zaczął już dusić, a uratowała ją dopiero interwencja jednego z kompanów Johna. Nieustanne napięcie, ciągle zmiany nastrojów Lennona — od czułości do brutalności zrosła May Pang również i dlatego, że podziwiała go jako artystę i czuła mu się potrzebna w usuwaniu kłopotów i dokuczliwości codziennego życia.

Nad całym tym niezwykle pożytecznym kochanków czuwała zdalnie Yoko, która podobno dzwoniła z Nowego Yorku po kilkanaście razy na dobę, aby odbierać od May Pang raporty o sytuacji i udzielać jej wskazówek postępowania, ale coraz częściej rozmawiała też Yoko z mężem Lennon wyznał zresztą kochance pewnego dnia z rozbrajającą szczerością: „Yoko mówi, że chce, żebym miał z tobą swoją przyjemność, a ma na myśli — rzecz jasna, tylko „te rzeczy” i nie ponadto. Gdyby myślała, że oprócz tego cokolwiek wobec ciebie czuje, sprawiłoby jej to ból, a tego chciałabym jej zanszczędzić”.

Przez cały czas wspólnego pożycia z Johnem — twierdzi May Pang — odczuwała ona stale daleką, lecz nieustanną obecność Yoko, toteż nie zaskoczyło jej wcale, gdy z początkiem 1975 r. Lennon oznajmił: „Yoko pozwoliła mi wrócić do domu”. Co prawda przez pewien czas kochankowie spotykali się nadal, żeby się przespoczyć, ale May Pang jeszcze bardziej niż przedtem zdawała sobie sprawę, że Yoko zawsze będzie miała w ośrodku z nią silniejszą pozycję wobec Lennona.

„NIENAWIDZĘ POLAŃSKIEGO!”

(ze wspomnień May Pang o Johnie Lennonie i Yoko Ono — wg tygodnika „Der Spiegel”).

Gdy John już ukończył nagrywanie płyty „Imagine” pozostał razem z Yoko w Nowym Yorku. Wstawali zwykle pomiędzy dziesiątą rano a czwartą po południu, a kiedy się tylko zbudziła, zadali swojego „lekarstwa” — małych białych tabletek które popili sokiem pomarańczowym. John powiedział mi, że to Metadon. John był pełen energii i aktywności, ale gdy brakło mu pomysłu, który by go całkowicie pochłaniał, rozleniwiał się zupełnie i wylęgiwał całymi dniami w łóżku, wpatrzony przed siebie.

Yoko natomiast pracowała bez przerwy, ciągle pełna nowych pomysłów. W swoich pracach potrzebowała jednak niekiedy udziału Johna, a gdy nie chciało mu się pracować, ona także nie potrafiła. Umysł Johna był stale pobudzony, ale gdy się już lenił, wówczas wpadał w nastrój neurasteniczny i szukał ucieczki u Yoko. Była ona skłonna do zachowań i posunięć skrajnych. Kiedy John na przykład uskarżał się na któregoś z Beatlesów, Yoko dawała mu do zrozumienia, że był on zawsze wrogiem Johna i powinno się z nim skończyć. Ale kiedy znów Yoko ulegała swoim natrętnym myślom, wówczas przestawała być dla Johna ostoją i musiał wówczas szukać pocieszenia w tabletkach. Oboje wreszcie znaleźli się w wymaganym świecie, pełnym urojeń, uważali, że wszyscy sprzyśli się przeciwko nim i nikomu już nie można ufać. Stali się wreszcie tak lekliwi, że ilekroć spotykali kogoś na korytarzu, wychodząc z pokoju hotelowego, cofali się do wnętrza i czekali aż korytarz będzie pusty.

Obserwowałam, jak John i Yoko stawali się stopniowo ofiarami własnej manii przesładowczej, ulegając stale zmieniającym nastrojom i nastawieniom, jak aktorzy, którzy z jednakowym przekonaniem wcielają się w coraz to inną rolę.



Pewnego wieczoru postanowiliśmy wybrać się do „Trubadura”, gdzie występowała właśnie w nowym repertuarze piosenkarskim Anna

Peebles. Przed jej występem poszliśmy coś zjeść wspólnie z perkusistą Jimem Keltnerem i jego żoną Cynthia oraz gitarzysta Jesse Davisem z przyjaciółką Patti. Jesse lubił zresztą zaskakiwać otoczenie swoim zachowaniem, a John miał do takich ludzi słabość. Po trzeciej kolejce John wszedł do toalety, wrócił stamtąd wkrótce z paczką tamponów i jeden z nich przykleił sobie na czoło, co uznał sam za niezwykle komiczne, a Jesse również był tego zdania. Większość naszego towarzystwa usiłowała jednak nakłonić Johna, by odkleił z czoła nieszczęsny tampon, co tylko wzmagało jego upór.

John i Jesse wypili jeszcze parę kolejek i stali się tak głośni, że zagrożono nam usunięciem z lokalu jeśli się nie uspokojymy. Był to już ostatni moment, żeby Johna odwieźć do domu, ale oczywiście nie chciało zrezygnować z posłuchania Anny Peebles i wybrawy do „Trubadura” — z tamponem na czoło. W dodatku Jesse stale go podhechtował.

W „Trubadurze”, kiedy do naszego stolika podeszła kelnerka by przyjąć zamówienie na drinki, John zaczął ją obraźliwie zaczepiać. A gdy Anna Peebles rozpoczęła swój występ, John zaczął wykrzykiwać sprośne słowa, na co część publiczności reagowała śmiechem; lecz pozostali widzowie domagali się od Johna, żeby się uciszył, na co ten odpowiedział serią jeszcze głośniejszych okrzyków. Aż wreszcie wyproszono nas.

John, który nadal miał na czoło swoją ozdobę, uparł się, aby Jesse i Patti poszli z nami do domu, na co Jesse chętnie przystał. Kiedy znaleźliśmy się w domu, John (coż) zał się i stwierdziwszy, że jest za jasno, chwycił palec i rozbił nią kuchenną lampę. Po jakimś czasie kiedy siedzieliśmy z Patti same w jednym z pokojów, usłyszeliśmy głoche uderzenie. Pobiegliśmy do kuchni, gdzie na podłodze leżał rozciągnięty Jesse. „Zabijesz go!” — zaczęła krzyczeć Patti, wtedy John chwycił Jessemu na głowę zimnym sokiem pomarańczowym. Jesse poruszył się. „Widzisz?” — zawołał John do Patti — „on wcale nie jest martwy!”. Ostatecznie John przyznał się nam, że kiedy znalazł się wraz z Jessem w kuchni, rozbił gościowi na głowie butelkę coli, a ten upadł jak diabeł.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi wejściowych, zza których usłyszeliśmy głos: „Policja!” John, który panicznie bał się policji od czasu, kiedy był zatrzymany z powodu posiadania narkotyków, uciekł schodami na górę i ukrył się w sypialni. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam wycelowane we mnie lufy pistoletów i osiępił mnie blask latarek. Usłyszałam głos funkcjonariusza: „Wzywano nas, ponieważ sąsiedzi słyszeli u was strzały”. Policjanci zaczęli chodzić po mieszkaniu, nie opuszczając broni, próbowałam wyjaśnić, że popiliśmy trochę i hałasowaliśmy, ale nikt oczywiście nie został zabity. Policja nadal jednak weszła po mieszkaniu z wyciągniętą bronią.

„A co jest wyżej?” — zapytał funkcjonariusz. Zaczęłam wchodzić na schody, a policjant za mną z odbezpieczoną bronią. Wtedy ukazał się na schodach John mocno podenerwowany. Zaskoczeni policjanci trzymali go pod bronią i oświetlali latarkami. Wreszcie najmłodszy z nich zapytał Johna z wyraźnymi objawami szalkunku: „Czy wierzy pan, że Beatlesi jeszcze się kiedyś zjedzą?” — „Tego nie można wiedzieć” — odpowiedział John nerwowo.

Policjanci wreszcie sobie poszli, nie ich wzyta podziwiała na nas otrzewniając. Kiedy oprowadziłam gości do wozu i byłam na ulicy, usłyszałam jak John wreszcie głosem pełnym wściekłości: „Nienawidzę Romana Polańskiego. On jest podła świnią!” Kiedy wbiegłam do domu, John dewastował pokój krzycząc: „Roman Polański jest wszystkim winien!”

Spotykałam Polańskiego kilkakrotnie i John nigdy nie był do niego nastawiony nieprzyjaźnie. Obserwowałam, jak John demoluje pokój, rozbijając i łamiąc wszystko, co mu podejdzie pod rękę. Równał w ścianę telewizorem, rozbił lampą lustro, wysypał zawartość szuflady na podłogę, zaczął szarpać na sobie ubranie. Chciałam go uspokoić, wówczas zerwał nu z szyi korale i rozdeptał.

Oddałam się i starałam siedzieć cicho w ukryciu, dookoła hałasy nie ustawały. Kiedy wreszcie ucichło, pokój Johna był jedynym umiarkowaniem, a on sam leżał na zalanym łóżku.

Kiedy się z rana obudził, zapytał: „Czy znów coś zwojowałam?”

Oprac. J. K.



Pomnik Lennona w Los Angeles



John Lennon z żoną, kilka godzin przed śmiercią.

W kręgu fantastyki

Tupelo opuścił biuro. Czuli się zmęczony, kompletnie wyczerpani. Mechanicznie maszerował Washington Street w kierunku stacji Essex. W połowie schodów zatrzymał się gwałtownie i wolno rozjeżdżał się wokół. Następnie ponownie wyszedł po schodach na ulicę i przywołał taksówkę. W domu zaaplikował sobie podwójnego drinka i padł na łóżko. O 15.30 dnia następnego wygłosił studentom wykład na temat „Algebra pól i kół”. Po szybkiej kolacji w Crimson Spa udał się do swego mieszkania i spędził wieczór na następnej próbie przeniekania łańcuchowych właściwości systemu. Próba była bezowocna, ale matematyk doszedł do kilku ważnych wniosków. O jedenastej wieczorem zadzwonił do Whyte'a.

— Sądę, iż może się wam przydać moja pomoc podczas dzisiejszych poszukiwań — powiedział. — Mogę przyjechać? Naczelnym dyrektorem wcale nie był zachwycony tą propozycją. Oznajmił, iż zamierza się rozwiązać ten problem bez pomocy ze strony postzelonych profesorów, którzy sądzą, że pociągi metra potrafią przeskakiwać do czwartego wymiaru. Tupelo pogodził się z przegraną i poszedł spać. O czwartej nad ranem obudził go telefon. Dzwonił, pełen skruchy, Kelvin Whyte.

— Chyba byłem trochę zbyt porywczy wieczorem, profesorze — wyjąkał. — Mimo wszystko może być nam pan pomocny. Mogłby pan przybyć na stację Milk Street Cross-Over? Tupelo zgodził się natychmiast. Wezwał taksówkę i w pół godziny był na wskazanej stacji. U stóp schodów, na wyższym poziomie, ujrzał że tunel jest jasno oświetlony, jak podczas normalnej pracy metra. Ale perony były puste, jeśli nie liczyć malej, zwartej grupki kilku mężczyzn. Zauważył, że dwóch z nich było policjantami. Zaobserwował też, iż obok peronu stoi złożony z jednego wagonu skład. Przednie jego drzwi były otwarte, wewnątrz był jasno oświetlony i pusty.

Whyte usłyszał kroki doktora i powitał go z wyraźnym zakłopotaniem. — Dziękuję za przybycie — powiedział wyciągając rękę. — Panowie, doktor Roger Tupelo z Harvardu. Doktorze Tupelo — pan Kennedy, nasz główny inżynier, pan Wilson reprezentujący burmistrza, doktor Gannot ze Szpitala Łaski. Whyte nie uznał za stosowne przedstawić motorniczego oraz dwóch policjantów. — Bardzo mi przyjemnie — powiedział Tupelo. — Są jakieś wyniki, mister Whyte? — No cóż... właściwie tak, doktorze Tupelo — powiedział w końcu. — Myślę, że można mówić o jakichś wynikach. — Widziano pociąg? — Tak — powiedział Whyte. — To znaczy praktycznie widziano. W każdym razie wiemy, że jest gdzieś w tunelach. Szesciu obecnych ludzi skinęło potakująco głowami.

Tupelo nie był wcale zdziwiony tym, że pociąg wciąż znajduje się w systemie. Ostatecznie system był zamknięty. — Czy zechciałby pan powiedzieć mi, co się stało? — Zobaczyłem czerwone światło na semaforze — ośmielił wtrącić się do rozmowy maszynista. — Tuż za węzłem Copley... — Tory zostały całkowicie oczyszczone z wszystkich pociągów — wyjaśnił Whyte. — Z wszystkich, z wyjątkiem tego jednego. Szukaliśmy go po całym systemie przez cztery godziny. Kiedy obecny tu Edmunds zobaczył czerwone światło na węźle Copley, oczywiście zatrzymał się. Pomyślałem sobie, że światło jest zepsute i kazalem mu jechać dalej. Ale wtedy uszyliśmy, że przez węzeł przejeżdża jakiś skład. — Widzieliście go? — zapytał Tupelo.

— Nie mogliśmy go zobaczyć, bo światło zainstalowane jest tuż za zakretem. Ale wszyscy go szyszyliśmy. Nie ma wątpliwości, że pociąg przejechał przez węzeł. I musiał to być numer 86, ponieważ nasz skład był poza nim jedynym, jaki znajdował się na torach. — Co było potem? — No cóż, światło zmieniło się na zielone i Edmunds ruszył przed siebie.

— Pojechaliście za tym drugim pociągiem? — Nie. Nie wiedzieliśmy, w którą stronę pojechał. Chyba ruszyliśmy w przeciwną. — Jak dawno temu miało to miejsce? — Po raz pierwszy, o 1.38... — Och — powiedział Tupelo — a więc historia powtórzyła się? — Tak. Ale nie w tym samym miejscu, oczywiście. Natknęliśmy się na czerwony sygnał w pobliżu stacji Południowej o 2.15. A następnie o 3.28... Tupelo przerwał generalnemu dyrektorowi. — Czy o 2.15 widzieliście przejeżdżający pociąg? — Nawet go nie szyszyliśmy. Edmunds próbował go dogonić, ale musiał skrócić na linię Boylston. — Co wydarzyło się o 3.28? — Znów natknęliśmy się na

A. J. DEUTSCH

Metro Möbiusa

czerwone światło. W pobliżu Park Street. I uszyliśmy go tuż przed sobą. — Ale nie zobaczyliście go, prawda? — Nie. Bo za semaforem jest małe wznieślenie. Ale wszyscy szyszyliśmy go. Nie rozumiem tylko jednego, doktorze Tupelo. W jaki sposób pociąg ten może przez prawie pięć dni krążyć po torach, przez nikogo nie widziany? Głos Whyte'a uciuchł, a mężczyzna uniósł rękę w geście ostrzeżenia. Z oddali słychać było zbliżający się pociąg. Niski, metaliczny hałas szybko przekształcił się w ostry, wyraźny stukot kół gdzieś pod spodem.

Platforma pod ich nogami zadrżała. — Teraz go mamy! — zawołał Whyte. — Przejechał obok ludzi na dolnym poziomie! — Obrócił się i pobiegł w stronę schodów, prowadzących na niższy poziom stacji. Podążył za nim wszyscy obecni, wszyscy z wyjątkiem Tupelo. Ten domyślał się, co będzie. I nie pomylił się. Nim Whyte dotarł do schodów, którzy z policjantów krzyknął z dolnego poziomu: — Widzieliście go teraz? Whyte zatrzymał się. — Widzieliście pociąg? — zapytał ponownie policjant z niższego poziomu, a jego pytania towarzyszył stukot butów dwóch pracowników metra biegnących w górę. — Co się stało? — nie wytrzymał Wilson. — Widzieliście go?! — wrzasnął ze złością Kennedy. — Oczywiście, że nie — odpowiedział policjant. — Przejechał przejechał górą. — Nieprawda! — ryknął Whyte. — Dołem! Szesciu mężczyzn popatrzyło groźnie na trzech z niższego poziomu.

Tupelo podszedł do Whyte'a i trącił go w łokieć. — Tego pociągu nie można zobaczyć — powiedział cicho. Whyte spojrział na niego z niedowierzaniem. — Ale przecież pan również go szyszał! Przejechał dołem... — Może przejeżdżał do składu? — zaproponował Tupelo. — Sądę, iż musimy porozmawiać. Whyte skinął głową, po czym, prawie z błaganiem w głosie, zwrócił się do policjantów oraz osób prowadzących obserwację na dolnym poziomie. — Naprawdę go nie widzieliście? — Szyszyliśmy go — odpowiedział policjant. — Przejechał górą i podążył chyba w tę stronę. — Tu — pokazał palcem. — Wróć na dół, Maloney — rozkazał jeden z policjantów towarzyszących Whyte'owi. Maloney podrapał się w głowę, obrócił się i zniknął w dole. Dwóch pozostałych mężczyzn podążyło za nim. Tupelo poprowadził grupę do wagonu stojącego przy peronie stacji. Weszli do środka i bez słowa zajęli miejsca, a potem jak na komendę, wszyscy spojrzeli na matematyka.

— Nie wezwał mnie pan dziś w nocy tylko po to, by mi oznajmić, że odnaleźliście zaginiony pociąg — zaczął Tupelo patrząc na Whyte'a — Czy tego rodzaju historie zdarzają się już wcześniej? — Pojechaliście za tym drugim pociągiem? — Nie. Nie wiedzieliśmy, w którą stronę pojechał. Chyba ruszyliśmy w przeciwną. — Jak dawno temu miało to miejsce? — Po raz pierwszy, o 1.38... — Och — powiedział Tupelo — a więc historia powtórzyła się? — Tak. Ale nie w tym samym miejscu, oczywiście. Natknęliśmy się na czerwony sygnał w pobliżu stacji Południowej o 2.15. A następnie o 3.28... Tupelo przerwał generalnemu dyrektorowi. — Czy o 2.15 widzieliście przejeżdżający pociąg? — Nawet go nie szyszyliśmy. Edmunds próbował go dogonić, ale musiał skrócić na linię Boylston. — Co wydarzyło się o 3.28? — Znów natknęliśmy się na

— W ciągu ostatnich kilku godzin, kilka tuzinów ludzi widziało, jak światła zmieniają się na czerwone, bądź też szyszało pociąg. Są też tacy, którzy mają na swym koncie ostrzeżenia. Wygląda to tak, jakby mogli się on znajdować w kilku miejscach jednocześnie. — Może — powiedział Tupelo. — Otrzymujemy raporty od obserwatorów, którzy go widzieli — dodał inżynier. — To znaczy prawie go widzieli. Czasami w dwóch, trzech oddalonych od siebie miejscach naraz. Z pewnością znajduje się on na torach. Może więc wagony rozczepiły się? — Jest pan całkowicie pewien, że znajduje się on w sieci, mister Kennedy? — zapytał Tupelo. — Oczywiście — odparł inżynier. — Przyrządy zainstalowane w elektrowni rejestrują pobór energii. Pobierał energię przez całą noc, więc o 3.30 przerywałmy jej dopływ. Wyłączyliśmy prąd. — I co się wydarzyło? — Nic — odpowiedział Whyte. — Absolutnie nic. Przerwa w dopływie prądu trwała dwadzieścia minut. W tym czasie, żaden z dwustu pięćdziesięciu znajdujących się w tunelach ludzi, nie widział czerwonego światła i nie szyszał pociągu. Ale nie upłynęły jeszcze dwie minuty od chwili, gdy go wiać szyszyliśmy, a już otrzymaliśmy dwa raporty — jeden z Arlington, a drugi z Egleston. Kiedy Whyte skończył mówić, zapanowało długie milczenie. W tunelu, pod ich nogami, jakiś mężczyzna krzyknął coś do drugiego. Tupelo spojrzał na zegarek. Była 5.20. — Krótko mówiąc — powiedział w końcu generalny dyrektor — zmuszeni jesteśmy przyznać, doktorze Tupelo, że może coś być w pańskiej teorii. Obecni w wagonie mężczyźni pokiwali potakująco głowami. — Dziękuję wam, panowie — powiedział Tupelo. — Lekkarz odchrząknął. — A co się tyczy pasażerów — powiedział. — Czy nie ma pan żadnych przypuszczeń odnośnie? — Nie mam żadnych — przerwał mu Tupelo. — Co powinniśmy zrobić, doktorze Tupelo? — zapytał reprezentant burmistrza. — Nie wiem. A pan co proponuje? — Jeśli dobrze zrozumiałem to, co usłyszałem od pana Whyte'a — kontynuował Wilson — pociąg... no cóż, pociąg przeskoczył do innego wymiaru. Właściwie w ogóle nie ma go w systemie. Zniknął. Zgadza się? — Do pewnego stopnia. — A dziwne to zjawisko jest wynikiem pewnych matematycznych właściwości inkle ujawnił się z chwila oddania do użytku węzła Boylston. Czy tak? — Zgadza się. — I nie można zrobić nic, by ściągnąć pociąg do... hm... tego wymiaru? — Nie jest mi znany żaden środek, który mógłby do tego prowadzić. — Mister Wilson doszedł do

wniosku, iż nadszedł czas, by przejść inicjatywę. — W takim razie, panowie — oznajmił — plan działań jest jasny. Przed wszystkim musimy wyłączyć z ruchu nowe węzły, by ta fantastyczna historia nigdy więcej się nie powtórzyła. Następnie, skoro pociąg naprawdę zniknął, mimo wszystkich tych historii z czerwonymi światłami i halasami, powinniśmy przywrócić normalne funkcjonowanie systemu. W każdym razie kolizja nam nie grozi, a to przecież najbardziej pana martwiło, mister Whyte. A co się tyczy zaginionego pociągu i ludzi w nim się znajdujących... — Wykonał gest jakby odsyłał ich w nieskończoność. — Zgadza się pan ze mną, doktorze Tupelo? — zapytał matematyka. Tupelo wolno potrząsnął głową. — Nie całkowicie, mister Wilson — odpowiedział. — Niech pan weźmie pod uwagę, iż niezupełnie rozumiem to, co się wydarzyło. To pech, iż nie da się znaleźć kogoś, kto mógłby to wszystko objaśnić. Jedyńnym człowiekiem, jaki był w stanie to zrobić, jest profesor Turnbull, ale on znajdował się w pociągu. W każdym razie, jeśli chcecie poddać moje wnioski weryfikacji przez kompetentnych topologów, mogę panów skontaktować z kilkoma. A teraz o szansach na odzyskanie zaginionego pociągu. Uważam, iż takie szanse są. Istnieje, jak mi się zdaje, małe prawdopodobieństwo, że pociąg powróci z nie-przestrzennej części sieci, w której aktualnie się znajduje, do części przestrzennej. Ponieważ jednak ta nie-przestrzenna część jest dla nas absolutnie niedostępna, nie możemy niestety nic zrobić, aby spowodować ten prześkok, a nawet przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Ale możliwość przeskoku zniknie, kiedy linia Boylston zostanie wyłączona z ruchu. Jest to bowiem ta właśnie część torów, która nadaje sieci jej szczególne właściwości. Jeśli te szczególne właściwości zostaną usunięte, pociąg nigdy nie powróci. Czy to jasne? Oczywiście nie było to jasne, ale mężczyźni pokiwali potakująco głowami. Tupelo kontynuował: — Co zaś się tyczy pracy metra w czasie, gdy zaginiony pociąg znajduje się w nie-przestrzennej części sieci, to mogę przedstawić panom jedynie fakty, tak, jak ja je widzę. Powzięcie trudnej decyzji należy już do panów. Jak już powiedziałem, przeskoku do przestrzennej części sieci nie da się przewidzieć. Nie da się obliczyć ani kiedy to nastąpi, ani gdzie. Więcej, z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent można przewidzieć, że jeśli pociąg w ogóle się pojawi, będzie jechał po niewłaściwym torze. A wtedy, oczywiście, dojdzie do kolizji.

Inżynier zapytał: — A czy nie moglibyśmy zastawić linii Boylston w spokoju, tyle że nie wpuszczając na nią pociągów? W przypadku, kiedy pociąg pojawił się ponownie, nie zderzy się z innym. — Ten środek ostrożności nic nie da, mister Kennedy — odpowiedział Tupelo. — Widzi pan, pociąg może pojawić się w każdym miejscu systemu. To prawda, że system zawiązuje swą topologiczną właściwość nowej linii. Ale teraz cała sieć dysponuje nieskończoną łącznością. Innymi słowy, omawiana topologiczna właściwość jest właściwością powstałą za sprawą węzła, ale odnoszącą się do całego systemu. Niech pan pamięta, że pociąg dokonał przeskoku w punkcie znajdującym się gdzieś pomiędzy Park i Kendall, w odległości więcej niż trzech mil od węzła. Jest jeszcze jedno pytanie, na które będą chcieli panowie uzyskać odpowiedź. Czy jeśli zdecydujecie się panowie eksploatować system — z działającą, do czasu ponownego pojawienia się pociągu, węzłem Boylston — to czy to, co miało miejsce, może się wydarzyć ponownie, z innym pociągiem? Nie jestem pewny odpowiedzi, ale sądzę, iż brzmi ona: nie. Wierzę, iż działa tu zasada wyjątkowości i tylko jeden pociąg w danym czasie może zajmować nie-przestrzenną sieć.

Przykład:
MICHAŁ SIWIEC
cdn.

— W takim razie, panowie — oznajmił — plan działań jest jasny. Przed wszystkim musimy wyłączyć z ruchu nowe węzły, by ta fantastyczna historia nigdy więcej się nie powtórzyła. Następnie, skoro pociąg naprawdę zniknął, mimo wszystkich tych historii z czerwonymi światłami i halasami, powinniśmy przywrócić normalne funkcjonowanie systemu. W każdym razie kolizja nam nie grozi, a to przecież najbardziej pana martwiło, mister Whyte. A co się tyczy zaginionego pociągu i ludzi w nim się znajdujących... — Wykonał gest jakby odsyłał ich w nieskończoność. — Zgadza się pan ze mną, doktorze Tupelo? — zapytał matematyka. Tupelo wolno potrząsnął głową. — Nie całkowicie, mister Wilson — odpowiedział. — Niech pan weźmie pod uwagę, iż niezupełnie rozumiem to, co się wydarzyło. To pech, iż nie da się znaleźć kogoś, kto mógłby to wszystko objaśnić. Jedyńnym człowiekiem, jaki był w stanie to zrobić, jest profesor Turnbull, ale on znajdował się w pociągu. W każdym razie, jeśli chcecie poddać moje wnioski weryfikacji przez kompetentnych topologów, mogę panów skontaktować z kilkoma. A teraz o szansach na odzyskanie zaginionego pociągu. Uważam, iż takie szanse są. Istnieje, jak mi się zdaje, małe prawdopodobieństwo, że pociąg powróci z nie-przestrzennej części sieci, w której aktualnie się znajduje, do części przestrzennej. Ponieważ jednak ta nie-przestrzenna część jest dla nas absolutnie niedostępna, nie możemy niestety nic zrobić, aby spowodować ten prześkok, a nawet przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Ale możliwość przeskoku zniknie, kiedy linia Boylston zostanie wyłączona z ruchu. Jest to bowiem ta właśnie część torów, która nadaje sieci jej szczególne właściwości. Jeśli te szczególne właściwości zostaną usunięte, pociąg nigdy nie powróci. Czy to jasne? Oczywiście nie było to jasne, ale mężczyźni pokiwali potakująco głowami. Tupelo kontynuował: — Co zaś się tyczy pracy metra w czasie, gdy zaginiony pociąg znajduje się w nie-przestrzennej części sieci, to mogę przedstawić panom jedynie fakty, tak, jak ja je widzę. Powzięcie trudnej decyzji należy już do panów. Jak już powiedziałem, przeskoku do przestrzennej części sieci nie da się przewidzieć. Nie da się obliczyć ani kiedy to nastąpi, ani gdzie. Więcej, z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent można przewidzieć, że jeśli pociąg w ogóle się pojawi, będzie jechał po niewłaściwym torze. A wtedy, oczywiście, dojdzie do kolizji.

Inżynier zapytał: — A czy nie moglibyśmy zastawić linii Boylston w spokoju, tyle że nie wpuszczając na nią pociągów? W przypadku, kiedy pociąg pojawił się ponownie, nie zderzy się z innym. — Ten środek ostrożności nic nie da, mister Kennedy — odpowiedział Tupelo. — Widzi pan, pociąg może pojawić się w każdym miejscu systemu. To prawda, że system zawiązuje swą topologiczną właściwość nowej linii. Ale teraz cała sieć dysponuje nieskończoną łącznością. Innymi słowy, omawiana topologiczna właściwość jest właściwością powstałą za sprawą węzła, ale odnoszącą się do całego systemu. Niech pan pamięta, że pociąg dokonał przeskoku w punkcie znajdującym się gdzieś pomiędzy Park i Kendall, w odległości więcej niż trzech mil od węzła. Jest jeszcze jedno pytanie, na które będą chcieli panowie uzyskać odpowiedź. Czy jeśli zdecydujecie się panowie eksploatować system — z działającą, do czasu ponownego pojawienia się pociągu, węzłem Boylston — to czy to, co miało miejsce, może się wydarzyć ponownie, z innym pociągiem? Nie jestem pewny odpowiedzi, ale sądzę, iż brzmi ona: nie. Wierzę, iż działa tu zasada wyjątkowości i tylko jeden pociąg w danym czasie może zajmować nie-przestrzenną sieć.

Przykład:
MICHAŁ SIWIEC
cdn.

— W takim razie, panowie — oznajmił — plan działań jest jasny. Przed wszystkim musimy wyłączyć z ruchu nowe węzły, by ta fantastyczna historia nigdy więcej się nie powtórzyła. Następnie, skoro pociąg naprawdę zniknął, mimo wszystkich tych historii z czerwonymi światłami i halasami, powinniśmy przywrócić normalne funkcjonowanie systemu. W każdym razie kolizja nam nie grozi, a to przecież najbardziej pana martwiło, mister Whyte. A co się tyczy zaginionego pociągu i ludzi w nim się znajdujących... — Wykonał gest jakby odsyłał ich w nieskończoność. — Zgadza się pan ze mną, doktorze Tupelo? — zapytał matematyka. Tupelo wolno potrząsnął głową. — Nie całkowicie, mister Wilson — odpowiedział. — Niech pan weźmie pod uwagę, iż niezupełnie rozumiem to, co się wydarzyło. To pech, iż nie da się znaleźć kogoś, kto mógłby to wszystko objaśnić. Jedyńnym człowiekiem, jaki był w stanie to zrobić, jest profesor Turnbull, ale on znajdował się w pociągu. W każdym razie, jeśli chcecie poddać moje wnioski weryfikacji przez kompetentnych topologów, mogę panów skontaktować z kilkoma. A teraz o szansach na odzyskanie zaginionego pociągu. Uważam, iż takie szanse są. Istnieje, jak mi się zdaje, małe prawdopodobieństwo, że pociąg powróci z nie-przestrzennej części sieci, w której aktualnie się znajduje, do części przestrzennej. Ponieważ jednak ta nie-przestrzenna część jest dla nas absolutnie niedostępna, nie możemy niestety nic zrobić, aby spowodować ten prześkok, a nawet przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Ale możliwość przeskoku zniknie, kiedy linia Boylston zostanie wyłączona z ruchu. Jest to bowiem ta właśnie część torów, która nadaje sieci jej szczególne właściwości. Jeśli te szczególne właściwości zostaną usunięte, pociąg nigdy nie powróci. Czy to jasne? Oczywiście nie było to jasne, ale mężczyźni pokiwali potakująco głowami. Tupelo kontynuował: — Co zaś się tyczy pracy metra w czasie, gdy zaginiony pociąg znajduje się w nie-przestrzennej części sieci, to mogę przedstawić panom jedynie fakty, tak, jak ja je widzę. Powzięcie trudnej decyzji należy już do panów. Jak już powiedziałem, przeskoku do przestrzennej części sieci nie da się przewidzieć. Nie da się obliczyć ani kiedy to nastąpi, ani gdzie. Więcej, z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent można przewidzieć, że jeśli pociąg w ogóle się pojawi, będzie jechał po niewłaściwym torze. A wtedy, oczywiście, dojdzie do kolizji.

— W takim razie, panowie — oznajmił — plan działań jest jasny. Przed wszystkim musimy wyłączyć z ruchu nowe węzły, by ta fantastyczna historia nigdy więcej się nie powtórzyła. Następnie, skoro pociąg naprawdę zniknął, mimo wszystkich tych historii z czerwonymi światłami i halasami, powinniśmy przywrócić normalne funkcjonowanie systemu. W każdym razie kolizja nam nie grozi, a to przecież najbardziej pana martwiło, mister Whyte. A co się tyczy zaginionego pociągu i ludzi w nim się znajdujących... — Wykonał gest jakby odsyłał ich w nieskończoność. — Zgadza się pan ze mną, doktorze Tupelo? — zapytał matematyka. Tupelo wolno potrząsnął głową. — Nie całkowicie, mister Wilson — odpowiedział. — Niech pan weźmie pod uwagę, iż niezupełnie rozumiem to, co się wydarzyło. To pech, iż nie da się znaleźć kogoś, kto mógłby to wszystko objaśnić. Jedyńnym człowiekiem, jaki był w stanie to zrobić, jest profesor Turnbull, ale on znajdował się w pociągu. W każdym razie, jeśli chcecie poddać moje wnioski weryfikacji przez kompetentnych topologów, mogę panów skontaktować z kilkoma. A teraz o szansach na odzyskanie zaginionego pociągu. Uważam, iż takie szanse są. Istnieje, jak mi się zdaje, małe prawdopodobieństwo, że pociąg powróci z nie-przestrzennej części sieci, w której aktualnie się znajduje, do części przestrzennej. Ponieważ jednak ta nie-przestrzenna część jest dla nas absolutnie niedostępna, nie możemy niestety nic zrobić, aby spowodować ten prześkok, a nawet przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Ale możliwość przeskoku zniknie, kiedy linia Boylston zostanie wyłączona z ruchu. Jest to bowiem ta właśnie część torów, która nadaje sieci jej szczególne właściwości. Jeśli te szczególne właściwości zostaną usunięte, pociąg nigdy nie powróci. Czy to jasne? Oczywiście nie było to jasne, ale mężczyźni pokiwali potakująco głowami. Tupelo kontynuował: — Co zaś się tyczy pracy metra w czasie, gdy zaginiony pociąg znajduje się w nie-przestrzennej części sieci, to mogę przedstawić panom jedynie fakty, tak, jak ja je widzę. Powzięcie trudnej decyzji należy już do panów. Jak już powiedziałem, przeskoku do przestrzennej części sieci nie da się przewidzieć. Nie da się obliczyć ani kiedy to nastąpi, ani gdzie. Więcej, z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent można przewidzieć, że jeśli pociąg w ogóle się pojawi, będzie jechał po niewłaściwym torze. A wtedy, oczywiście, dojdzie do kolizji.

Inżynier zapytał: — A czy nie moglibyśmy zastawić linii Boylston w spokoju, tyle że nie wpuszczając na nią pociągów? W przypadku, kiedy pociąg pojawił się ponownie, nie zderzy się z innym. — Ten środek ostrożności nic nie da, mister Kennedy — odpowiedział Tupelo. — Widzi pan, pociąg może pojawić się w każdym miejscu systemu. To prawda, że system zawiązuje swą topologiczną właściwość nowej linii. Ale teraz cała sieć dysponuje nieskończoną łącznością. Innymi słowy, omawiana topologiczna właściwość jest właściwością powstałą za sprawą węzła, ale odnoszącą się do całego systemu. Niech pan pamięta, że pociąg dokonał przeskoku w punkcie znajdującym się gdzieś pomiędzy Park i Kendall, w odległości więcej niż trzech mil od węzła. Jest jeszcze jedno pytanie, na które będą chcieli panowie uzyskać odpowiedź. Czy jeśli zdecydujecie się panowie eksploatować system — z działającą, do czasu ponownego pojawienia się pociągu, węzłem Boylston — to czy to, co miało miejsce, może się wydarzyć ponownie, z innym pociągiem? Nie jestem pewny odpowiedzi, ale sądzę, iż brzmi ona: nie. Wierzę, iż działa tu zasada wyjątkowości i tylko jeden pociąg w danym czasie może zajmować nie-przestrzenną sieć.

Przykład:
MICHAŁ SIWIEC
cdn.

— W takim razie, panowie — oznajmił — plan działań jest jasny. Przed wszystkim musimy wyłączyć z ruchu nowe węzły, by ta fantastyczna historia nigdy więcej się nie powtórzyła. Następnie, skoro pociąg naprawdę zniknął, mimo wszystkich tych historii z czerwonymi światłami i halasami, powinniśmy przywrócić normalne funkcjonowanie systemu. W każdym razie kolizja nam nie grozi, a to przecież najbardziej pana martwiło, mister Whyte. A co się tyczy zaginionego pociągu i ludzi w nim się znajdujących... — Wykonał gest jakby odsyłał ich w nieskończoność. — Zgadza się pan ze mną, doktorze Tupelo? — zapytał matematyka. Tupelo wolno potrząsnął głową. — Nie całkowicie, mister Wilson — odpowiedział. — Niech pan weźmie pod uwagę, iż niezupełnie rozumiem to, co się wydarzyło. To pech, iż nie da się znaleźć kogoś, kto mógłby to wszystko objaśnić. Jedyńnym człowiekiem, jaki był w stanie to zrobić, jest profesor Turnbull, ale on znajdował się w pociągu. W każdym razie, jeśli chcecie poddać moje wnioski weryfikacji przez kompetentnych topologów, mogę panów skontaktować z kilkoma. A teraz o szansach na odzyskanie zaginionego pociągu. Uważam, iż takie szanse są. Istnieje, jak mi się zdaje, małe prawdopodobieństwo, że pociąg powróci z nie-przestrzennej części sieci, w której aktualnie się znajduje, do części przestrzennej. Ponieważ jednak ta nie-przestrzenna część jest dla nas absolutnie niedostępna, nie możemy niestety nic zrobić, aby spowodować ten prześkok, a nawet przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Ale możliwość przeskoku zniknie, kiedy linia Boylston zostanie wyłączona z ruchu. Jest to bowiem ta właśnie część torów, która nadaje sieci jej szczególne właściwości. Jeśli te szczególne właściwości zostaną usunięte, pociąg nigdy nie powróci. Czy to jasne? Oczywiście nie było to jasne, ale mężczyźni pokiwali potakująco głowami. Tupelo kontynuował: — Co zaś się tyczy pracy metra w czasie, gdy zaginiony pociąg znajduje się w nie-przestrzennej części sieci, to mogę przedstawić panom jedynie fakty, tak, jak ja je widzę. Powzięcie trudnej decyzji należy już do panów. Jak już powiedziałem, przeskoku do przestrzennej części sieci nie da się przewidzieć. Nie da się obliczyć ani kiedy to nastąpi, ani gdzie. Więcej, z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent można przewidzieć, że jeśli pociąg w ogóle się pojawi, będzie jechał po niewłaściwym torze. A wtedy, oczywiście, dojdzie do kolizji.

Przykład:
MICHAŁ SIWIEC
cdn.

— W takim razie, panowie — oznajmił — plan działań jest jasny. Przed wszystkim musimy wyłączyć z ruchu nowe węzły, by ta fantastyczna historia nigdy więcej się nie powtórzyła. Następnie, skoro pociąg naprawdę zniknął, mimo wszystkich tych historii z czerwonymi światłami i halasami, powinniśmy przywrócić normalne funkcjonowanie systemu. W każdym razie kolizja nam nie grozi, a to przecież najbardziej pana martwiło, mister Whyte. A co się tyczy zaginionego pociągu i ludzi w nim się znajdujących... — Wykonał gest jakby odsyłał ich w nieskończoność. — Zgadza się pan ze mną, doktorze Tupelo? — zapytał matematyka. Tupelo wolno potrząsnął głową. — Nie całkowicie, mister Wilson — odpowiedział. — Niech pan weźmie pod uwagę, iż niezupełnie rozumiem to, co się wydarzyło. To pech, iż nie da się znaleźć kogoś, kto mógłby to wszystko objaśnić. Jedyńnym człowiekiem, jaki był w stanie to zrobić, jest profesor Turnbull, ale on znajdował się w pociągu. W każdym razie, jeśli chcecie poddać moje wnioski weryfikacji przez kompetentnych topologów, mogę panów skontaktować z kilkoma. A teraz o szansach na odzyskanie zaginionego pociągu. Uważam, iż takie szanse są. Istnieje, jak mi się zdaje, małe prawdopodobieństwo, że pociąg powróci z nie-przestrzennej części sieci, w której aktualnie się znajduje, do części przestrzennej. Ponieważ jednak ta nie-przestrzenna część jest dla nas absolutnie niedostępna, nie możemy niestety nic zrobić, aby spowodować ten prześkok, a nawet przewidzieć, kiedy i w jaki sposób to nastąpi. Ale możliwość przeskoku zniknie, kiedy linia Boylston zostanie wyłączona z ruchu. Jest to bowiem ta właśnie część torów, która nadaje sieci jej szczególne właściwości. Jeśli te szczególne właściwości zostaną usunięte, pociąg nigdy nie powróci. Czy to jasne? Oczywiście nie było to jasne, ale mężczyźni pokiwali potakująco głowami. Tupelo kontynuował: — Co zaś się tyczy pracy metra w czasie, gdy zaginiony pociąg znajduje się w nie-przestrzennej części sieci, to mogę przedstawić panom jedynie fakty, tak, jak ja je widzę. Powzięcie trudnej decyzji należy już do panów. Jak już powiedziałem, przeskoku do przestrzennej części sieci nie da się przewidzieć. Nie da się obliczyć ani kiedy to nastąpi, ani gdzie. Więcej, z prawdopodobieństwem pięćdziesięciu procent można przewidzieć, że jeśli pociąg w ogóle się pojawi, będzie jechał po niewłaściwym torze. A wtedy, oczywiście, dojdzie do kolizji.

Przykład:
MICHAŁ SIWIEC
cdn.

Nagrody dla tych, którzy podadzą swój adres

CO CHCESZ CZYTAĆ NA TEJ KOLUMNIE? ANKIETA DLA MIŁOŚNIKÓW SF

Chcąc poznać gusta naszych Czytelników, postanowiliśmy przeprowadzić ankietę. Na podstawie jej wyników łatwiej będzie nam dobierać materiały do kolumny fantastyki tak, aby zadowolili jak największą liczbę zwolenników tego gatunku. Pozwoli to również zorientować się, jak Czytelnicy oceniają dotychczasowy profil kolumny, gdyż chcemy, aby i odbiorcy mieli wpływ na to, co pojawia się pod szyldem „W kręgu fantastyki”. Ankieta przygotowana współredagującą kolumnę łódzki Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, również fundator nagród. Bawieni ci, którzy zechcą, mogą wziąć udział w losowaniu nowości wydawniczych sf (Iskry, Czytelnik) — wystarczy tylko podać swe nazwisko i adres (patrz punkt XIX). Można też nadsyłać odpowiedzi anonimowo. Wtedy nie bierzemy się udziału w losowaniu nagród.

Ankiety należy nadsyłać na adres redakcji „Odgłosów”: 90-433 Łódź, al. Mickiewicza 11, z dopiskiem: „Ankieta SF”, do dnia 15.X.1983 r.

- I. Pleć K/M
- II. Wiek
- III. Wykształcenie
- IV. Wykonywany zawód,
- V. Mieszkam w:
 - A — mieście powyżej 500 000 mieszkańców
 - B — mieście od 50 000 do 500 000 mieszkańców
 - C — mieście poniżej 50 000 mieszkańców
 - D — na wsi
- VI. Poza sf interesuję się również
- VII. SF interesuję się od:
 - A — czasów szkolnych
 - B — czasu studiów
 - C — lat
 - D — nie interesuję się
- VIII. Należę do organizacji lub klubów miłośników fantastyki (jakich?)
- IX. Kolumnę fantastyki czytuje:
 - A — regularnie
 - B — od czasu do czasu
 - C — przeglądam
- X. Spośród innych rubryk „Odgłosów” oraz zamieścił w nich tekstów, „W kręgu fantastyki” moim zdaniem:
 - A — jest najmniej ciekawa
 - B — niczym się nie wyróżnia
 - C — wyróżnia się
 - D — jest najmniejsza
- XI. Aktualna objętość rubryki (i kolumny) jest:
 - A — wystarczająca
 - B — niewystarczająca
 - C — zbyt duża
- XII. Jeśli jest niewystarczająca, proponuję poszerzenie o
- XIII. Jeśli jest zbyt duża, proponuję ograniczenie jej do:
- XIV. Najbardziej odpowiadają mi:
 - A — opowiadania polskie
 - B — tłumaczenia
 - C — recenzje literackie
 - D — recenzje filmowe
 - E — szkice z zakresu teorii literatury sf
 - F — szkice z zakresu teorii filmu sf
 - G — artykuły popularnonaukowe (filozofia, astronomia, itp.)
 - H — artykuły paranaukowe (paleoastronautyka, futurologia, UFO, itp.)
- XV. Preferuję:
 - A — opowiadania kończące się w tym samym numerze
 - B — dłuższe formy w odcinkach
- XVI. Proponuję poszerzenie kolumny o następującą tematykę (następujące formy)
- XVII. Z dotychczas publikowanych tekstów najbardziej podobalo mi się (wywarło na mnie największe wrażenie):
 - A — opowiadanie (jakie?)
 - B — szkic
 - C — inne
- XVIII. Inne uwagi nie ujęte w wyż. wym. punktach:
- XIX. Jeśli chcesz wziąć udział w losowaniu nagród, podaj w tym punkcie swoje imię, nazwisko i dokładny adres:

Kronika

● MASKON, bydgoski konwent SF, odbędzie się w tym roku do raz drugi. Na razie organizatorzy, tzn. Oddział Bydgoski PSMF, nie zdradzili szczegółów programu, wiadomo tylko, że spotkanie fanów odbędzie się w połowie października.

● Rosnąca wciąż popularność literatury fantastyczno-naukowej powoduje, że co kilka miesięcy słyszymy o coraz to nowych konkursach dla młodych twórców. Jeszcze redakcja „Fantastyki” nie zgadzała rozpisować wszystkich przesyłek na swój „nieustający” konkurs. Jeszcze Rada Główna Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki nie rozdzielała nagród we własnych zawodach dla orszyszków Lemów, a już z Poznania donoszą o kolejnej możliwości wykazania literackich talentów. Tamtejszy oddział PSMF, redakcja miesięcznika „NURT” oraz Wydawnictwo Poznańskie ogłasza bowiem ogólnopolski konkurs literacki na opowiadanie zbiór opowiadań, powieść lub utwor sceniczny o tematyce fantastycznej i fantastyczno-naukowej. W kon-

1 Zdarzenia i zwierzenia

2 Lewym okiem

Polskie piekło

Reklamować kulturę!

Stara i znamienna anegdota opowiada o tym, że jeśli gdzieś w piekle istnieje „polski sektor”, to niepotrzebne są tam dyżurne diabły. Kiedy bowiem jakiś Polak pragnie wyskoczyć z kotła z wrzącą smolą, sami współrodacy wciągną go z powrotem do środka.

Ta bezinteresowna zawiść, a być bracie-rodaku przypadkiem nie wyskoczył — kładzie się cieniem na naszą obyczajowość.

Kiedy w przypadkowej rozmowie z pewnym muzykiem wspominałem o magazynie młodzieżowym „Rock Estrada”, mój rozmówca powiedział: „Przeszło mnie to interesować, gdy dowiedziałem się, że pismo to redaguje Andrzej Józwiak...”

Młody człowiek pisma nie widział, o dziennikarstwie pojęcie ma raczej blade, sam, nawet gdyby się us...markał, to by się nie zdobył na realizację żadnego wydawniczego przedsięwzięcia... Ale już jest przeciwnie. Po prostu nie lubi faceta, który tego dokonał i to jest wystarczający powód do negatywnej oceny „w ciemno”.

Stare, wszystkim dobrze znane, polskie piekło. Nie oceniam magazynu muzycznego dla nastolatków, bo się na tym nie znam. Umieję jednak wyciągać wnioski. Otóż zanim jeszcze „Rock Estrada” znalazła się w kioskach „Ruchu”, już znalazła się w drukarni ktoś bystrzejszy od owego muzyka. Ten ktoś — jak dotąd niezidentyfikowany — wyczuł kopijunkturę i po prostu... ukradł kilkaset egzemplarzy „Rock Estrady”. W efekcie na bazarze w hali targowej na Placu Niepodległości egzemplarze „Rock Estrady” sprzedawano po 400—500 zł, choć cena nominalna wynosi 180 zł.

Świadczy to — jak sądzę — że jednak wydając to pismo Ośrodek Sztuki Estradowej w Lublinie trafił w samo centrum młodzieżowych zainteresowań pop muzyki.

A na marginesie jeszcze jedna sprawa. Wydawca pisma znajduje się w Lublinie, redakcja i drukarnia w Łodzi. I proszę sobie wyobrazić, że w Łodzi funkcjonują aż dwie instytucje estradowe, a mimo to z inicjatywą wydania magazynu poświęconego rockowi i pop muzyce trzeba się było udać aż do Lublina...

Widocznie nie tylko mój rozmówca muzyk preferuje tak „piekielny” sposób myślenia. „Iksa nie lubię, a więc wszystko co robi”, lub ewentualnie może zrobić Iks, jest niedobre...”

W polskim piekle przekreśla się często ludzi z przyczyn subiektywnych, irracjonalnych, ze zwykłej głupoty lub zawiści, z żalu, że „czemu ja tego nie zrobiłem...”

Przykro to konstatować, ale przecież są to zjawiska obecne także powszechnie w naszej obyczajowości.

JERZY WILMAŃSKI

Jednym z podstawowych praw klasycznej ekonomii było prawo, że popyt zawsze wyprzedza podaż. że „potrzeba jest matką wynalazków”. Popyt, zapotrzebowanie, odczuwany brak — to były motory napędowe wszelkiego działania.

Klasyczna ekonomia przestała się powszechnie sprawdzać w dzisiejszym świecie, a nawet już od ładnych paru dziesiątków lat. Popyt wyprzedza podaż — i nadal tak się dzieje — tylko w społeczeństwach biednych, nie dokarmionych — w każdym sensie tego słowa. W warunkach dobrobytu omawiane prawo przestaje działać, a w odniesieniu do dóbr kulturalnych nie działa chyba nigdy. Podciąganie kultury pod prawidłowości ekonomiczne nie ma uzasadnienia.

Rzeczy naprawdę koniecznych do życia jest bardzo niewiele. Wiem to dobrze, bo wiem, do ilu potrzeb redukowaty się moje pretensje do życia w niemieckich obozach. Kina między nimi nie było, opery też nie. Czy ludzkość czekała na telewizję? Czy była to sprawa, bez której dalej „nie szło wytrzymać”, sprawa konieczna?

Wiele i coraz więcej wymyśla się rzeczy, które następnie trzeba wnosić ludzom, obudzić w nich zainteresowanie nowinką, zamienić chytymi sposobami to zainteresowanie w potrzebę, odczuwaną wreszcie prawie, jak konieczność bytowania. Najpierw wymyśla się „jo-jo”, gumę do żucia i szesziaran Rubika, elektryczne szczoteczki do zębów, kosmetyki na każdą godzinę i na każdy palec oddzielnie, a potem na siłę gwałci ludzkie możliwości, żeby na nie innego nie czekały tylko właśnie na „jo-jo” i na gumę do żucia. Elementarne potrzeby zaspokojono w znacznej części świata już dawno. Następnie trzeba stwarzać, kulturować, chuchać, dmuchać, podewać — i to się nazywa cywilizacja, a może dumnie — kultura.

Nigdy przecież tak nie było i nie będzie, żeby ludziska podchodził do kiosków „Ruchu” i pytali: a jakiegoś lokalnego pisma społeczno-literackiego nie ma? Kiedy wreszcie zacznie być? Potrzebę takiego pisma odczuwają najpierw, a może i wyłącznie, ludzie piszący, a nie potencjalni czytelnicy, których dopiero trzeba będzie zdobywać i to niełatwo. Czy jednak te lokalne pisma tworzymy tylko po to, żeby małą grupką piszących w każdym mieście wojewódzkim miała się gdzie wypisać, popisać i pokłócić? Czy raczej po to, żeby wyprzedzając popyt budzić potrzeby, wywoływać je, powoływać do istnienia, nie czekając na zobiektywizowaną, nie wiadomo skąd poczętą „konieczność”?

Nie czekając na nagabywania i ponaglenia, musimy najpierw oferować jak najwięcej i jak najróżniejszych dóbr i świadczeń kulturalnych, a potem bardzo mądrze i bardzo intensywnie je reklamować. Wecale

się tego nie wstydząc! „Budzenie potrzeb” — to właśnie nie innego, tylko reklama par excellence! W branży, o której tu mówimy, jest ona — to zresztą niewesoły objaw — znacznie potrzebniejsza, niż na przykład w odniesieniu do bluzek z anilany, których i bez reklamy kupić nigdzie nie można. Specyfika zaś kultury jest to, że „reklamę” dla niej stanowią zarówno panegiryczne pochwały, jak i bardzo sceptyczna, a nawet wręcz negatywna krytyka. Piszmy więc o książkach, obrazach, koncertach, zwracając uwagę na dobre i złe szutki, widowiska, piosenki, wciągajmy kogo się da w rozmowę o średnich i gorszych niż średnie filmach. Żeby stały się ludzom potrzebne, żeby ich życiu przydać nowych, cennych wartości.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Gdyby Buchwald był Polakiem

Plum pudding

Mój próbny, pilotażowy niejako tekst z serii „Gdyby Buchwald był Polakiem”, wypadł niestety raczej źle. Odebrałem jeden tylko telefon z uwagą, że należałoby mi w gruncie rzeczy obić mordę, gdy prawdziwy Art Buchwald — czytałem gdzieś kiedyś o tym — po każdym felietonie otrzymuje kilkadziesiąt do kilku tysięcy podobnych telefonów i listów. I dopiero na tej podstawie wie, na ile udało mu się utracić w gustu wymagającej publiczności amerykańskiej.

Trzeci dzień po ukazaniu się „Odgłosów” odwiedził mnie wszelako jegomość w garniturze w prążki i z czarnym parasolem pod pachą. Na oko Anglik albo przynajmniej anglofil.

Poprosiłem go, żeby usiadł. Uczynił to, przyjrzał mi się z uwagą i powiedział: — Chciałbym zaznaczyć z naciskiem, iż w żadnym stopniu nie jestem związany z rządem Jej Królewskiej Mości.

— Bardzo mi przyjemnie — odparłem niezbyt z sensem, sądziłem jednak, że w tym momencie koniecznie należy coś powiedzieć.

— Pozostaje wszelako w żądrych stosunkach z osobami, które są związane z rządem, ich zaś opinie w wysokim stopniu odzwierciedlają poglądy samego rządu pani Thatcher. Pogroźki pańskiego przyjaciela zostały w tych kregach przyjęte nieprzychylnie.

Milczałem, sądziłem bowiem, że jest to moment, w którym bezwzględnie należy milczeć.

— Przede wszystkim nasi eksperci twierdzą, że wszystko, co powiedział mister Kowalski, jest bluffem. Sposobem amatorskim nie da się zmontować rakiety, niechby nawet średniego zasięgu, nie mówiąc już o głowicy bojowej, którą pański przyjaciel rzekomo dysponuje.

— To i chwala Bogu — odparłem — choć o ile sobie przypominam ze szkolnych czasów, Kowalski miał cholerną smykałkę do fizyki i do chemii.

Facet zajął do nołatek, ale najwidoczniej nic w nich nie znalazł, więc tylko wzruszył ramionami.

— Być może, sprawdzimy to we właściwym czasie. Ponieważ jednak opublikował pan wiadomość o zainstalowaniu przez mister Kowalskiego rakiety na działce, również pan powinien wpłynąć na swojego przyjaciela, żeby te wiadomości publicznie zdemontował.

— I to wszystko?

— Następnie mister Kowalski powinien zdemontować swoją rakieta.

— Jakże to tak? Twierdzi pan, że Kowalski nie ma żadnej rakiety, domaga się opublikowania demencji, a potem jeszcze demontażu?!

— „Są rzeczy między niebem a ziemią, o których się nie śniło filozofom”. Szekspir, ale to już przestarzałe. Dziś należałoby raczej powiedzieć: Są rzeczy w stratosferze, na ziemi i pod ziemią... no i tak dalej.

— Więc sądzi pan...

— Przedstawiam jedynie opinie osób, których poglądy zbierze się z opiniami rządu. Oczywiście amerykańskie satelity zwiadowcze odkryłyby próbę zainstalowania jakiegokolwiek rakiety na jakiegokolwiek działce między Bugiem a Odrą. Amerykanie to jednak bure swinie i mogłoby zwiękać z przekazaniem nam tej informacji. Uwaga o Amerykanach stanowi moją własną opinię.

Miałem już mętklik w głowie. Facet reprezentował nie wiadomo kogo, wyrażał opinie to własne, to cudze, a do tego niekiedy sprzeczne. Mój rozmówca wycał do natychmiast i przystąpił do ostatniej fazy rozmówienia.

— Proszę zapewnić swojego przyjaciela — powiedział łagodnie — że rząd Jej Królewskiej Mości nie zamierzał i nadal nie zamierza przeprowadzać jakiegokolwiek działań zaczepnych przeciwko własności ziemskiej mister Kowalskiego. Przeciwnie: jesteśmy gotowi bronić wolności mister Kowalskiego na jego działce wszystkimi dostępnymi nam środkami. Po zdemontowaniu swojej rakiety mister Kowalski może więc czuć się zupełnie bezpiecznie, byłoby jednak dobrze, aby podobnie uspokojona została brytyjska opinia publiczna. Ośmielim się więc nalegać, żeby mister Kowalski zgodził się na dokonanie dyskretnego inspekcji. Pański przyjaciel lekkoomyślnie zniszczył swoje różie. Doskonale, otrzymał od nas kilka pięknych krzewów, a przy okazji delegacja Królewskiego Towarzystwa Miłośników Róż obejrzy jego działki. Te z dziurą w ziemi i tę z rakieta.

— Rakiety Kowalski nie chciał pokazać nawet mnie.

Facet zeszytywniał. — Czy mam zrozumieć, że pan odmawia? Prezydent Reagan wynosił sobie kiedyś polskie powiedzonko o kij i marchewce, gdy jednak przyszło co do czego, ten prostak — mówię to w zaufaniu — zabrał się od razu do kija. Amerykańska dyplomacja w ogóle nie ma żadnych przywrojtých tradycji, przecież ten kraj nigdy nie rzucił i nie umiałby z pewnością rzucić takim na przykład Indiami!

— To prawda.

— Cieszę się, że znalazł się również wychowawca. Ale jak widać, wychowuje zrasem w niewłaściwym kierunku. Postępowanie niektórych działaczy sportowych pozwala sądzić sportowcom, że jeśli beda tylko osiągać dobre wyniki, to wszystko pozostaje — nawet przestępstwa — nie będzie branie w rachubę i ujdzie im na sucho.

Z tymi słowami wyszedł Czeka mnie teraz tydzień strachu. Do diabła, co oni wymyślą? Jeżeli wpadną na pomysł przesyłania paczek z angielskim deserem zwanym plum pudding, gotów jestem załamać się, upodlić i osobiście rozkręcić rakieta Kowalskiego do ostatniej śrubki...

ZA A. BUCHWALDA — JERZY P.

4 Sport

Zapomniane słowo: honor

Wiele mówiło się o sprawie Ryszarda Podlasy, który przyłapano został na kradzieży w czasie mistrzostw lekkoatletycznych świata, jakie niedawno odbyły się w Helsinkach. Kierownictwo polskiej ekipy na tych mistrzostwach nie wyciągnęło żadnego wniosku z tego faktu i dopuściło Ryszarda Podlasa do startu. A przecież nie powinno być tego uczynić. Sprawa ma jednak głębsze podłoże. Okazuje się bowiem, że nie był to pierwszy „wybryk” Ryszarda Podlasa.

Łukasz Jedlewski tak napisał o tym w „Przeglądzie Sportowym”:

„Oskarżam przede wszystkim tych, którzy po pierwszych wyskokach Podlasa — określających dość jednoznacznie jego morale — próbowali za wszelką cenę zatuszować sprawę. Kary wymuszane wówczas przez opinię publiczną próbowano puścić w niepamięć. Przywrócono zawodnikowi godność reprezentanta kraju, za co zrewanżował się czynem określonym w słownictwie sądowym mianem recydywy. Został skreślony dopiero po kolejnej wpadce”.

Mocne słowa. Ale też dożywna dyskwalifikacja Ryszarda Podlasa rodzi pytanie o kary dla... działaczy sportowych, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność i nie wywiązały się z niej. Ludzie naiwni nadal sądzą, że sport powinien

również wychowywać. Ale jak widać, wychowuje zrasem w niewłaściwym kierunku. Postępowanie niektórych działaczy sportowych pozwala sądzić sportowcom, że jeśli beda tylko osiągać dobre wyniki, to wszystko pozostaje — nawet przestępstwa — nie będzie branie w rachubę i ujdzie im na sucho.

Tak widać pomyśleli sobie bokserzy kilku śląskich klubów sportowych, kiedy przyszedł im jechać do RFN na klubowe spotkanie z Widzami oni na przykład, że Ryszard Kosior z Szombierek, którego zarząd Okręgowego Związku Bokserskiego Katowice nie przewidywał w składzie drużyny mającej jechać do RFN, poleciał mimo wszystko, bo tak zdecydował trener i kierownik ekipy. A Ryszard Kosior miał już przygotowany kontrakt z klubem w Kaiserslautern, pojechał więc do RFN i... został. Nie powrócił do kraju również trzech inni bokserzy: Andrzej Danielak i Jerzy Szewczyk z GKS Jastrzębie i Ryszard Korlacki z GKS Jaworzno. Ale rzecz nie w tym. Albo ściślej — nie tylko w tym.

20 Polaków (14 zawodników i 6 osób towarzyszących) reprezentowało OZB w Katowicach, reprezentowało polski sport. Powinni byli więc ostro zaprotestować, gdy obok kasy, w której sprzedawano bilety na mecz, postawiono skarbonkę na datki dla „biednych, głodujących Polaków”. Nie zaprotestowali. Mało tego, „Działacze” podzieliли zebrane datki między siebie i zawodników. Na każdego wypadło po 30 marek, ale zawodnicy twierdzą, że koperty działaczy sportowych były znacznie grubsze. A przecież rzecz nie w tym, jak grube były koperty, a w tym że ich w ogóle nie powinno być. Tak powinien nakazać śląskim działaczom honor. Honor Polaka.

Kierownictwo katowickiej ekipy sportowej pozwoliło również, aby w ringu przeciwnikiem polskiego boksera był Polak, który samowolnie został w RFN, walczy tam w klubie, a przez polskie władze sportowe został zdyskwalifikowany. Zgodnie z obowiązującymi u nas przepisami, żaden sportowiec nie może walczyć ze zdyskwalifikowanym sportowcem. Ale skoro w kraju różne dyskwalifikacje traktuje się bardzo lekko, to cóż dopiero za granicą. Można sobie pomyśleć, że nikt się przecież w kraju o tym nie dowie.

W czasie tego wyjazdu zdarzyła się również kradzież. Na kradzieży w sklepie spożywczym przyłapano Tadeusza Wijasa. Zjawila się policja i dopiero interwencja burmistrza miasteczka Landau, który zapłacił 200 marek kary za naruszenia sportowca, całą rzecz załagodziła. Czy rzeczywiście załagodziła?

Katowicki „Sport” donosi też, że wokół polskiej ekipy kręcił się różni „naganiacze” — jak widać z faktu pozostania 4 bokserów w RFN kręcił się skutecznie — ale nikt im nie przeszkadzał w ich robocie, a z niektórymi utrzymywano nawet „przyjacielskie kontakty”.

Te przykłady wyraźnie wskazują, że warto przypomnieć sobie o czymś tak staroświeckim jak honor. Wskazują one też, że nie wystarczy tylko apelować o przypomnienie, ale trzeba wyciągnąć konsekwencje również, a może przede wszystkim, w stosunku do działaczy sportowych, którzy nie potrafią udźwignąć odpowiedzialności, jaką dobrovolnie na siebie biorą. Tak, jak pewne czyny dyskwalifikują sportowców, tak też są postawy, które dyskwalifikują działaczy sportowych. Niektórych chyba dożywno.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorczyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jędrzejowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowski, Grazyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego), Igor Sikirski (kier. działu literackiego), Karol i Stryjski, Janusz Szumanski, Grzegorz (kier. działu) Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wróńska, Mirosław Zaidler (fotograf).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejowski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gązda, Bohdan Gidomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzisław Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauzewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”, al. A. Mickiewicza 11, kod 90-458 Łódź. Telefon: sekretariat i redakcja naczelna 632 44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamówionych rekwizytów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skróto. **WARUNKI PRENUMERATY:** 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miejscowościach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach i siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawców oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centralne Księgarni Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 90-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1133-201948 139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego; na cały rok następnym — do dnia 1. każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku następnego. Wydawca: Ruch. Redakcja: Wydawnictwo „Prasa-Książka-Ruch” Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 98, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr indeksu 35762. Zam.: 2406 L-2.

„Machismo” w Ameryce Łacińskiej

Wybujały erotyzm, przestępstwa na tle seksualnym, maltretowanie kobiet — oto niektóre, najbardziej jaskrawe przejawy przesadnego kultu męskości w krajach latynoamerykańskich, określanych tam jako „machismo” (od słowa „macho” — samiec). Piszą o tym korespondenci włoskiej agencji INTER PRESS SERVICE z Meksyku i Chile.

W 1982 roku w Meksyku około 80 tys. kobiet padło ofiarą gwałtu. W tym samym czasie, jak się szacuje, prawdopodobnie 1,4 mln meksykańskich kobiet poddało się zabiegowi przerwania ciąży. Dane te znajdują się w opublikowanym w początku grudnia raporcie organizacji zwanej w skrócie CIDHAL („Łączność, wymiana i rozwój ludzki w Ameryce Łacińskiej”).

Raport wskazuje, że ze zrozumiałych powodów, zaledwie 5 proc. przypadków gwałtu ich ofiary zgłaszają do policji. W minionym roku tylko w meksykańskiej stolicy, zamieszkiwanej przez 17 mln ludzi, 10 tys. kobiet zostało zgwałconych. W ciągu ostatnich 5 lat do władz zgłoszono tam 4 tys. takich przestępstw. Spośród ich sprawców jednak tylko 1.500 zostało osadzonych w więzieniu — jak podkreśla Lourdes Miranda, jedna z autorek raportu.

W dokumencie stwierdzono m. in.: „Gwałt seksualny został zinstytucjonalizowany. Najczęściej jednak, wbrew temu co się powszechnie sądzi, miejscem gwałtu nie jest pusta uliczka. Najpopularniejszą jego formą jest stosowanie wobec kobiet przymusu, ze strony ich szefów, działaczy związkowych, panów domu czy nauczycieli, wymagających od nich tego rodzaju usług”.

W ostatnich 20 miesiącach Instytut Medycyny Prawnej w Santiago zarejestrował 700 przypadków skarg kobiet przeciwko ich gwałcicielom. W 20 proc. były to nieletnie dziewczęta, w wieku od 10 do 14 lat. Tylko od stycznia do października 1982 roku 291 kobiet „odważyło się” zgłosić tam fakt zgwałcenia przed policją lub władzami sądowymi.

Ulubionym celem napaści gwałcicieli są dziewczęta niedorozwinięte umysłowo, a także małe dziewczynki, napastowane przez ich rodzonych ojców lub braci, co najczęściej zdarza się w najuboższych, najbardziej zacofanych domach.

Prasa niemal codziennie informuje o nowych przypadkach gwałtu. Wielkie poruszenie wywołał też proces, toczący się ostatnio w nadmorskim uzdrowisku Vina del Mar przeciw grupie „psychopatów seksualnych”, oskarżonych o zamordowanie tam, w krótkim czasie, kilku par kobiet i mężczyzn. Dwaj główni oskarżeni, to karabiniery (policjanci mundurowi), którym grozi wyrok śmierci lub dożywotniego więzienia. Adwokaci występujący w imieniu rodzin ofiar zbrodni sugerują, że karabiniery działali w ramach większej grupy, planującej i wykonującej, poprzędane gwałtem, zbrodnie na kobietach i ich partnerach seksualnych. Anonimy grożące adwokatom śmiercią miały zmusić ich do wycofania skargi przeciw policjantom. Rzecz zamknięta: pewien wpływowy przedsiębiorca i bankier, podejrzany o autorstwo i współodpowiedzialność za te zbrodnie, nie został postawiony przed sądem.

„Mój ojciec, znany adwokat, od najmłodszych lat bił mnie dotkliwie. Matka moja popełniała ten błąd, że skarżyła się przed nim na mnie, za moje figle. Po studiach na uniwersytecie wysłałam za męża, także za człowieka z wyższym wykształceniem i on miał zwyczaj maltretować mnie z byle powodu”.

Wiele podobnych zeznań jak te, złożone przez Marisol N., można było usłyszeć podczas dyskusji na temat „domowej przemocy”, zorganizowanej w listopadzie 1982 r. w ramach „Pierwszych dni kobiecych” przez ośrodek kulturalny Mapocho, w Santiago. Uczestniczki dyskusji zaapelowały do całego społeczeństwa o demaskowanie przypadków maltretowania kobiet przez członków ich rodzin.

Przed kilkoma miesiącami ośrodek badań problematyki kobiet, istniejący przy Chrześcijańskiej Akademii Humanistycznej, zaczął organizować dyskusje nad różnymi aspektami zagadnień kobiecych. M. in. 15-osobowa grupa kobiet przeprowadziła debatę nad problemem przemocy stosowanej wobec kobiet w ich domach. Prawie wszystkie z nich oświadczyły, że w dzieciństwie były bite przez swych ojców, a w małżeństwie — przez mężów.

Dyskusja na ten temat powtórzona następnie w ramach „Dni kobiecych”, pod hasłem: Przemoc domowa — przemoc niewidzialna”. Uczestniczyło w niej ponad 50 kobiet, głównie absolwentek uniwersytetów, pań domu oraz studentek, kobiet młodych i w wieku dojrzałym.

O d tej pory przychodziło mi to coraz łatwiej i zdarzało się coraz częściej. Muszę przyznać, że z początku byłam nawet z tego dumna, szczególnie wśród rówieśniczek ze studiów. Bywało, że ziewałam na wykładach i mówiłam: nuda, idę strzelić jakiegoś faceta pod Grandem, bo kończą mi się pieniądze. Wracałam po godzinie lub dwóch z plikiem gotówki, a ona śmiała się i żadnej nawet nie przyszło na myśl, że zarobiłam to uczciwą pracą w hotelowym łóżku.

Forsa zarobiona na kłusowniczej prostytucji jest niby taka sama jak każda inna forsa, ale ma jedną zasadniczą wadę — zbyt lekko ją się wydaje. Poza tym prostytutka przyzwyczaja się w codziennym życiu do dość wysokich obrotów, to znaczy: do rozrzuconości i pogardy w stosunku do niewielkich sum, tak zwanych końcówek. Spytajcie fryzjerek, manicurzystek i kelnerów od kogo mają największe napiwki.

Kiedy przywykniesz już do wysokich obrotów i łatwego wydawania pieniędzy, przesta-

BRONISŁAWA CZERNIOGRADZKA

Czarna wdowa

2

niez być stopniowo wybredna i tu zaczyna się największe niebezpieczeństwo. Idziesz po prostu do łóżka z kim popadnie, bez zwracania uwagi na powierzchowność klienta. Jest ci bez różnicy, ładny, brzydki, stary, młody, byle miał forszę. Wystarczy parę miesięcy takiego życia, aby nie tylko twoja dusza, ale również twarz i postawa otrzymały pewną trwałą, niezmienną szkarę.

Jakie to dziwne... Doświadczony mężczyzna, a także bystra kobieta z miejsca rozpoznają prostytutkę. Bóg jeden wie po czym, ale rozpoznają. Za prostytutką przeświadczenie coś przez skórę jak fosfor. Ze mnie też zaczęło przeświadczać i niektóre koleżanki, niektórzy wykładowcy i profesorowie, a co najgorsze: moja wdowa i sąsiadki zaczęły mi się przyglądać spod oka. Przeszraszyłam się. Byłam jednak inteligentna, no i umiałam wyciągnąć odpowiednie wnioski z pewnego incydentu.

Otóż któregoś dnia w Europejskiej usłyszałam długie, cyniczne kazanie, które wygłosił wstępującej w życie prostytutce znany warszawski cinkciarz. Od razu muszę powiedzieć, że facet ten, dobrze ubrany i szalenie przystojny, nie wyglądał wcale na cinkciarza. I w tym duchu właśnie trzymałam mowę. Zwymyślałam ją za nadmiar tuszu i szminki, za sztuczne rzęsy i pokręcone lokówkami włosy. Przyczepił się do ubrania, które mimo zimy składało się tylko, pamiętam dokładnie, z czerwonej, wydekoltowanej bluzki, kusej, spódnicy, zielonych pończoch i pantofli na niebieskawych wysokich obcasach. Mówił:

— Jak ty wyglądasz? Nie skończyłaś jeszcze siedemnastu lat, a robisz z siebie starą kobietę. A przecież właśnie wiek jest twoim głównym atutem. Wiek i niewinność! Czy nie rozumiesz, że większość szukających kobiety mężczyzn, różnych wdowców, rozwodników i frajerów o złamanych sercach, którzy nie zaznali szczęścia w miłości, albo których porzuciły narzeczone, wołaloby iść do łóżka z porządną dziewczyną niż z kurwą? Naprawdę tego nie rozumiesz?

Ta mała przytakiwała głową, że rozumie, ale nie rozumiała kompletnie nic i dzisiaj, po kilkunastu latach, widuję ją czasem pijaną w najgorszych spelunach Pragi. Dużo zawdzięczam temu cinkciarzowi, bo on to kazanie mówił w gruncie rzeczy nie do niej, tylko do mnie, a ja umiałam z tego skorzystać. Ciągnął jeszcze mniej więcej w tym stylu:

— Musisz pracować w kierunku niewinności. Musisz wyglądać tak, jakby wygonił cię na ulicę ojczym albo zła macocha, albo jakbyś była kompletna, posiadająca liczne rodzeństwo sieroć, która rozkłada nogi lykając tży upokorzenia, i nie po to, aby później przełupać pieniądze, tylko po to, aby wyżyć swoje młodzieńcze siostrzyczki i swojego ukochanego, czterolatniego braciszka, cierpiącego na extra cystyrię.

A ta idiołotka mówi:
— Kiedy ja nie mam żadnego braciszka.
— Nie szkodzi.

— A co to są te... no... estra sistorie?
— To jest taka choroba serca. Po łacinie. Zasuń od czasu do czasu klientowi taką bombę, szczególnie jak będzie do broduzyszy, starszy pan, a zobaczysz jak się otworzy. O której przychodzisz jutro?
— O dwunastę.
— To słuchaj... rano umyjesz głowę, tak? I żadnej kredki, pudru, żadnego podsukubowania brwi, żadnych loczków. Włóżysz najskromniejszą sukienkę, jaką masz, normalne pończochy, buty na płaskiej podszewie. Masz się ubrać tak, jakbyś właśnie szła do szkoły. Wyczuwasz zagadnienie?
— Wyczuwam.
— Cieszę się. Wpadnę tu jutro w południe i w razie czego wprowadzimy drobne zmiany.

Wstał i odszedł. Zakochałam się w nim. Nie był wysoki, ale wspaniały, skromny, szedł przez salę w tych swoich luksusowych łachach tak nieśmiało, jakby wszystkich chciał przeprosić, że żyje.

Nazajutrz ubrałam się dokładnie tak, jak rzucił tej małej, a ta mała przebrała się za u-

szennicę, a i tak wyglądała jak kurwiszon. Jakis czarnuch ją zwinął, bo miała jasne włosy. Podeszłam wówczas do cinkciarza i powiedziała mu bez owijania w pergamin, że go kocham i że pracuję w zawodzie. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Wtedy wyjęłam z torbki indeks.

Kiwnął głową. Wykształcenie w tym fachu to prawdziwa żyła złota. Nawet średnio inteligentny sutener umiało to od razu docenić. On zaś był szalenie inteligentny i nie w tym uniwersyteckim znaczeniu, że czytał tamto i siamto, tylko ogólnie. Znal życie, kobiety, języki, nienadzwyczajnie wprawdzie, ale z Niemcem i Anglikiem zawsze mógł się dogadać. Był przeważnie oszczędny w słowach, ale jak powiedział coś na temat literatury czy filmu, też miało to ręce i nogi. Kiedyś się usmiałam, bo jedna taka czterdziestoletnia intelektualistka, z tych, co to wysiadują godzinami nad wystygłą kawą w Związku Literatów, zapytała go w kawiarni, czy zna „Mandarynow” Simone de Beauvoir, odpowiedział: — Pani wybacz, ale nigdy nie czytałem książek napisanych przez kobiety.

Nazywał się, tyle mogę powiedzieć, Suka. Sama nie wiem, kto mu wymyślił taki pseudonim, bo tak naprawdę, to miał bardzo piękne nazwisko i dość pospolite imię. Nie był prawdziwym sutenerem. W Polsce od pewnego czasu zupełnie zniknął ten zawód, tyle wspomagający prostytutkę, co i wyzyskujący ją okrutnie, szczególnie na Zachodzie. U nas prostytutki nauczyły się pracować samodzielnie, owszem, opłacają się windziarzom, portierom, szatniarzom, niektórym pokojówkom i kelnerkom, które nagonia im kawalera, nie ma to jednak nic wspólnego z rasowym sutenerstwem, takim, co z jednej strony strzączy i broni, a z drugiej zabiera pieniądze i bije w mordę.

Sądzę, że dzięki swoim umiejętnościom i znajomości życia, Suka mógłby za granicą zostać bardzo bogatym człowiekiem. Nie ciągnęło go jednak na Zachód. Wołał Polskę. Prawdziwy Zachód jest tutaj, w Warszawie — mówił. I miał rację. W Warszawie, nie wysylając się specjalnie, sprytny gość może żyć wygodnie i miło, bez worów pod oczami i odcisków.

Suka pomagał mi w interesach w sposób dyskretny i taktowny. Siedziałam z nim na przyład przy stoliku, a on, nie odwracając głowy i ledwo poruszając ustami, mówił:

— Widzisz tego Niemca w garniturze?
— Tak.
— Podejdz do niego i spytaj, czy nie ma ochoty na spacer. Uważaj, jak będzie chciał wiedzieć, kim jesteś, pokaż mu indeks i powiedz prawdę — owszem, robię to za pieniądze, ale pan mi się tak bardzo podoba, że postanowiłam przejść się tylko z panem po ulicy i zaprosić pana na obiad do jakiejś przytulnej restauracyjki.
— Przecież on wygląda, jakby nigdy w życiu nie miał kobiety.
— Właśnie o to chodzi.
No to podeszłam. Gość z początku był

nieufny, ale już po kilku minutach, jak każdy najędźniejszy nawet samiec, uwiarył, że ma w sobie jakiś ukryty czar. Był to koszmarny i niechlujnie podobny wcale do Niemca, jedynym jego walorem było to, że nie miał brzucha i że mało mówił, w miłości natomiast okazał się niestrudzony, kochał na przemian i płakał, kochał i płakał, więc spytałam go wreszcie, skąd biorą się u niego tak nieprzebrane ilości łez. Wyznał mi wówczas, że ma w Bonn narzeczoną i trapią go okrutne wyrzuty sumienia.

— Czemu?
— Bo ją oszukuję, zdradzam.
— No to przestań ją zdradzać.
— Kiedy nie mogę. Zakochałem się w tobie i gdybyś zgodziła się zostać moją żoną, zaraz napisałbym do niej szczerzy i otwarty list.
Instykt podpowiadał mi, aby nie wydużać z niego tej nocy ani grosza. Nie przyrzekałam mu również, że zostanie jego żoną. Suka pochwałił mnie za to i wypytł dokładnie o faceta. Był zadowolony, kiedy mu powiedziałam, że jest jakimś naukowcem.

— Zasniesz mu jutro, że też masz narzeczonego. Udawaj przez cały dzień, że masz wielkie rozterki duchowe, a kiedy pójdziesz do łóżka i gość zacznie ryczeć, rycz razem z nim.
— Suka, to jest ponad moje siły, żeby iść z nim znowu na całą noc do łóżka.

— Rób, co ci mówię. Dziewczyna twojej klasy nie powinna być zwykłą kurwą, tylko wielką kurtyzaną, która sprzedaje się tylko od czasu do czasu i za duże pieniądze. W ogóle w kawiarni też powoli musisz zacząć udawać, że odeszłaś od zawodu, a ja już zaobam, żebyś wyszła na swoje. Możesz mi wierzyć.

Wierzyłam mu i spędziłam z Niemcem kolejny upojny dzień. Był kompletnie ugotowany, mówił od rzeczy, chciał się żenić od razu następnego dnia, poprosiłam go jednak o trochę czasu do namysłu i załatwienie swoich spraw w życiu osobistym i na uczelni. Ponadto wyraziłam kłamliwą chęć poznania jego ojczyzny i rodziny. Nalegałam, aby ślub odbył się w Bonn, a nie w Warszawie. Nazajutrz dał mi dwa tysiące marek na wyprawę. Za trzy dni miał wracać, przygotować teren i mieszkanie. Było mi go szczerze żal, ale z drugiej strony nie miałam już siły spędzić z nim tych trzech dni do wyjazdu. Kiedy weszliśmy do Europejskiej na kawę i zobaczyłam Suka, powiedziała Niemcowi, że jest to właśnie mój narzeczonego, z którym muszę się ostatecznie rozmówić. Niemiec był straszliwie zdenerwowany i znowu prawie płakał, kiedy pozostawiłam go na pół godziny, aby naradzić się z Suką. Suka natomiast okazał się mistrzem. Grał dyskretnie, cała jego postać i twarz wyrażały czarną rozpacz, usta natomiast szeptały:

— Powiedz mu, że musisz wyjechać na dzień — dwa do matki pod Tomaszowem i uprzedzić ją o swoich zamiarach. Jeśli chodzi o mnie, powiedz, że jako narzeczoną zachowałem się ze zrozumieniem i po męsku, wiedząc, że w Niemczech będziesz miała lepsze życie. Wybadać, kiedy ma samolot i umów się z nim na kilka godzin przed wyjazdem.

Zapytałam, czy nie byłoby lepiej zniknąć po prostu na trzy dni, aż sobie wyjedzie, ale Suka twierdził, że byłby to wielki błąd. Raz, że gość mógłby zacząć mnie szukać i to za pomocą milicji, dwa, że przepagilabym okazję wyciągnięcia z jego kieszeni resztek pieniędzy, które na pewno jeszcze posiada.

— Musisz się poświęcić i wsadzić go w samolot, tak, aby odecał zakochany i spokojny. Pogłaszcz go po twarz, daj mu buzi i tak dalej.

— Będzie się czepliał. Przyleci i znowu zacznie mnie nękać.

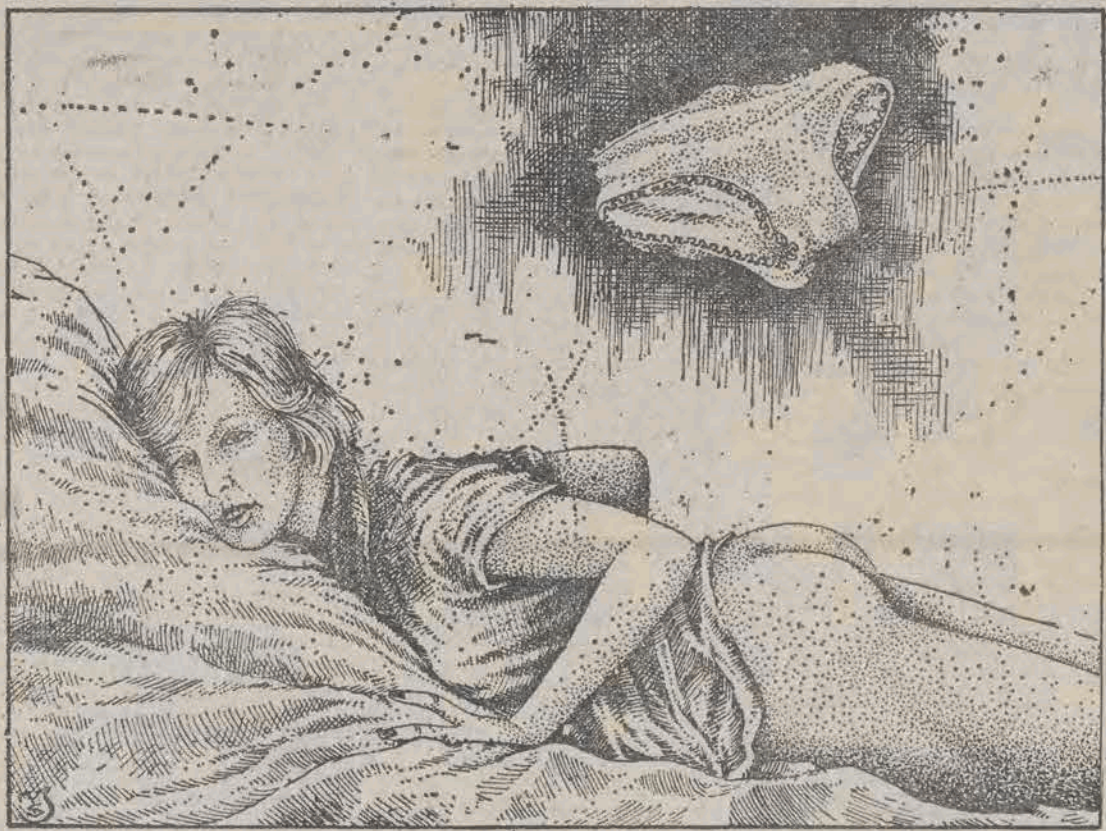
— Zostaw to mnie.

Postąpiłam według jego rady. Niemiec został mi oczywiście adres i dalszych tysiąc marek obiecując, że jeszcze tego samego tygodnia prześle mi oficjalne zaproszenie. Nigdy jednak tego zaproszenia nie otrzymałam, gdyż Suka wystosował do niego list, w którym donosił z troską i ubolewaniem, że zapadłam na brzydkią chorobę weneryczną i przebywam w szpitalu, nie rokując żadnych nadziei na szybkie wyzdrowienie. Aby oszczędzić duszę Niemca, Suka dodał, iż naprawdę byłam w nim zakochana, rozsądek jednak wskazuje, aby on, Niemiec, przestał teraz myśleć o miłości, zajął się raczej własnym zdrowiem, to znaczy wykonał odpowiednie badania, bo jak nie, to jego dzieci mogą mieć zdeformowane nosy.

Suka robił ze mnie narzeczoną co najmniej raz w miesiącu. Wśród narzeczonych byli czarini i biali, a nawet jeden Turek. Dewizy trzymałam w schowku, za tapczanem, zamieniając sukcesywnie mniejsze nominały na większe, tak, aby zajmowały jak najmniej miejsca. Z czasem otworzyłam sobie legalne konto bankowe. Z Suką ani razu nie miałam zatargu na punkcie pieniędzy. Był delikatny. Nigdy nie mówił: — Jak wyjdzie ci numer z tym facetem, odpalisz mi dwadzieścia procent. W związku z tym dawałam mu jeszcze więcej, i kochałam go nie tylko jak męża, ale jak ojca i brata. Śmieję się. Ale wiercie mi: nikt tak nie potrafił kochać jak prostytutka, szczególnie wtedy, kiedy spotyka się ze współczuciem, zrozumieniem i szczerą pomocą. Były także dni, że leżałam z Suką w łóżku i płakałam mu godzinami w sypię, a on głaszał mi po twarzy i pocieszał.

W siedemdziesiątym drugim roku umarła po trzymiesięcznym pobycie w szpitalu moja gospodyni, ta wdowa, która handlowała na Bazarze Różycyckiego. Ponieważ nie miała żadnej rodziny, odwiedzałam ją w chorobie trzy razy w tygodniu. Utykiwała, grymasiła, czepliała się mnie o byle głupstwo, na przykład: mogła jeść tylko maliny, bo innym pokarmem wymiotowała. Przynosiłam jej maliny, a ona do mnie że oszukalam ją w rachunkach. Potem nagle zmarła, zostawiając w szpitalnej szafce testament. Lzy ciekły mi z oczu i nie mogłam doprawdy czytać tych bagrołów, z których wynikało, że uczyniła mnie spadkobierczynią całego swego, niemałego majątku.

Otrzymałam pieniądze, biżuterię, własnościowe mieszkanie składające się z dwóch pokoi, i jeszcze coś. Otrzymałam swój pierwszy trwały pseudonim, który rozniósł się dziwnym trafem po stolicy. Był to pseudonim złowieszczy. Nazywałam się odtąd Czarną Wdową.



Rys. Janusz Szymański-Glanc